



PO WYBORACH W USA

Tęczowy taran z Waszyngtonu uderzy w Warszawę?

Jak bardzo PiS stracił w sondażach

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 47/400 16-22 LISTOPADA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



MAREK JUREK
PISZE
DO RABINA
MICHAELA
SCHUDRICH



Czy wystarczy nam czynnych respiratorów



TRZĘSIENIE ZIEMI W WATYKANIE

Jak sobie poradzić z aferami, które podminowały Kościół



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład: 56 560 egzemplarzy

Artur Toronowski

Prezes Grupy Citronex



**„Stworzyliśmy
najnowocześniejsze szklarnie
i wiele miejsc pracy”**



**Razem możemy zrobić
więcej dla polskiej gospodarki**

KUPUJ CO POLSKIE

co tworzy wartość
dla polskiej gospodarki

biedronka.pl/kupujcopolskie



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Bezbożnicy nas nauczą

Nie umiem zrozumieć popularności guru lewicy. Kilka lat temu na jednym z lotnisk dla zabicia nudy sięgnąłem po dziełko przedstawianego jako mędrca niejakiego Yuvala Noaha Harariego. Przeczytałem, że izraelski homoseksualista, weganin i buddysta sprzedał miliony książek i że jest nową gwiazdą ateizmu. Przeczytałem, uznałem, że to stek banałów, i tyle. Ostatnio zauważyłem jednak, że również w Polsce ruszyła wielka machina marketingowa, która ma z niego zrobić mistrza i wizjonera.

W promowanej szczególnie przez nieocenioną „GW” (prawdziwy to następca pod tym względem sowieckiego „Bezbożnika” i PR-L-owskich „Argumentów”) książce „Sapiens” pośród wielu złotych myśli złowiłem kilka prawdziwych pereł, odnoszących się do chrześcijaństwa. „[...] Jeśli policzymy ofiary wszystkich tego rodzaju szykan, to okazuje się, że przez trzy stulecia politeistyczni Rzymianie zabili co najwyżej kilka tysięcy chrześcijan. Z kolei na przestrzeni kolejnych 1500 lat chrześcijanie wymordowali miliony innych chrześcijan w obronie nieznacząco odmiennych wykładni religii miłości i współczucia”. Boże, pomyślałem, i autor tego rodzaju bredni jest profesorem na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i Oksfordzie? No nieźle. Jak

u licha można porównywać nieporównywalne? Państwowe przesładowania niewinnych obywateli, programowo wyrzekających się przemocy, i wojny armii chrześcijańskich państw? Jeśli już, to należałoby sprawdzić, czy liczba ofiar wojen politeistycznych państw jest porównywalna z ofiarami wojen państw chrześcijańskich, oczywiście przy założeniu podobnej liczby ludności, broni itd. Inaczej pan guru Harari mógłby z równym powodzeniem napisać, że jedna bomba użyta przez demokrację amerykańską (w Hiroszimie) przyniosła więcej ofiar niż kilka wieków islamskich podbojów, i wyciągnąć wniosek, że ludzkie życie bardziej szanowali kalifowie niż prezydenci USA. To, że takie kocopały ktoś łyka bez mrugnięcia okiem, możliwe jest tylko dlatego, że pojawiła się publiczność wychowana w głębokim antychrześcijańskim resentymencie, która przyjmuje z dobrodziejstwem inwentarza wszystko, co potwierdza jej uprzedzenia i stereotypy.

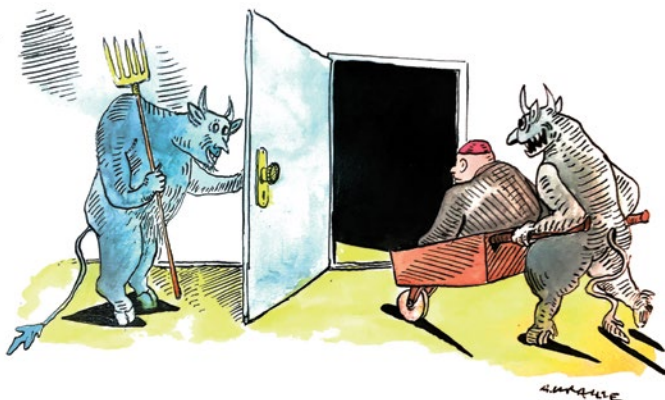
Nie mniejszą głębię mają jego uwagi na temat początków Kościoła. „[...] Jeden z przywódców tej sekty, Paweł z Tarsu, doszedł do wniosku, że skoro Najwyższy ma swoje preferencje i uprzedzenia i skoro zadał sobie trud, by przyjąć cielesną postać i umrzeć na krzyżu dla zbawienia ludzkości, to jest to coś, o czym

powinni usłyszeć wszyscy, nie tylko Żydzi. I dlatego dobrą nowiną o Jezusie – Ewangelię – należy szerzyć po całym świecie”. To się kiedyś nazywało tramwajowym ateizmem. Niby to ironiczne, niby podśmiejuchijki, niby fajne i cool, ale przecież prostackie i tępe. Paweł doszedł do wniosku? A niby jak? On pierwszy czy jednak inni przed nim? A że życie stracił dla tego wniosku? Ha, Ha, głupi był. Najwyższy ma swoje preferencje – toż można sobie boki zrywać. Równą głębokością wykazuje się Izraelczyk, kiedy stwierdza, że „[...] chrześcijańscy święci nie tylko przypominali dawnych bogów politeistycznych. Częstokroć byli tymi samymi bogami w przebraniu”. Tak, wszystko to są nie opinie cioci Krysi po podstawówce, ale sądy uczonego mistrza z Oksfordu i Jerozolimy. Tak, wiem, że wielu polskich czytelników jest na podobnym poziomie wiedzy i nie odróżnia kultu świętych od kultu bogów pogańskich, ale to jeszcze ani ich, ani pana Harariego nie usprawiedliwia. Braki nauki szkolnej, nawet jeśli ujawniają je dorośli, pozostają tym, czym były: przejawami niedokszałcenia.

Mógłbym bez końca cytować takie opinie. Może jeszcze jedna: „Ani śladu tego przekonania [o życiu człowieka po śmierci] nie znajdujemy w Starym Testamencie, w którym zresztą nigdzie nie jest powiedziane, że dusza ludzka trwa po śmierci ciała”. Otóż znajdujemy więcej niż ślad. Jasny dowód wiary w zmartwychwstanie jest w 12. rozdziale Daniela i w Psalmie 73. Wiele innych śladów, wyrażonych metaforycznie, można znaleźć zarówno u Izajasza, jak i Ezechiela, a nawet w Księdze Rodzaju (o Henochu) czy Królewskiej (o Eliaszu).

Z niepokojem patrzę na powodzenie ateistycznych mędrków. Te sądy najpierw są bezkrytycznie przyjmowane, a potem stają się podstawą do antykatolickich ekscesów. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 TOMASZ ROWIŃSKI
KIEDY POLSKI RAPORT?
Stan Kościoła w Polsce

19 PAWEŁ LISICKI
ŹRÓDŁO ZŁA

RAPORT „DO RZECZY” WYBORY W USA

22 ROZMOWA
Z PROF. MARKIEM JANEM CHODAKIEWICZEM

AMERYKA BIDENA BĘDZIE JAK TĘCZOWY TARAN

Podoba mi się, że Andrzej Duda nie rzucił się na kolana

26 PIOTR SEMKA
POLSKA WOJNA Z BIAŁYM DOMEM W TLE

28 PIOTR WŁOČZYK
NA LEWO OD SANDERSA



KRAJ

30 KAMILA BARANOWSKA
DOBRA, ZMIANA?
Najgorsze od lat oceny rządu

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI
– WAŻNE PYTANIA**

34 MARCIN MAKOWSKI
„DZIADERSI” KONTRA „BUNT MŁODYCH”

36 ŁUKASZ
WARZECHA

PANDEMIA CHAOSU

38 ŁUKASZ
ZBORALSKI
SAM RESPIRATOR NIE LECZY



40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
HALO HEJT

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
JAJO LEWIATANA
„Król” według Twardocha – nowy serial Canal+



49 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
POWRÓT LUDWIKA MARGULESA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50
ANTYCHRZEŚCIJAŃSKIE MANIFESTACJE
List Michaela Schudricha, naczelnego rabina Polski, do prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka oraz list Marka Jurka do rabina Michaela Schudricha

52 ANNA MANDRELA
POZYCJA NA CZAS KRYZYSU WIARY

HISTORIA

56 ROZMOWA Z MARCINEM BORCHARDTEM
TONY’EGO HALIKA GRA POZORÓW
Życiorys pełen zdumiewających historii



ŚWIAT

60 MAŁGORZATA WOŁCZYK
PREZYDENT AYUSO
Hiszpańska uległość

62 OLIVIER BAULT
KOLIZJA FRANCJI ZE ŚWIATEM ISLAMU

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z PIOTREM KUCZYŃSKIM
NA RAZIE TO TYLKO KRYZYSIK
Dalsze drukowanie pieniędzy może doprowadzić do katastrofy

O ZDROWIU

72 KATARZYNA PINKOSZ
NIE PRZERYWAJMY LECZENIA
Terapie biologiczne w nieswoistych chorobach zapalnych jelit

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (74), ZALEWSKI, MAKOWSKI (78), CEJROWSKI (80, 81), KUCHARCZYK (82)

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie listy. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Lekka ręka polityka”, Piotr Gabryel, „DRz” 46/2020

[...] Ubolewa Pan nad stanem polskiego budżetu, który wynika z tego, że politycy „przeszarżowali z rozdawaniem publicznego grosza”. Niepokoi Pana to, że emeryci otrzymali 13. emeryturę. W społeczeństwie ta trzynastka odnoszona jest na ogół do 13. pensji np. pracowników budżetówki czy górników. Różnica polega na tym, że trzynastka dla urzędników, nauczycieli, górników itp. wypłacana jest w kwocie praktycznie równej miesięcznej pensji (poza przypadkami, gdy pracownik dużo chorował – wtedy trzynastka jest mniejsza). Tymczasem dla wszystkich emerytów w 2020 r. było 1200 zł brutto (w moim przypadku to trzy razy mniej niż moja miesięczna emerytura – brutto). Czternastej emerytury na razie nie ma – pytanie, czy rzeczywiście będzie – a jeżeli tak, to chyba dopiero pod koniec 2021 r.

Pisze Pan, że przedsiębiorcy i pracodawcy apelują o częściową likwidację „500+”, 13. emerytury czy wypłaty szkolnej. Ciekawe, dlaczego nikt nie „rzuci hasła” (Pan również) likwidacji, przynajmniej na okres pandemii i chwilę po niej, 13. pensji dla pracowników (czternastki dla górników). To by dopiero były oszczędności dla budżetu na „poduszkę finansową”. Wiem, że jest to pytanie retoryczne z kategorii political fiction. Przecież emeryci nie zastrajkują. A inni?

Wiadome jest, iż środki wydane na „500+”, „300+” czy trzynastkę dla emerytów w zdecydowanej większości na bieżąco przeznaczane są na konsumpcję, w związku z czym korzystają firmy produkujące dobra konsumpcyjne czy świadczące różne usługi. A to, jak podają ekonomiści, wpływa pozytywnie na stan gospodarki. Jest chyba niewielu emerytów, którzy swoją trzynastkę wkładają do „skarpety”. Zgadzam się, że dyskusyjne jest wypłacanie „500+” na pierwsze dziecko, bez kryterium dochodowego. Cel początkowy programu, czyli wpływ na wielkość urodzeń, raczej nie został osiągnięty i jest wątpliwe, czy w przyszłości zostanie. Odnośnie do drugiego kryterium, tzn. ograniczenia ubóstwa w rodzinach, w przypadku rodzin „bogatach”, w tym z jednym dzieckiem, wypłata „500+” dla tych rodzin żadnej biedy tam nie eliminuje.

Henryk (nazwisko do wiadomości redakcji)

PS Ciekawe, czy Związek Pracodawców ma wiedzę, ilu przedsiębiorców w okresie wiosennym pierwszej fali epidemii ograniczało sztucznie swoją działalność, aby skorzystać z tarczy. W myśl zasady „jak jest okazja, to czemu nie skorzystać”.

Wyjaśnienie

W artykule „Epoka cyfrowej suwerenności” z numeru 45/2020 popełniłem błąd: wojskowa obecność Stanów Zjednoczonych w Iraku oraz w Afganistanie nie pochłonęła 6 trylionów dolarów, jak napisałem, lecz 6 bilionów dolarów. Za czujność dziękuję panu Markowi Milewskiemu.

Krzysztof Tyska-Drozdowski



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmiński, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmieł,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Szewach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wolczyk, Jakub Wozniński,
Tomasz Wróblewski, Igor Zaleski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmieł** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibińska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zaleska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**
Okładka: **Maria Grazia Picciarelli/Ropi/Zuma Press/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 56 560 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



c e r z x y e + y j z t o o z



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zdażyć na czas

Prawie cztery miesiące temu, 21 lipca, na ręce pani marszałek Sejmu Elżbiety Witek złożony został apel byłych opozycjonistów i represjonowanych. Podpisało się pod nim 141 sygnatariuszy – ludzi dawnej opozycji i podziemia solidarnościowego.

Chodzi o naprawienie błędu legislacyjnego sprzed lat. Polskie państwo zachowuje się bowiem niesprawiedliwie wobec osób, których status działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych potwierdzono. W największym skrócie: w przypadku tych osób czas pracy w podziemiu, uwięzienia lub internowania oraz pozbawienia pracy uznano za okresy składkowe do stażu wymaganego do emerytury lub renty z FUS, ale uczyniono je pozornymi z powodu braku składek, więc niepodnoszącymi emerytury lub renty, tak jakby wkład tych osób dla społeczeństwa i państwa był bezwartościowy. Trzeba to zmienić tak, aby byli ludzie opozycji mieli szansę na godziwe świadczenia u schyłku życia.

Dlatego gdy w połowie sierpnia pracowano w parlamencie nad rządowym projektem Ustawy o zmianie ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych oraz niektórych innych ustaw (zwanej niekiedy ustawą 2400 zł emerytury), inicjatorzy apelu z Maciejem Goliszewskim i dr. Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem zgłosili poprawki do projektu.

Senat uczynił z tych poprawek własny projekt zmiany ustawy o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, jednomyślnie przegłosował go 18 sierpnia (90:0:0) i bez zwłoki skierował do Sejmu. Od tego czasu projekt zarejestrowany jako druk sejmowy nr 578 czeka na zajęcie się nim. Niestety, do tej pory Komisja Polityki Społecznej i Rodziny nie znalazła okazji do przeprowadzenia pierwszego sejmowego czytania projektu.

Wiadomo, że w polityce jest ostatnio gorący czas. Ale dlaczego projekt utknął? Nie jest przecież żadnym sporym obciążeniem dla budżetu. Skorzysta z niego mak-

symalnie ok. 6,9 tys. osób mających status działacza opozycji lub osoby represjonowanej i jednocześnie uprawnienia emerytalne lub rentowe. Wydatki wyniosą maksymalnie tylko 12 mln zł rocznie, z tendencją spadkową, bo czas w nieubłagany sposób będzie robił swoje. Najmłodsi ludzie aktywni w opozycji epoki Gierka i rewolucji solidarnościowej to dziś osoby między 60. a 80. rokiem życia.

Sam podpisałem się pod apelem, bo wiem, w jak trudnych warunkach żyją ludzie, którzy tracili zdrowie w aresztach, więzieniach i obozach internowania. Komisja winna bez zwłoki zająć się projektem ustawy, który da szansę na godne życie ludziom, którzy wywalczyli nam wolność. Niech zostaną odpowiednio uszanowani dosłownie u schyłku życia.

Szczególnie stan pandemii powinien być argumentem za jak najszybszą finalizacją prac. To jeden z niewielu w ostatnim czasie projektów ponad politycznymi podziałami. Tym bardziej zasługuje on na szybkie uchwalenie przez Sejm. ©©

„MATKA JEST KOBIETĄ, A OJCIEC JEST MĘŻCZYZNĄ”

Węgierski rząd chce zmian w ustawie zasadniczej. Minister sprawiedliwości Judit Varga (na zdjęciu) przedłożyła w parlamencie projekt zmian konstytucji, który zakłada zamieszczenie w ustawie zasadniczej zapisu o tym, że „matką jest kobieta, a ojcem mężczyzną”. Projekt przewiduje także, że płeć człowieka należy definiować w chwili jego przyjścia na świat. Węgry mają również gwarantować edukację zgodną z chrześcijańskimi wartościami. (jap) ©©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE RZĄDU WĘGIER

Z nową energią

Najnowsza inwestycja Grupy Energa
– farma wiatrowa w Przykonia



Farma Wiatrowa Przykonia:

- jedna z najnowocześniejszych farm wiatrowych w Polsce
- największe turbiny wiatrowe
- przyjazna środowisku
- redukcja emisji dwutlenku węgla
- rekultywacja terenów po kopalni węgla brunatnego
- produkcja prądu wystarczająca do zasilenia 30 000 gospodarstw domowych
- synergia i większe możliwości dzięki przynależności Energi do Grupy ORLEN





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lepiej z głupim nie znaleźć

Nie żebym wysoko cenił prof. Jana Hartmana, ale jedna z jego opowieści warta jest miejsca w jakiejś antologii. Owoż opisywał Hartman, jak po któregoś z anty-smoleńskich blokad uczestniczył w próbie okrzyknięcia przez zwolenników KOD i Obywateli RP Władysława Frasyniuka wodzem rewolucji. Frasyniuk, owszem, wydał się mile połączony i bodaj nawet palnął do swych wyznawców jakąś mowę, że złe rządy PiS trzeba obalić. Po czym ruszył gdzieś, a tłum wyznawców, w tym Hartman, podążał za nim, skandując: „Wła-dek, Wła-dek” i wznosząc inne entuzjastyczne okrzyki, aż – pisze Hartman – nagle za „Władkiem” zamknęły się wielkie, szklane drzwi i rebelianci uświadomili sobie, że właśnie

odprowadzili swego wodza do „Hotelu Wiktoria”.

Jest w tym opowiadaniu zawarty cały dramat totalnej opozycji. W miejsce „Legendarnego Władka” możemy oczywiście podstawić nie mniej legendarnego Lecha albo coraz bardziej legendarnego Donalda. Każdy chętnie podjudza, dogaduje i doradza – ostatni wywiad Frasyniuka dla „Newsweeka”, pełen zbawiennych wskazówek dla Strajku Kobiet, jest małym arcydziełem tego szczególnego gatunku – ale żaden nie jest tak głupi, żeby iść za swoim własnym głosem. Wymienieni panowie, plus paru innych, podobnie jak oni wzywanych na przywódców antyrządowych rozrób, mają już doświadczenie ze sprawowaniem władzy, wiedzą, jak bardzo się do tego nie nadają (choć żaden

tęgo nie przyzna) i ani myślą na poważnie starać się o powrót. Jeszcze by się, nie daj Boże, udało, jeszcze by nagle zamiast wygodnie sypać bon motami, hasłami i obelgami, musiał taki przywódca zmierzyć się z problemami, które tak wygodnie zrzuca się na PiS... Nie ma głupich...

To znaczy, nie całkiem: głupi są, ale gdzie indziej. Nie mogą znaleźć wodza wśród starych wyjadaczy, ofiary antypisowskiego szczucia lewicowo-liberalnych mediów znajdują sobie wodzów wśród ludzi, których wyobrażenie o polityce nie jest skażone znajomością rzeczy. Jeden lepszy od drugiego – jak nie Kijowski czy Kasprzak, to Lempart.

Jak pisał wieszcz, historia wesola, a ogromnie przez to smutna. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Sto godzin samotności

Aborcjonści zaatakowali wyrok Trybunału Konstytucyjnego zaraz po jego ogłoszeniu, w czwartek 22 października. Władza natomiast zamilkła. Przywódcy państwa znikli nawet z „Wiadomości” TVP. Owszem, prezydent krótko powiedział „Dziennikowi Gazecie Prawnej”, że „nigdy nie ukrywał, iż aborcja z tzw. względów eugenicznych nie powinna być dopuszczalna”, ale potem do antykonstytucyjnych manifestacji już w ogóle się nie odniósł. Ani on, ani premier, ani marszałek Sejmu nie skorzystali z możliwości telewizyjnego orędzia. W poniedziałek dopiero dziennikarze podali, że sprawą nielegalnych zgromadzeń zajmie się kierownictwo... „zjednoczonej prawicy”.

Można było i należało kiedyś krytykować TVP, ale gdy na ulicach zapanowała kompletna anarchia, gdy pod kościołami spontanicznie zaczęły gromadzić się grupki obrońców obrzucanych nie tylko wyzwiskami, lecz także butelkami, łamanie prawa i uliczne barbarzyństwo piętnowała jedynie telewizja publiczna. Wtedy – między wieczorem 22 października a wtorkowym rankiem 27 października – jedynie występujący w TVP... publiczności i dziennikarze dawali społeczeństwu resztki poczucia, że państwo działa.

We wtorek rano w końcu zabrał głos premier. Bronił życia, jego formuła („Żeby mieć wolność wyboru, trzeba żyć, kto nie żyje –

nie ma wyboru”) była naprawdę piękna. Jednak do „tych, którzy dopuszczają się łamania prawa”, premier jedynie zaapelował, „żeby tego nie robili”. Wieczorem z kolei prezes Kaczyński wygłosił przemówienie, formalnie znakomite. Wzywał do obrony kościołów, potępiał nihilizm, ale z kolei o szacunek dla życia nie apelował, stwierdził jedynie, że taki wyrok to konstytucyjna konieczność. Prezydent zabrał głos dopiero w sobotę, jednak nie po to, by bronić społeczeństwa i konstytucji, ale żeby zaproponować jej prawne obejście. A przez ten czas popierająca rząd część społeczeństwa cierpliwie czekała, co zrobią przywódcy, którym zaufała tak bardzo. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nowy Wspaniały Świat

Dla jednych to utopijna wizja społeczeństwa idealnego, dla innych dystopia – koszmarnie rojenie o przyszłości. Niech państwo wyobrażą sobie sklepy z dziećmi, które można sobie kupić zależnie od gustu i ceny. Do wyboru i koloru. Trochę jak pieski i kotki w schronisku dla zwierząt. Naturalnie wraz z gwarancją wymiany żywego towaru, jeśli okaże się wadliwy. Albo

EXPO”) stowarzyszenia Men Having Babies (Mężczyźni posiadający dzieci) pt. „Opcje rodzicielskie dla europejskich mężczyzn gejów”. Reklamowano tam wyspecjalizowane firmy zajmujące się zaspokajaniem ojcowskiego instynktu gejów. Były i katalogi. Jeszcze nie „gotowych” dzieci, ale matek surogatek. Cena całego przedsięwzięcia – wraz z opieką psychologów, całego wachlarza doradców, w tym prawników, spotkań z potencjalnymi rodzicielkami – wahała się od 95 tys. do 165 tys. euro.

Wszystko działało się już po raz szósty w unijnej stolicy. I to mimo że prawo we wszystkich krajach unijnych zabrania tzw. wynajmowania łona. W Wielkiej Brytanii jest dozwolone, ale wyłącznie w przypadku „altruistycznego” macierzyństwa zastępczego, czyli gdy w grę nie wchodzi pieniądze. W Portugalii praktyka jest dozwolona, ale tylko w przypadku bezpłodnych par heteroseksualnych za zgodą lekarzy.

W praktyce to nic innego jak wykorzystywanie przez majątnych gejów (Elton John i spółka) ponurej sytuacji materialnej kobiet w takich krajach jak Białoruś, Ukraina czy w krajach Trzeciego Świata. Mamy do czynienia z handlem żywym towarem. Spodziewałbym się gwałtownej reakcji feministek, organizacji praw człowieka, Watykanu i jeden Bóg wie, kogo jeszcze. Panuje głucha, przeraźliwa cisza. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

No wyp...i, wyp...i, ale przecież
nie umie!!!



c e z e t y k t y s t o d

inaczej i bardziej nowoczesnie: dzieci wybierane przez nabywców z internetowych katalogów. Z certyfikatem jakości i dostawą do domu.

W pewnym sensie takie praktyki odbywają się od lat. W Brukseli w dniach 7–8 listopada odbyła się konferencja (tym razem z powodu pandemii tylko wirtualnie) połączona z targami („Conference and



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Dusza towarzystwa

W czasach (słusznych) rozliczeń osób publicznych oraz duchownych za grzechy z przeszłości zawsze znajdzie się przypadek równy od równiejszych. Oto jeden z nich. „Jak to się stało, że Michał Olszański dostał ksywę »Mammograf«? W najnowszym numerze »Press« sylwetka byłego dziennikarza Trójki” – zareklamował swój artykuł magazyn. Na odzew nie trzeba było długo czekać. „Każydy, kto zna Michała, wie, że jest porządnym człowiekiem. Duszą towarzystwa, a dzisiejsze normy są nieprzystawalne do tych sprzed 30 lat. Po prostu. Wtedy inaczej mówiliśmy i inaczej się zachowywaliśmy. Pewne rzeczy były nieakceptowalne już 5–8 lat później, bo Polska była inna” – stwierdził Jacek Czarnecki, dziennikarz Radia Zet.

Jego komentarz rozminął się jednak delikatnie z nastrojami społecznymi. „Jacek, ja mu się odwinęłam 20 lat temu, bo bez względu na czasy, łapanie kobiety za biust, nieważne obcej czy znajomej, publicznie, jest koszmarem. On jest miłym gościem, ale to, co robił, nie jest normalne” – odparła dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska.

Reporter nie złożył jednak broni. „Ty mu się odwinęłaś, a Aleksandra J. chichotała... Wiesz, jak to było...” – ripostował Czarnecki. Nie wszyscy jednak wiedzieli, jak jest. „Żeby nie było niejasności, daleki jestem od potępiania faceta. Mam jednak przekonanie, graniczące z pewnością, że nie byłby Pan taki wyrozumiały, gdyby okazało się, że za cycki łapał kobiety ktoś z PiS-u albo znanych jego sympatyków” – odpowiedział mu jeden z internautów. „Moja wyrozumiałość tu nie ma podłoża politycznego” – bronił się dziennikarz. „Ma podłożo koleżeńskie, przecież to zrozumiałe :)” – rzucił jednak inny użytkownik Twittera, kończąc dyskusję.

Jej epilog napisał jednak kto inny. „Dobra linia obrony dla kardynała Dziwisza. Szczególnie argument: »Dzisiejsze normy są nieprzystawalne do tych sprzed 30 lat«” – zauważył Piotr Semka. A po prostu w każdej z tych spraw wystarczyło stosować te same. To byłoby jednak zbyt proste. ©©

DOKTOR EDZIA

Edzia Górniak znów jest na ustach wszystkich. Nie, nie z powodu wydania nowej płyty czy nagrania nowej piosenki, która została hitem. Otóż Edzia kolejny raz wypowiedziała się na temat epidemii. Że jej nie ma, że koronawirus nie jest groźny, że to wszystko spisek, że nakaz noszenia maseczek to zniewolenie, a poza tym nosząc je, „wdychamy własne spaliny”. Na koniec prawie trzygodzinnego wywodu na Instagramie stwierdziła, że tak naprawdę w szpitalach leżą nieprawdziwi chorzy na COVID-19, lecz statystyci. Skoro bowiem przed wirusami chronią witaminy C i D oraz oregano, to przecież niemożliwe, by było tylu chorych! Skoro to niemożliwe, to może Edzia wystąpiłaby specjalnie dla tych statystów na Narodowym? Tylko hymnu niech nie śpiewa. Wystarczy im już nieszczęść.

HALA ODLOTÓW

Edzia jest zachwycona tym, że po reakcjach części osób na jej słowa dotyczące pandemii mogła dokonać selekcji wśród internetowych przyjaciół. – To pozwoliło mi zostawić na naszym prywatnym koncercie tylko wyselekcjonowane wspaniałe osoby, bardzo wrażliwe, dobre, normalne, spokojne, otwarte, poszukujące, z chęcią rozwoju, z chęcią rozwoju wszelkiego, na różnych poziomach, bo i intelektualnego, i duchowego, same świetliste istoty – wyznała. – Tylko fajni ludzie będą w tej mojej prywatnej kawiarence i będziemy mogli sobie otwarcie rozmawiać o różnych zagadnieniach, a że świat się cały czas zmienia z minuty na minutę, to jest dużo tych tematów. Cieszę się, że wszyscy się jasno określili, czy są po stronie światła, czy są po innej stronie – dodała. Mamy nawet dobrą nazwę dla tej prywatnej kawiarenki Edzi z samymi świetlistymi ludźmi. Hala odlotów.

UCIECZKA OD ZŁEJ ENERGII

Niektórzy już zaczęli się martwić, że zniknęła nam jakoś ostatnio z show-biznesu Natalia Siwiec, bo coś cicho o niej, ale sprawa się wyjaśniła. Otóż Natalia jest na wakacjach. Trudno już zliczyć których w tym roku, tym razem wypoczywa z rodziną w Meksyku i nie wie jeszcze, jak długo tam zostanie, bo bardzo jej się podoba. Przede wszystkim dlatego, że jest daleko od złej energii. – Powiem wam, że dla mnie nie ma znaczenia, czy pada deszcz, czy będzie huragan, sztorm czy



FOT. PAMEL GORDON

cokolwiek innego, najważniejsze dla nas jest to, że jesteśmy z daleka od złych wibracji, tej takiej ściskającej, przesywającej złej energii – stwierdziła celebrytka. Ściskająca zła energia, wibracje... Dogadałaby się z Edzią.

KOMU SUKNIĘ, KOMU?

Izabela Janachowska, celebrytka, która zajęła się ostatnio biznesem ślubnym, radzi w „Fakcie” innym kobietom, jak skutecznie walczyć z jesienną chandrą. Przyznaje, że sama też miewa czasem gorsze dni. „Panny młode w białych sukniach wyglądają niewinnie i wyjątkowo. Gdy znów chcę się tak poczuć, przymierzam ślubne kreacje. Jak nikt nie widzi, zakładam jedną za drugą i tak sobie chodzę – wyznała. – Każdej kobiecie polecam włożyć własną suknię ze ślubu albo poprzymierzać w sklepie. Od razu się uśmiechniecie” – namawia. Uśmiechnie się też Iza, jeśli przymierzycie suknie z jej autorskiej kolekcji. A jeszcze szerzej się uśmiechnie, jeśli przy okazji którąś kupicie.

NIEPODOBNA DO SIEBIE

Małgorzata Rozenek vel. Majdan wybrała się do telewizji śniadaniowej, by poopowiadać o swoim doskonałym życiu. Mówiła między innymi o tym, że dotąd była nadopiekuńczą matką dla starszych synów, więc pojawienie się najmłodszego dało im trochę więcej przestrzeni. Pożaliła się także, że wszyscy jej synowie są podobni do swoich ojców, a nie do niej. – Tak jak Staś i Tadeusz są podobni do Jacka, tak Henryk jest podobny do Radosława. Mam troje dzieci i żadne nie jest podobne do mnie – ubolewała. W sumie nic dziwnego, przecież nawet ona sama nie jest do siebie podobna. ☹☹



FOT. WPHOTO/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż w odróżnieniu od smętnych Polaków jesteśmy raczej pogodni i zawsze szukamy okazji do uśmiechu, zwróciliśmy uwagę na dwie istotne zalety ograniczeń związanych z koronawirusosobą.

iż koronawirusosoba jest postępowym, świeckim, europejskim wirusem, który prowadzi do zmian w modelu konserwatywnego trybu życia w tym kraju, a więc to tłumaczy, dlaczego niektórzy na prawicy usiłują wmawiać, iż on nie istnieje.

protest, nawet nie chce nam się biegać, skoro i tak na ulicach nie ma ludzi, którym można byłoby się pokazać w sportowym outficie.

Zresztą nawet na protesty nam się ostatnio za bardzo nie chce, bo zimno, ciemno, trochę nowości na Netflixie i ostatecznie decydujemy się na protesty wewnętrzne, mentalne, iż w środku siebie samych głęboko się nie zgadzamy z tym, co się obecnie dzieje, i tak to jakoś powoli leci.



Otóż wirusosoba sprawiła, iż katofashysm nie przeszedł. Zablokowała w tym kraju tradycyjny coroczny grobbing. W dodatku przez chwilę była szansa, iż zatrzyma fashystofski Marsz Niepodległości, czyli zrobi więcej niż wszystkie zjednoczone siły postępy w tym kraju.

Do tego dołożymy jeszcze ograniczenia liczby osób, które mogą jednocześnie brać udział w churchingu, i okazuje się,

A jak tam wasz jesień na home offisie? Ostatnio odwyczailiśmy się nawet od słońca, iż zaczynamy, kiedy jest ciemno, a kończymy nadgodziny, kiedy trzeba się kłaść spać (sprzedaż pakietów Internet + telefon bardzo ostatnio wzrosła). Stąd też często nawet nie odsłaniamy okien, iż się nie opłaca.

W trosce o zdrowie psychiczne i fizyczne czasami wyskoczmy tylko na jakiś

Z tego też powodu, iż mamy więcej czasu, częściej tropimy przejawy fashysmu i męskiej dominacji w przestrzeni publicznej i właśnie odkryliśmy, jak strasznie zindoktrynowani jesteśmy, skoro nie zwróciliśmy na tę konkretną sprawę uwagi od niemal roku.

Pandemia. Najważniejsze zjawisko tego roku, które wpłynęło na nasz świat, słowo codziennie powtarzane w setkach informacji. A jednocześnie zawołowana wiadomość, iż to znów ten pierwiastek męski, ten opresywny „pan” ma zdolność kształtowania myślenia i postrzegania świata na swoją modłę.

Of kors, nie możemy się na to godzić i proponujemy, iżby stosować od teraz, natychmiast nazwy alternatywne „her/his demia”, „panidemia”, „nonbinarydemia”. Nie możemy odpuszczać żadnego odcinka frontu walki o neutralność językową!!! ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Babcie zęby bołą

Panie inspektorze, mamy problem...

Bez przesady, panie komisarzu, nie ma takiej rury, której nie można odetkać. Co tam?

Tak nam dobrze poszło ze sprowokowaniem narodowców, że teraz

mamy sprowokować uczestników marszu w najbliższy weekend.

No to jaki kłopot? Przebrać odpowiednio wywiadowców, puścić ich w tłum i niech działają.

Tylko że to będzie marsz seniorów. A dokładnie senierek.

Panie po sześćdziesiątce.

Aaaa... To wziąć z teatru charakteryzatorów, niech funkcjonariuszy ucharakteryzują... A twarze szmatami obwiązać, że niby babcie zęby bołą. Babcie nie mają dobrej opieki dentystycznej. I robić swoje.

Tak jest! Ale w kolejny weekend będziemy mieli jeszcze większy problem.

Co znowu?

Zaplanowany jest wielki protest z udziałem buddyjskich mnichów.

To chyba łatwiej przebrać funkcjonariusza za mnicha niż za staruszkę?

Tylko ci mniś to podobno jak się skupią, to nijak się ich nie da wkurzyć. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Unia Europejska powinna udzielić mocniejszego wsparcia protestującym Polkom”

MARTA LEMPART, jedna z liderek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, w wywiadzie dla „Die Zeit”

Będzie potrząsanie. I to mocne. Kim, czym? Ano policją. Już nie tylko szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński w rządzie jest wściekły na asymetryczną reakcję policji na rozmaite demonstracje. W związku z tym mamy ważną wiadomość dla oficerów policji niższych szczebli: szybko otworzą się przed wami drogi awansu.

Przy okazji. Gratulacje dla PiS. Z jednej strony dzicz skupiona wokół tzw. Strajku Kobiet (prawdziwa nazwa KOZ – Komitet Obrony Zabijania) wzywająca na ulicach do mordowania nienarodzonych dzieci. Z drugiej – zadyktowane z Marszu Niepodległości blokujący wjazd karetek na Stradion Narodowy. Więc z jakiej okazji gratulacje dla PiS? Właśnie zostało rozsądnym centrum.

Zżycia służb. Nasz kontrwywiad zaobserwował ostatnio niezwykłą wręcz aktywność rosyjskojęzycznych gości w Polsce. I nie chodzi tutaj bynajmniej o rzesze Ukraińców, Białorusinów czy nawet rdzennych Rosjan pracujących jako sprzątaczkę, kierowcy czy robotnicy budowlani. Chodzi o ludzi, którzy w Polsce studiują. Wielu z nich z równą swobodą posługuje się polskim co rosyjskim, nawet nie zaciągają. A co ważniejsze, są bardzo aktywni. I to zarówno po stronie Antify, jak i narodowców. U pierwszych robią za internacjonalistów, u drugich za rodaków z Kresów. Jeszcze ciekawsze jest to, że chociaż nie są to dzieci oligarchów, to wiedzie im się lepiej niż przeciętnemu studentowi.

Zżycia rozłamowców. Słabo wyglądają nadzieje ardanowszczyków na założenie wielkiego koła w Sejmie. Ostatnio bowiem SWP Jarosław Kaczyński (szeregowy wicepremier) zaprosił na Nowogrodzką radykałów partyjnych, w tym Siarkowską, Uścińskiego czy Wróblewskiego. Długo z nimi rozmawiał, opowiadał, jak bardzo są partii potrzebni. Efekt taki, że nigdzie się nie wybierają.

Pojawiła się także plotka, że gdy zabraknie mu wsparcia w Sejmie, były minister Ardanowski złoży mandat poselski i pójdzie pracować do Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. W ten sposób Ardanowski będzie syty i koalicja cała, bo mandat weźmie kolejny PiS-owiec z listy. Jednak wie-

wiórki z Nowogrodzkiej powątpiewają, czy Andrzejowi Sebastianowi opłaca się z tego powodu wchodzić na wojenną ścieżkę z SWP Kaczyńskim.

Są też ciekawe plotki na temat przyczyn głębokiej irytacji grupy pro-life w klubie PiS, kontestującej projekt prezydenta Andrzeja Sebastiana. Otóż irytację wzbudził zakaz wystąpień medialnych dla Siarkowskiej, Chorośńskiej i innych bojowniczek. Panie dzielnie obeszyły zakazujących, skarżąc się samemu Kaczyńskiemu SWP, który przeciwdział.

Ważne. Ustalono tzw. narrację w sprawie ewentualnego weta wobec budżetu unijnego, gdyby ktoś jednak chciał powiązać przekazywanie funduszy z oceną praworządności. Narracja jest następująca: brak weta oznacza potem zabieranie Polsce pieniędzy w dowolnym momencie pod dętym pretekstem i po uważaniu. A ewentualne weto właśnie te pieniądze ocali.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Niektórzy może pamiętają, jak o przejęcie likwidowanego resortu sportu walczyli premier Mateusz oraz wicepremier aktywów państwowych Jacek Sasin. Pogodził ich wicepremier Piotr Gliński, który sport zabrał do swojego ministerstwa. Próby sił w polityce mają jednak to do siebie, że nigdy się nie kończą. Mało kto wie, że wicepremier Sasin w związku z tym postanowił u siebie zorganizować takie małe osobne ministerstwo sportu, a dokładnie departament. Nawet już zatrudnia.

ZWatykanu. Jakby nie dosyć było spraw kardynałów Dziwisza i Gulbinowicza, oko watykańskiej komisji spoczęło na osobie byłego prymasa, a jeszcze uprzednio nuncjusza apostolskiego w Polsce, abp. Józefa Kowalczyka. Stolica Apostolska ma podejrzenie, a niektórzy mówią wręcz, że jest podejrzenie graniczące z pewnością, że były nuncjusz nie przykładał się do przekazywania Rzymowi niepokojących informacji.

Wszystko wskazuje na to, że w związku z tym w najbliższym czasie nie można się spodziewać nowych kreacji kardynalskich w gronie Polaków. W tej chwili z grona polskich purpuratów jedynie metropolita warszawski ma prawo udziału w konklawe. Dwaj pozostali, czyli Gulbinowicz i Dziwisz, je stracili. Oficjalnie wersja jest taka, że dopóki nie opuszczą tego łez padołu, dopóty nowych nominacji nie będzie.

Jest nawet gorzej. Papież przestał uwzględniać przesłane mu kandydatury z tzw. terno. Jest taki zwyczaj, że ordynariusz przedstawia papieżowi trzy kandydatury na biskupa pomocniczego. Ostatnio Stolica Apostolska zupełnie to zlekceważyła i na arcybiskupa pomocniczego wyznaczyła człowieka aż z Brazylii.

Mamy i nieoczekiwany efekt wzrostu nastrojów antyklerykalnych na Lewicy. A nawet na Lewicy, bo to jej przedstawicielki odstawiły w Sejmie happening polegający na rozwaleniu portretu Dziwisza, a następnie publicznym sprzątaniu. Wiedzieliśmy, że feministki walczą o nowy wizerunek kobiety. Nie wiedzieliśmy, że ma to być wizerunek kobiety z miotłą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Rzeź na wzgórzu 226.
Wstrząsający wywiad
z weteranem z Korei

Tomasz Stańczyk – Największe zamachy OUN
Jan Pisuliński – Ukraińcy kontra II RP
Piotr Zychowicz – Kto postrzelił gen. Andersa?
Arkadiusz Karbowski – Obrona poczty w Gdańsku
Nikołaj Iwanow – Polscy Czekiści
Maciej Rosalak – Największe epidemie w historii
Jakub Ostromęcki – Tajemnica śmierci Rommła
Krzysztof Masłoń – Świadek sowieckiej barbarii
Jacek Bartosiak – Putin coraz bliżej...

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. ADARSTOCK

Możesz wyremontować mieszkanie, bo sklepy budowlane są otwarte. Z wybraniem do niego lodówki czy zmywarki tak łatwo nie będzie. Podobnie ze sprzętem do pracy i nauki zdalnej. Obejrzeć i kupić można go tylko w Internecie, bo od 7 listopada sklepy stacjonarne ze sprzętem RTV, AGD i IT są zamknięte. Jednak na ich dostawę będziemy musieli poczekać dłużej niż zazwyczaj

RTV, AGD i IT zamrożone przed Black Friday i świętami!

W sobotę weszło w życie Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 6 listopada 2020 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem stanu epidemii, a wraz z nim przepis nakazujący zamknięcie sklepów w obiektach handlowych o powierzchni powyżej 2 tys. metrów. Wyjątek stanowią m.in. sklepy spożywcze, drogerie, apteki, sklepy z żywnością dla zwierząt, akcesoriami samochodowymi czy artykułami budowlanymi. Zamknięte natomiast są sklepy ze sprzętem RTV, AGD i IT, które dla uczniów wszystkich rodzajów szkół, studentów i pracowników różnych sekto-

rów stały się obecnie dobrem pierwszej potrzeby. Dzięki zakupom w takich sklepach nie tylko możemy utrzymać dom w czystości czy przygotować posiłki, ale przede wszystkim umożliwić dzieciom zdalną naukę, rodzicom pracę i kontakt z najbliższymi. Zakaz ma obowiązywać do 29 listopada 2020 r.

INFORMACJE W SIECI, ZAKUPY W SKLEPIE

Tylko w 2019 r. Polacy wydali na sprzęty AGD ponad 11,9 mld zł brutto – wynika ze statystyk związku pracodawców AGD Applia. Sprzedaż dużego AGD wzrosła 6,1 proc. W 2016 r. sprzedano 5,81 mln urządzeń, w 2019 r. – aż 6,37 mln. Polacy wybierają coraz bardziej za-

awansowane sprzęty – bo zależy im nie tylko na wysokiej jakości, lecz także na niskim zużyciu energii i rozwiązaniach, które ułatwiają codzienne funkcjonowanie. Rośnie zainteresowanie sprzętem inteligentnym, czyli takim, którym można sterować za pomocą smartfona. Po nadejściu pandemii wyposażenie rodzin w odpowiedni sprzęt elektroniczny stało się niezbędne, aby móc uczyć się i pracować.

I choć pandemia zmieniła zwyczaj zakupowe Polaków i szacuje się, że wartość rynku e-commerce w 2020 r. wyniesie 100 mld zł, to waga sklepów stacjonarnych nie maleje. Jak wynika z ubiegłorocznego badania „Cyfrowe zwyczaje Polaków”, przeprowadzonego

przez Kantar na zlecenie Wonga, siedmiu na 10 Polaków przygotowuje się do zakupu sprzętu RTV, AGD i IT w sieci – czyta parametry, opinie, komentarze, przegląda testy konsumenckie... a następnie wybiera się do sklepu stacjonarnego. Aż 36 proc. badanych deklaruje, że woli pójść do sklepu i obejrzeć dokładnie wybrany w Internecie towar, skorzystać z pomocy doradcy, a dopiero potem podjąć decyzję o zakupie. „Szukam informacji o sprzęcie RTV i AGD w Internecie, ale następnie oglądam i kupuję go w sklepie stacjonarnym” – taką ścieżkę zakupów wybiera 44 proc. kobiet, a tylko 29 proc. mężczyzn. 13 proc. badanych stwierdziło, że korzysta wyłącznie ze sklepów tradycyjnych i nie zamawia sprzętu on-line. Zamknięcie sklepów stacjonarnych i brak możliwości skorzystania z profesjonalnego wsparcia to poważna bariera dla wielu kupujących, w szczególności większości społeczeństwa 55+. Niemal co trzeci klient nie wyobraża sobie bowiem zakupu elektroniki użytkowej bez bezpośredniego kontaktu z fachowym doradcą w stacjonarnym punkcie. W tej grupie znajdują się chociażby nauczyciele chcący efektywnie zrealizować rządowy bon 500 zł na zakup elektroniki do prowadzenia zdalnych zajęć czy osoby potrzebujące wsparcia przy prawidłowej konfiguracji sprzętu.

ZNIŻKI I OKAZJE

Elektronika to prezent świąteczny, o którym marzyło w ubiegłym roku najwięcej Polaków, tak przynajmniej wynika z badania przeprowadzonego przed ubiegłorocznymi świętami przez Allegro. Co siódmy badany zamierzał kupić swoim bliskim pod choinkę sprzęt elektroniczny (najpopularniejsze na liście prezentowej były konsole do gier, smartfony, laptopy i tablety). Końcówka roku to także okres tradycyjnych świątecznych porządków i związany z nimi moment wprowadzania drobnych ulepszeń w domu. Właśnie wtedy wiele osób decyduje się np. na zakup nowego, lepszego telewizora czy wymianę lodówki. Zamknięcie sklepów stacjonarnych będzie miało wpływ na podejmowanie decyzji zakupowych – sklepy z RTV, AGD i IT były często odwiedzane spontanicznie, podczas zakupów w centrum handlowym. Rozmowa ze sprzedawcami i atrakcyjne oferty cenowe były bardzo często impulsem do podjęcia decyzji o wymianie sprzętu w domu.

Okres świąteczny to nie tylko czas wzmożonych zakupów, lecz także czas obniżek i promocji. Na razie rozporządzenie przewiduje, że sklepy ze sprzętem RTV, AGD i IT będą zamknięte do 29 listopada, a to oznacza, że w tym roku klienci sklepów stacjonarnych nie tylko nie będą mogli z wyprzedzeniem kupić prezentów świątecznych, lecz także nie będą mogli skorzystać z promocji w ramach Black Friday. Czarny piątek wypada bowiem w tym roku 27 listopada. Tymczasem z badania przeprowadzonego przez Picodi.com wynika, że Polacy chętnie wydają wtedy pieniądze – na pierwszym miejscu na ubrania i obuwie, ale zaraz za nimi plasują się elektronika i rzeczy do domu. Ograniczenie zakupów w sklepach stacjonarnych podczas Black Friday oznacza realne straty dla branży detalicznej zatrudniającej ok. 25 tys. osób, a także polskich fabryk AGD i sprzętu elektronicznego, a więc podmiotów dającym zatrudnienie ponad 180 tys. osób. W tym roku mogą być one tym bardziej odczuwalne, dlatego że – jak wynika z badania przeprowadzonego przez Instytut Badań Zmian Społecznych „Jaka będzie Polska po epidemii?” – aż 83 proc. Polaków zamierza żyć oszczędniej, a to może bezpośrednio przełożyć się na ich koszty zakupowe, a co za tym idzie – na kondycję sklepów i zatrudnienie w nich. Już po pierwszej fali pandemii galerie handlowe przeżyły ogromny kryzys – według danych Polskiej Rady Centrów Handlowych ruch w galeriach handlowych był o jedną piątą mniejszy niż rok wcześniej. Ograniczenie ich działalności od 7 listopada będzie miało wpływ na kondycję zamkniętych rozporządzeniem i doprowadzi do

zamknięcia części z nich (duże sieci na razie z branży modowej likwidują swoje sklepy) i zwolnień pracowników.

Sytuacji firm i klientów nie poprawi znacząco możliwość zakupów w Internecie. Duża część osób z grupy konsumentów o tradycyjnych zwyczajach w ogóle w Internecie nie funkcjonuje, więc nie ma też możliwości zakupu. Końcówka roku to już tradycyjnie ograniczone moce systemów logistycznych i firm kurierskich. Gdy nałożymy na to dodatkowo brak możliwości zakupów i odbioru w sklepach stacjonarnych, musimy się liczyć z ryzykiem, że nasze zamówione w listopadzie prezenty mogą nie dotrzeć przed świętami Bożego Narodzenia.

EUROPEJSKA POTĘGA AGD

Branża handlu elektroniką jest zdominowana w 80 proc. przez polskie firmy. Zamknięcie sklepów może odbić się na ich kondycji, a także na sytuacji fabryk, które sprzęt AGD produkują. Z danych Applia wynika, że w Polsce zlokalizowanych jest 31 fabryk produkujących sprzęt, które zatrudniają ok. 100 tys. pracowników i produkują towary o wartości 22 mld zł. Kolejne kilkadziesiąt tysięcy osób znajduje zatrudnienie w branży produkcji telewizorów, wyrobów komputerowych, elektronicznych i optycznych. Polskie fabryki w ubiegłym roku wypuściły na rynek 26 mln sztuk urządzeń z kategorii „duże AGD”. Jesteśmy numerem jeden w europejskiej produkcji AGD – powstaje u nas 55 proc. pralek i suszarek do ubrań, 50 proc. zmywarek, 35 proc. chłodziarek i piekarników. Spadki sprzedaży w tym sektorze mogą negatywnie odbić się na sytuacji finansowej polskich fabryk i zatrudnionych w nich pracowników.

Magda Kowalska

Elektronika w czasie pandemii

Badanie GfK Consumer Life pokazało, że pandemia sprawiła, iż wzrosło zainteresowanie zakupami sprzętu, zwłaszcza ułatwiającego łączność z innymi, dzięki którym możliwa jest zdalna praca i nauka. Łącznie na rynkach Francji, Niemiec, Włoch, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii o:

- **297 proc.** wzrosła sprzedaż kamer internetowych,
- **120 proc.** wzrosła sprzedaż monitorów komputerowych,
- **62 proc.** wzrosła sprzedaż notebooków i tabletów.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się także kuchenki mikrofalowe (skok o 36 proc.), bo w związku z tym, że wiele osób przeszło na home office, a gastronomia była zamknięta, chętniej przygotowywali posiłki w domu.

W Polsce było podobnie – zdalne nauczanie i praca zdalna sprawiły, że sprzęt komputerowy stał się niezbędny do codziennego funkcjonowania. Druga fala i zapowiedzi rządu dotyczące m.in. bonu dla nauczycieli w wysokości 500 zł na sprzęt elektroniczny sprawia, że tendencja ta będzie się utrzymywać.

Kiedy polski raport?



Tomasz Rowiński

Po raporcie watykańskim potrzebny jest nam raport poświęcony problemom homoseksualizmu i nadużyć seksualnych dotyczący polskiego Kościoła

Gdy zaczynam pisać ten artykuł, ledwie od kilku godzin znana jest treść obszernego raportu poświęconego sprawie byłego amerykańskiego kard. Theodore'a McCarricka. Został on wydany ze stanu duchownego z powodu wiarygodnych oskarżeń o seksualne

napastowanie małoletnich. Przygotowanie tego dokumentu zlecił papież Franciszek, by Kościół i świat lepiej mogli zrozumieć mechanizmy, które doprowadziły do tak łatwej i szybkiej kariery człowieka całkowicie zepsutego oraz bezwzględniego. Człowieka, który nie miał oporów,

by w żywe oczy przekonująco kłamać Janowi Pawłowi II. Gotowego właściwie na wszystko, byle tylko jego kariera nie została zatrzymana.

Raport to skrupulatne studium przygotowane na podstawie źródeł Sekretariatu Stanu, odsłaniające krok po kroku nieskuteczność mechanizmów instytucji kościelnej. Pokazujące jej bezradność w powstrzymaniu ludzi złej woli i awansów McCarricka. Dokument ten rozczaruje jednak tych, którzy oczekiwali, że wyłoni on w sposób prosty i bezpośredni winnego, kozła ofiarnego, którego – mówiąc kolokwialnie – będzie można w mediach „grillować” przez kolejne tygodnie, a może i miesiące. Ze skróconej analizy raportu

jedną manipulację czy złą wolę. Z drugiej strony w raporcie brakuje wątku być może najbardziej kluczowego.

STEROWANIE OPINIĄ

Jeśli chodzi o rzetelne relacjonowanie sprawy, to bardzo szybko znalazłem przykłady sterowania uwagą odbiorców. Przykładowo w leadzie artykułu omawiającego raport na portalu telewizji TVN24 znajdujemy w jawny sposób oskarżające stwierdzenie, że „mimo wiedzy Stolicy Apostolskiej o niewłaściwym zachowaniu Amerykanina dostąpił on godności arcybiskupiej i kardynalskiej”. Kilka zdań dalej, w miejscu, do którego nie dotrą już czytelnicy nagłówek, można znaleźć wyrażoną wprost konkluzję z raportu, że „wiarygodne dowody” na kontakty homoseksualne McCarricka z nieletnimi pojawiły się dopiero w roku 2017. Potwierdza to Tornielli, który nie tak dawno, bo w roku 2019, starał się w swojej książce „Dzień sądu” rzucić cień odpowiedzialności za sprawę McCarricka na Jana Pawła II. Teraz ten zniknął. W swoim podsumowaniu raportu Tornielli pisze wprost: „Siła Raportu znajduje się oczywiście w jego kompletności, ale także w jego wizji całości, którą prezentuje. I z tej wizji całości wypływają niektóre punkty stałe, które powinny zostać uwzględnione. Pierwszy dotyczy popełnionych błędów, które już zostały uwzględnione przez nowe normy Kościoła, aby uniknąć powtórzenia się podobnych historii. Drugi element dotyczy braku, aż do 2017 roku, jakichkolwiek informacji na temat nadużyć wobec nieletnich popełnionych przez McCarricka. Prawdą jest, że w latach dziewięćdziesiątych niektóre anonimowe listy docierające do kardynałów i nuncjatury w Waszyngtonie wskazywały na to, ale bez dostarczania szczegółowych poszlak, danych osób oraz okoliczności. Zostały niestety uznane za niewiarygodne właśnie dlatego, że brakowało elementów konkretnych. Pierwsze szczegółowe oskarżenie dotyczące osoby nieletniej pojawiło się właśnie trzy lata temu, co doprowadziło do natychmiastowego otwarcia procedury kanonicznej, zakończonej dwoma kolejnymi decyzjami papieża Franciszka”.

Te dwie decyzje to najpierw usunięcie McCarricka z kolegium kardynalskiego, a potem w ogóle ze stanu duchownego. Jeśli chodzi o nowe normy, to Tornielli ma na myśli motu proprio „Vis estis lux mundi”, opublikowane przez papieża Franciszka i zawierające wskazania na temat sposobu wymiany informacji

między dykasteriami oraz Rzymem a Kościołami lokalnymi, zaangażowania biskupów już na początkowym etapie zbierania opinii, potrzeby szybkiego weryfikowania oskarżeń, a także zniesienia zasady sekretu papieskiego.

ROLA KARD. DZIWIWSZA

Raport, choć nie bezpośrednio, dotyczy też problemów polskiego Kościoła. Dzień przed publikacją watykańskiego dokumentu został wyemitowany w TVN reportaż Marcina Gutowskiego „Don Stanisław”, będący swoistą wyliczanką spraw, w których udział wieloletniego sekretarza św. Jana Pawła II powinien zostać wyjaśniony. Kardynał Dziwisz zareagował oświadczeniem, w którym zaprzeczył rewelacjom, pisząc: „Nigdy, powtarzam, nigdy nie otrzymywałem pieniędzy w zamian za udział we Mszach papieskich; nigdy, podkreślam nigdy, nie otrzymałem pieniędzy na ukrycie czynów lub faktów, które mają być przedmiotem szczególnej uwagi Ojca Świętego; nigdy, i w końcu, nigdy nie faworyzowałem niegodnych ludzi w obliczu darowizn, które można umieścić w jakiejś przewrotnej logice handlu wymiennego”. Zapewne same słowa nie wystarczą i należy oczekiwać, że działania kard. Dziwisza doczekają się omówienia w raporcie. Można się spodziewać, że będzie on lekturą smutną i równocześnie pasjonującą, podobnie jak thriller o byłym kard. McCarricku, który otrzymaliśmy od Kościoła w minionym tygodniu. Szybko po publikacji tego ostatniego dało się przeczytać w mediach, że nazwisko Dziwisza pojawia się w watykańskim opracowaniu ponad 40 razy. To prawda. Nie w liczbie jednak tkwi oskarżenie kard. Dziwisza. Kardynał John O'Connor, jedna z tych postaci, które w kluczowym momencie, nie posiadając niestety mocnych dowodów, ostrzegały papieża Jana Pawła II przed McCarrickiem, pojawia się w raporcie ok. 150 razy.

Dla zrozumienia roli Stanisława Dziwisza konieczne jest zwrócenie uwagi na jeden z kluczowych momentów sprawy McCarricka, w który sekretarz Jana Pawła II był zaangażowany. Pod koniec lat 90. kariera kościelna McCarricka nabierała rozpędu, stał się on wtedy kandydatem na stolicę biskupią w Waszyngtonie, która tradycyjnie była wiązana z nominacją kardynalską. McCarrick zbierał w tym czasie pochlebne opinie, pojawił się jednak także głos krytyczny. Nowojorski metropolita – kard. John O'Connor – po wcześniejszych rozmowach z innymi

Jaką rolę odegrał kard. Dziwisz w tym, by Theodore McCarrick został jednak kardynałem? FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/PAP

napisanej przez bliskiego Franciszkowi, i z pewnością przychylnego konkluzjom dokumentu, Andrei Torniellogo wyłania się raczej obraz niewydolnego systemu, czasem ludzkich zaniechań, także niepokojących niedopowiedzeń, ale i ostrożności wobec anonimowych lub niezbyt konkretnych oskarżeń. Te pojawiały się przez lata, ale wiemy też, ile były warte np. w sprawie uniewinnionego kard. George'a Pella.

Jak należy zatem ocenić raport w sprawie McCarricka? Z jednej strony dobrze, że powstał, ponieważ Kościół dał świadectwo – po ludzku rzecz biorąc – ryzykownej odwagi polegającej na wystawianiu się na medialne analizy, w których znajdziemy z pewnością nie-

■ biskupami zaadresował do nuncjusza apostolskiego list, datowany na 28 października 1999 r. Napisał w nim, że choć nie posiada informacji bezpośrednich, to uważa nominację McCarricka na nowy urząd za błąd, który grozi skandalem. Chodziło o coraz bardziej rozpowszechnione plotki, że arcybiskup w przeszłości dzielił łóżko w swojej siedzibie z młodymi mężczyznami, a w domu nad morzem również z klerykami.

Jan Paweł II zareagował na tę sprawę i polecił nuncjuszowi zbadać oskarżenia. Zebrane na piśmie opinie również tym razem nie dały żadnego konkretnego dowodu: informacje trzech z czterech konsultowanych biskupów z New Jersey zostały określone w raporcie jako „niedokładne i niekompletne”. Papież, który znał McCarricka od 1976 r., ponieważ spotkał go podczas jednej ze swoich podróży do Stanów Zjednoczonych, zgodził się na propozycję ówczesnego nuncjusza w USA abp. Gabriela Montalvo oraz ówczesnego prefekta Kongregacji ds. Biskupów abp. Giovanniego Battisty Re, by wycofać tę kandydaturę. Uznano, że mimo braku danych szczegółowych nie należy podejmować ryzyka przenosin hierarchy do Waszyngtonu. Uznano, że nawet bezpodstawne oskarżenia mogłyby wywołać „zakłopotanie i skandal”. Tak sytuację w swoim podsumowaniu sprawy opisuje Andrea Tornielli, którego dziś naprawdę trudno traktować jako autora przychylnego papieżowi z Polski.

Wtedy następuje jednak zwrot akcji. McCarrick dowiaduje się o swojej sytuacji i 6 sierpnia pisze list do bp. Dziwisza, w którym zapewnia, że nie miał „nigdy stosunków seksualnych z żadną osobą, ani z mężczyzną, ani z kobietą, z młodą ani ze starszą, ani z duchownym, ani ze świeckim”. List trafił w ręce Jana Pawła II, który dał wiarę gorącym zapewnieniom McCarricka wobec wciąż opierającym się tylko na pogłoskach oskarżeniom. W tym czasie nie pojawił się zresztą jeszcze wciąż wątek napastowania małoletnich, czyli pedofilii lub efebofilii. Ostatecznie McCarrick trafił do Waszyngtonu, a będąc tam, otrzymał kapelusze kardynalski. Według świadectw cytowanych w raporcie Janem Pawłem II kierowały dobra wola i doświadczenia z PRL, gdzie czymś normalnym było kompromitowanie biskupów i księży na podstawie zarzutów uchodzących za fałszywe.

Jaka była rola kard. Dziwisza w sprawie McCarricka? Czy był tylko pośredni-

kiem listu czy raczej promotorem amerykańskiego hierarchy, działającym z pełną świadomością jego „stylu życia”? Czy rzeczywiście odpowiedzi na pytania o zaangażowanie sekretarza Jana Pawła II w kościelną mafię pedofilską znajdziemy się w katalogu zastrzeżonym IPN, który miał być odtajniony, a został w ostatnim czasie na nowo zamurowany? Te kwestie czekają na wyjaśnienie.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

W ten sposób zbliżamy się do wątków, których raport wprawie Theodore’a McCarricka nie zawiera. Już pierwszy kontakt z tekstem opracowania nasuwa pytania. Dlaczego pod koniec lat 90. tylko kard. John O’Connor przesłał papieżowi krytyczną opinię dotyczącą biskupa Newark? Dlaczego opinie pozostałych opiniujących miały charakter „niedokładnych i niekompletnych”? Dlaczego ignorowano próby ograniczenia aktywności McCarricka, które podejmował – za pośrednictwem kard. Re – Benedykt XVI? Pamiętajmy, że następcą Jana Pawła II w 2006 r. skłonił amerykańskiego purpurata do rezygnacji z przewodzenia metropolii nowojorskiej z powodu informacji o jego „homoseksualnym stylu życia”.

Dlaczego w raporcie prawie w ogóle nie pojawia się kwestia homoseksualizmu jako strukturalnego problemu Kościoła? Homoseksualizm w raporcie pojawia się bowiem tylko 11 razy i to głównie w cytowanych dokumentach, przede wszystkim listach mających oskarżycielską wymowę. Przecież pedofilia Theodore’a McCarricka – która pograżyła go ostatecznie – to tylko sam wierzchołek jego aktywnego homoseksualizmu. To właśnie kościelne przyzwolenie na klerykalny homoseksualizm, a co za tym idzie – efebofilie, czyli upodobanie do dorastających chłopców, w skrajnych przypadkach zaś przybierające postać pedofilii, jest wielkim nieobecnym raportu.

Dziennikarze i publicyści piszą, że raport jest „szokiem” i „wstrząsem” dla Kościoła. Być może dla tych, którzy za pomocą wyszukiwarki stwierdzają obecność w raporcie takiego czy innego nazwiska, co jeszcze zresztą niewiele znaczy. Sam wpisałem do niej nazwisko pozornie dalekie od oczywistości – „John Jay”. Był on redaktorem niezależnego raportu, którego przygotowanie episkopat Stanów Zjednoczonych zlecił College of Criminal Justice z Uniwersytetu Nowy Jork. W dokumencie opublikowanym w 2004 r.

i zatytułowanym „The Nature and Scope of Sexual Abuse of Minors by Catholic Priests and Deacons in The United States” można przeczytać, że w 81 proc. ofiarami nadużyć seksualnych księży byli chłopcy, z czego ponad 50 proc. więcej niż 11 lat. Zatem już w 2004 r. dominacja homoseksualnego charakteru klerykalnych nadużyć w USA stała się czymś oczywistym. Niestety wyników dla słów „John Jay” w raporcie ws. McCarricka wyszukiwarka pokazała – zero. Jak, widać, związek klerykalnego homoseksualizmu i klerykalnej pedofilii autorów raportu nie interesował.

Możemy teraz wrócić do sprawy polskiej i przedstawić pewne poszlaki. Wiemy, że sprawy kadrowe Jan Paweł II zostawił ks. Dziwiszowi, który zarządzał przez długie lata także polskim Kościołem – razem z nuncjuszem apostolskim abp. Józefem Kowalczykiem. Obaj są wielkimi nieobecniymi w dyskusjach, które toczą się w Polsce po skandalach będących efektem polityki personalnej, którą obaj firmowali.

W tym kontekście należy pytać obu hierarchów o ich zaangażowanie w kościelną karierę abp. Juliusza Paetza, o rozwój homoseksualnej sieci, którą tworzył przez dziesięciolecie kard. Gulbinowicz i której „owocami” są sprawy bp. Edwarda Janiaka czy bp. Jana Tyrawy. Nie zapominając o innym synu polskiego Kościoła – abp. Józefie Wesołowskim, nuncjuszu apostolskim w Dominikanie, który także został z powodu czynów pedofilskich usunięty z szeregów duchowieństwa.

Dlaczego, gdyby nie interwencja Wandy Półtawskiej, sprawa Paetza w ogóle by nie ruszyła? Dlaczego abp Marek Jędraszewski zbierał w 2002 r. podpisy w obronie metropolity poznańskiego? Sprawy te godne są tego, by poświęcono im raporty analogiczne do tego, jaki napisano w sprawie McCarricka.

Z praktykującą nadużycia homoseksualną mafią w szeregach duchowieństwa Kościół, w czasach kolejnych fal rewolucji seksualnej, musi poradzić sobie sam. Bez podjęcia tej zasadniczej kwestii następne raporty będą tylko ciekawymi studiami nad pojedynczymi przypadkami, które nie odsłonią przyczyn. Czy można mieć nadzieję, że naprawa nastąpi? Na razie nie mam wiele optymizmu. Nie tak dawna watykańska konferencja poświęcona sprawom nadużyć zatrzymała się na abstrakcyjnym problemie klerykalizmu, jednak o homoseksualizmie nawet nie wspomniano.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Paweł Lisicki

Fragment wstępu do książki Michaela S. Rose'a „Żegnajcie, dobrzy ludzie”

Są książki, które może lepiej, żeby nigdy nie zostały napisane. Są teksty, które może lepiej, żeby nigdy nie ujrzały światła dziennego. Zbyt uderzają naszą wrażliwość. Zbyt bołą. Tak, cokolwiek by powiedzieć o słowach, one naprawdę mogą świdrować, przeszywać. I tak jest właśnie z książką „Żegnajcie, dobrzy ludzie”. Zastanawiam się, dlaczego właściwie jest ona tak poruszająca. Dla kogoś, kto zna kolejne listy abp. Carla Marii Viganò, nic nie powinno być zaskakujące. Czy nie napisał on w pierwszym z nich: „Biskupi i księża, nadużywając swojej władzy, dopuścili się obrzydliwych przestępstw ze szkodą dla swoich wiernych, nieletnich, niewinnych ofiar oraz młodych ludzi gotowych poświęcić swoje życie dla Kościoła, albo swoim milczeniem nie zapobiegli popełnianiu takich przestępstw. Aby przywrócić piękno świętości obliczu Oblubienicy Chrystusa, która jest okropnie oszpecona tak wieloma wstrętnymi przestępstwami i jeśli naprawdę chcemy uwolnić Kościół od cuchnącego bagna, do którego wpadł, musimy mieć odwagę zburzyć kulturę tajemnicy i publicznie wyznaczyć prawdy, które były trzymane w ukryciu. Musimy zburzyć spisek milczenia, za pomocą którego biskupi i księża chronili siebie samych kosztem swoich wiernych, spisek milczenia, który w oczach świata grozi Kościołowi tym, że będzie wyglądać jak sekta, spisek milczenia nie tak odmienny od tego, który panuje w mafii”.

„CUCHNĄCE BAGNO”

Arcybiskup, który porównuje życie w świętym Kościele, wewnętrzne życie Oblubienicy Chrystusa, do mafii – co może być od tego jeszcze mocniejsze? Co można jeszcze dodać do słów kogoś, kto mówi o „cuchnącym bagnie”, w które wpadł Kościół? Że nie są to tylko retoryczne popisy, dobrze świadczy list papieża emeryta Benedykta XVI opublikowany w maju 2019 r. O ile abp. Viganò można by jeszcze zarzucić przesadę, ■

Źródło zła



FOT. ANDRZEJ STOK

■ zbytnią emocjonalność, nawet osobistą niechęć do papieża Franciszka, o tyle takich zarzutów Benedyktowi postawić nie można. A jednak jeśli chodzi o diagnozę, to niemal wcale nie różnią się oni od siebie. Benedykt XVI pisze, że „wśród wolności, do których w swojej walce dążyła rewolucja roku 1968, była ta powszechna wolność seksualna, taka, która już nie uznawała żadnych norm”.

To prawda. Rok 1968 był pod każdym względem przełomem. Oznaczał on zwycięstwo rewolucyjnego neomarksizmu, początek absolutnej dominacji idei szkoły frankfurckiej, duchowe zwycięstwo Wilhelma Reicha i Herberta Marcuse’a. Od tej pory uznano, że prawdziwą, realną formą ucisku społecznego nie jest opresja klasowa, nie jest rzekomy wyzysk klasy robotniczej przez burżuazję, ale – do czego też w dużym stopniu przyczyniły się pisma Michela Foucaulta – tłumienie pożądania seksualnego. Sprawiedliwe ma być, mówiono, tylko takie społeczeństwo, w którym każdy może dowolnie, bez skrępowania i ograniczeń, zaspokajać swoje erotyczne marzenia i wizje. [...]

„Częścią fizjonomii rewolucji roku 1968 było to, że pedofilia została wówczas także zdiagnozowana jako dopuszczalna i właściwa”. Dlaczego by nie? Skoro liczy się jedynie zaspokojenie, skoro znosi się wszelkie oceny i sądy, to dlaczego pożądanie ma zostać ograniczone ze względu na wiek? Benedykt XVI precyzyjnie, niczym chirurg dokonujący bolesnej operacji, odsłania kolejne pokłady choroby. Mówi jasno, że „byli – nie tylko w Stanach Zjednoczonych Ameryki – pojedynczy biskupi, którzy odrzucali tradycję katolicką jako całość i dążyli do zapoczątkowania nowej, nowoczesnej »katolicyzmu« w swoich diecezjach. Być może warto wspomnieć, że w niejednym seminarium studenci przyłapani na czytaniu moich książek byli uważani za niezdolnych do kapłaństwa”.

Dlaczego zatem mimo znajomości tych tekstów i listów książka Michaela S. Rose’a tak uwiera? Dlaczego tak boli? Co nowego odsłania? Co mówi nam jeszcze o Kościele? Co pokazuje, czego byśmy jeszcze nie wiedzieli? Co mówi tym, którzy słyszeli o historii amerykańskiego kard. Theodora’a McCarricka, który przez lata, jak się okazało, zapraszał młodych seminarzystów do swojego domu i tam z nimi razem spał? Albo tym, którzy śledzą historie innych hierarchów, podobnie jak Amerykanin, oskarżonych przez ich

bezbronne ofiary o nadużycie władzy, o gwałt, czasem o jego tuszowanie? Tu można by podawać kolejne nazwiska księży, niekiedy biskupów. Wszyscy oni wykorzystali swoją pozycję do zaspokojenia żądz, niszcząc życie innych ludzi. Brrr. Jest coś strasznego w tym, jak to nazwał abp Viganò, „cuchnącym bagnie”. Diabełstwo samo w sobie. A jednak nie o tym jest książka Rose’a. Poszukiwacze pikantnych szczegółów będą zawiedzeni. Nic z tych rzeczy. Żadnych dosadnych opisów.

Może jednak właśnie dlatego, że nie jest to opowieść o pedofilii, o katkach i ofiarach, ale o ATMOSFERZE PRZY-ZWOLENIA, jest ona tak mocna i tak trudna do zniesienia? „Dzisiaj wielkie pytanie brzmi: Dlaczego się to stało? Rozmiar skandali i nadużyć seksualnych oraz towarzyszących im ugód finansowych, ale także działań tuszujących zszokował wielu wiernych, którzy po prostu nie są w stanie zrozumieć, jak coś takiego mogło się wydarzyć i dlaczego tak długi czas było to zamykane pod dywan”. [...]

ATAK NA KOŚCIÓŁ

Amerykański dziennikarz opisuje kontekst, środowisko, w którym to, co teraz, to, co od kilkunastu lat piętnują i pokazują media, musiało się stać. Więcej. On pokazuje coś głębszego. Dokładny, precyzyjny plan zniszczenia Kościoła. Nie waham się użyć tu najmocniejszych słów. Tak. Demoniczny, diaboliczny zamysł totalnego zniszczenia Kościoła. Jak? Bardzo prosto. Przez zdeprawowanie, znieprawienie księży. Przez świadome doprowadzenie do sytuacji, w której to wierzący, prawowierni, oddani Kościołowi i papieżowi kandydaci są

szyszanowani, zniechęca się ich, prześladuje wręcz, a promuje się miernoty, żalosnych i tchórzliwych wyznawców dostosowania i świętego spokoju. Ba, teraz niech padną te strasne słowa: wspiera się degeneratów. Naprawdę, nie przesadzam. „Ujmując rzecz krótko – pisze Rose – trzeba by powiedzieć, że kapłaństwo katolickie padło ofiarą zamachu-po-

rwania ze strony tych, którzy wykorzystując je, chcą zmienić Kościół katolicki od wewnątrz”. Straszne słowa, nieprawdaz? Okazuje się, że od lat 60. niektóre katolickie seminaria, przynajmniej w USA, zamiast wychowywać kapłanów Chrystusa, ludzi, którzy całe swoje życie chcieliby poświęcić na ofiarę Panu i na służbę bliźnim, by ratować ich dusze przed potępieniem, wypuszczali niewyżytych rewolucjonistów, niespełnionych reformatorów, niedoszłych wywrotowców. Rose nie pozostawia nam złudzeń: „Żegnajcie, dobrzy ludzie” to zepsucie ujawnia: ukazuje rozmyślną infiltrację seminariów katolickich przez to coś, co Andrew M. Greeley nazwał »lawendową mafią«: przez klikę homoseksualnych dyktatorów i zakonspirowanych, liberalnych członków kadry seminaryjnej z determinacją dążących do tego, by doprowadzić do zmiany doktryny dyscypliny i misji Kościoła katolickiego, działając w jego wnętrzu”. Cała książka jest już jedynie przypisami do tego zdania. [...]

Niektóre opowiadane przez nich historie po prostu jeżą włos na głowie. Oto jeden z kandydatów trafił na rekolacje, w których pomocy w rozeznaniu powołania miała udzielić „młoda nowicjuszką”, niejaka Linda, „która sama chciała zostać kapłanem”. Rzeczywiście, piękny przewodnik (przewodniczka?). Rose opisuje, jak wyglądały szacowne niegdyś i cieszące się uznaniem szkoły i seminaria jezuickie. Jeden z kapłanów „opuścił szkołę św. Ignacego, w której nauczał religii, ale seksualne nękanie poszło za nim, dopadając go w Jesuit School of Theology w Berkeley, gdzie kontynuował studia seminaryjne. Podczas pobytu tam Gleeson, w owym czasie prezydent szkoły, złożył mu miał

następującą propozycję: »Powiedział mi, że jeśli chcę się z nim zaprzyjaźnić, nie powinienem być zaskoczony, jeśli ta przyjaźń nabierze charakteru seksualnego i że jego osobie najbardziej interesowałaby wzajemna masturbacja«. Składający tę propozycję jezuita później awansował. Przerazoni seminarzysta, kiedy skarżył się przełożonemu, uzyskał nieszczerę przeprosiny.



Oczywiście pozostaje pytanie, dlaczego potraktowany w ten sposób kandydat nie dał po prostu bezczelnemu jezuitcie, pardon, za niezbyt wysublimowane słowa, w pysk. Być może był zbyt zszokowany. Nie wiem. To jednak mnie uderza. Dziesiątki takich przypadków – zwierzchnik, przełożony, rektor, wykładowca, którzy składają obrzydliwe propozycje i żaden z nich nie dostaje tego, na co zasłużył: co najmniej siarczystego policzka w twarz. Wiem, brzmi to nieco brutalnie, ale jak właściwie powinien zareagować na takie obrzydliwe anonse młody mężczyzna? Dlaczego zamiast skarżyć się przełożonym niższym i wyższym, żaden z tych, o których pisze Rose, po prostu nie wyraził swego obrzydzenia w najprostszy sposób? Nie namawiam tu do przemocy, w żadnym razie. Pewien jestem jednak, że gdyby jeden lub drugi nazbyt podniecony perspektywą wspólnej masturbacji ojciec dostał to, na co zasłużył, miałyby to lepsze efekty niż skargi, odwołania, pisma, wezwania do pomocy itp., itd. Być może wtedy inaczej też wyglądałaby sytuacja w amerykańskich seminariach, szczególnie tych jezuickich. Być może i samo Towarzystwo nie stałoby się tak szybko „zdegenerowaną kliką amatorów homoseksualizmu i antypapieskich buntowników”. Smutne jest to, że jeśli chodzi o to drugie określenie, to było ono prawdziwe jeszcze pod koniec XX w., obecnie jezuiti już nie są antypapieskimi buntownikami. Nie świadczy to o ich nawróceniu, nie dowodzi też, że przestali być „amatorami homoseksualizmu”, jak pokazuje kariera o. Jamesa Martina.

Jakie były i są skutki tak powszechnego rozprężenia, wiadomo. Rose pisze, że od połowy lat 80. XX w. na AIDS zmarło w USA (książka została napisana w 2002 r.) ponad 300 księży, co oznacza średnią zgonów... cztery razy wyższą od średniej rocznych zgonów liczonej w proporcji do całości populacji USA. Straszne. Oznacza to bowiem, że już w latach 70. wśród księży katolickich w Stanach rozpleniła się prawdziwa zaraza homoseksualizmu. Jej pierwszym i skandalicznym owocem była fala zarzutów o seksualne wykorzystywanie nastoletnich chłopców, niekiedy młodszych dzieci. Żeby pokazać skalę zjawiska, Rose odwołuje się do badań Philipa F. Lawlera, redaktora „The Catholic World Report”, który pisał: „W ciągu ostatnich dziesięciu lat (1983–1993) co najmniej 500 amerykańskich księży katolickich zostało oskarżonych o sek-

sualne zamachy na dzieci”. Cóż, były to dane z 1993 r. Można się obawiać, że do roku 2019 podobnych przypadków nadużyć, molestowania i wykorzystywania było wiele więcej. Coraz częściej zresztą dochodzi już nie tylko do ustąpienia i rezygnacji księży, lecz także biskupów. Nic dziwnego. Pokolenie posoborowe po prostu obejmuje wyższe stanowiska w hierarchii kościelnej i zło, które tak bardzo ich znieprawilo, zabiera ze sobą.

Zaletą książki Rose’a nie jest opis przypadków, powtarzam, wykorzy-

**W roku 1968 uznano,
że formą ucisku społecznego
nie jest opresja klasowa,
ale tłumienie pożądania
seksualnego**

stywania seksualnego. On skupia się na czym innym. Precyzyjnie pokazuje, jak amerykańskie seminaria stały się ofiarami herezji, apostazji, porzucenia katolicyzmu. Tak właśnie: pierwszym źródłem owej fali skandali seksualnych, a także, co ściśle się z tym wiąże, spadku liczby powołań było zwycięstwo nowej, często antykatolickiej ideologii, która zagnieździła się w seminariach, domach zakonnych. Niektóre opisy amerykańskiego dziennikarza można czytać niemal jak kryminał. Jak książkę sensacyjną opowiadającą o „wrogim przejęciu” – sytuacji, w której przeciwnicy przejmują stanowiska w konkurencyjnej firmie po to, by zmusić ją do upadku.

Znowu wystarczy garść przykładów. Otóż okazuje się, że „mężczyźni aplikujemu do seminarium nie wolno ujawniać, że akceptuje on nauczanie Kościoła w kwestiach autorytetu czy moralności seksualnej, zostanie bowiem wówczas zdyskwalifikowany jako »rygorysta« albo człowiek »dysfunkcyjny«”. Często od kandydata wymagało się akceptacji kapłaństwa kobiet – zwykle robiły to współpracujące przy procesie rekrutacji siostry zakonne. Innym sposobem pozbycia się prawowiernych kandydatów są nieustanne sesje psychologiczne i psychoterapia. Głównym celem miało być wykrycie u kandydatów „homofobii”. Jako dowód służyło powtórzenie przez kandydata kattechizmowych prawd, mówiących o tym, że homoseksualizm jest czymś wewnętr-

nie nieuporządkowanym. Ludzi, którzy przyznawali się do tej prawdy, próbowano albo zniechęcić do kapłaństwa, albo wymusić na nich zmianę swojego podejścia. Metody były różne.

Niektórych nagabywano, kuszone, próbowano skłonić do stosunków homoseksualnych. Jeśli to nie skutkowało, to wytwarzano wokół nich atmosferę podejrzliwości i wrogości. Poddawano ich praniu mózgu, wysyłano na sesje psychoterapeutyczne. Zawsze chodziło o jedno i to samo: o pełną i bezwzględna akceptację subkultury homoseksualnej, która podbiła seminaria. Czytelnik zadaje sobie pytanie, jaka jest skala tego zjawiska. Rose cytuje różne źródła i różnych rozmówców. O precyzyjne dane trudno. Jednak podawane przykłady mówią same za siebie. Są seminaria, gdzie homoseksualistami była jedna trzecia, są takie, gdzie było to 60 proc. alumnów! Zdarzały się i takie, które przez ową subkulturę zostały całkiem opanowane. Łatwo sobie wyobrazić, jak musiało w nich wyglądać życie duchowe i jak przerażające skutki musiało to mieć dla wiary nowych kandydatów do kapłaństwa. Tolerancja dla homoseksualizmu musiała pociągać za sobą przekonanie, że cała oficjalna nauka Kościoła jest fałszywa i faryzejska. W najgorszym razie wychowywano jawnych buntowników i radykałów, w najlepszym zblazowanych cyników. [...]

To, że w seminariach amerykańskich po soborze zaczęło się szerzyć na taką skalę zło, to jedno, ale dlaczego nikt na nie nie reagował? Przesada. Nie nikt. Jednak, co jasno pokazuje książka Rose’a, odpowiedź na zło była powolna, ostrożna. Zamiast przyjść z miotłą i rozpedzić całe to towarzystwo na cztery wiatry, wizytatorzy pochylali się z troską, dzielili włos na czworo, przyglądali się. Zamiast rzucić kłutwę i zrzucić ze stóp pył, czekali. Zamiast dobyć miecz i usunąć zło, paktowali z nim, zawierali kompromisy, szukali wyjścia, dialogowali.

Do czego to doprowadziło, widać jak na dłoni. To, co wydarzyło się w USA, opanowanie wielu seminariów przez zdrajców i apostatów, rozszerzyło się na inne państwa. Tolerancja dla zła doprowadziła do jego rozplenienia się. Subkultura homoseksualna rozprzestrzeniła się w całym zachodnim świecie katolickim. Kto chce zrozumieć, jak to się wszystko zaczęło, musi przeczytać tę książkę.



Z prof. Markiem Janem Chodakiewiczem, politologiem, historykiem i sowietologiem

rozmawia Jacek Przybylski

JACEK PRZYBYLSKI: Wierzy pan w teorie Donalda Trumpa o sfałszowanych i „ukradzionych” wyborach oraz w to, że dzięki złożonym w sądach pozwom wybory prezydenckie w USA ostatecznie wygra jednak obecny gospodarz Białego Domu?

PROF. MAREK JAN CHODAKIEWICZ: To nie jest sprawa wiary, to jest sprawa wiedzy. Na razie takiej nie posiadam, bo nie badałem sprawy osobiście. Obserwuję tylko napływające wieści i widzę, że pewne sprawy nie są możliwe statystycznie, np. odnajdywane głosy w Michigan czy Pensylwanii, które są rzekomo prawie wyłącznie oddawane na Joe Bidena.

Poza tym wiem, że w historii USA zdarzały się wyborcze oszustwa: Tammany Hall w drugiej połowie XIX w. w Nowym Jorku, The Pendergast Machine w pierwszej połowie XX w. w Kansas City czy Daly Boys w Chicago w drugiej połowie ubiegłego stulecia – to wszystko opierało się na masowym oszukiwaniu podczas wyborów i przekupywaniu wyborców. Mówiono nawet: „Vote early, vote often”, czyli „głosuj wcześniej, głosuj często”.

Zasada jest taka, że jeśli współzawodnicy idą łeb w łeb, to można się spodziewać, że obie strony starają się sobie pomóc, w tym także próbując oszukiwać. Jedna strona może to robić bardziej skutecznie. Czyli na podstawie obserwacji sytuacji obecnej i wiedzy historycznej można założyć, że oszustwa się w USA zdarzają. Kilka lat temu pisałem o zagrożeniach fałszerstwami przy użyciu elektronicznych maszyn do głosowania. Do tego teraz trzeba dodać internetowe i inne możliwości komputerowe. Czy z tego wszystkiego wyjdzie tak masowe oszustwo, że zwycięzcą okaże się Donald Trump, tego doprawdy nie wiem. Docho-
dzenie dopiero się zaczęło.

Białoruski prezydent Alaksandr Łukaszenka nazwał wybory w USA „kpiną z demokracji”. Jak to możliwe, że w ojczyźnie demokracji i najpotężniejszym mocarstwie świata może dochodzić do takich kontrowersji i tak poważnych oskarżeń rzucanych przez urzędującego prezydenta?

Uderz w stół, a kagebista z kołchozu Łukaszenka się odezwie. Właśnie wybory w USA pokazują, jak bardzo prężna



FOUSTERNI MACZEWSKI/REPORTER

i dynamiczna jest amerykańska demokracja. Pokłóciliśmy się przy urnach wyborczych na całego, kraj jest spolaryzowany, ale nie ma wojny domowej. To jest wielki sukces. Teraz czekamy na wyniki zaskarżenia tych spraw do sądu. W grę wchodzi wręcz Sąd Najwyższy. Wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

Pan uznał już zwycięstwo Bidena?

Nie, czekam na ostateczny certyfikat od sekretarzy stanu każdego z kontestowanych stanów. Przyjmuję do wiadomości natomiast, że Biden jest na tyle pewny siebie, że uznał się za zwycięzcę. Podkreślił, że obwołał go takowym media, ponieważ obliczanie głosów się nie skończyło, certyfikatów nie ma, a Sąd Najwyższy się w tej sprawie nie wypowiedział. Proszę przypomnieć sobie analogiczną sytuację z 2000 r., gdy Al Gore i jego zwolennicy irytowali się, że George W. Bush oznajmił, iż wygrał. W nie-

opozycji. Podczas kampanii wyborczej Joe Biden postawił w jednym szeregu Polskę i Węgry oraz Białoruś. Sądzi pan, że była to tylko jedna z tysięcy nieznaczących gaf tego polityka czy też poważny sygnał, że rząd PiS od stycznia powinien mieć się na baczności?

W USA oprócz kilku specjalistów o PiS nikt nie słyszał. A jeśli chodzi o gadanie Bidena, to nie gafa, tylko mądrość odziedziczona po liberalnej stronie szachownicy. Ignorancja tam z reguły dominuje (pamiętajmy F.D. Roosevelta i „Wujka Józia” Stalina), a ignorancja ta odzwierciedla postępowy konsensus. Przecież dla takich ludzi, gdy Polska nie była pod butem komuny, zawsze uznawana była za „faszystowską” czy „antysemicką”. To dlaczego teraz nie ma być (wraz z Węgrami) „totalitarną”? Jeżeli Polska pod rządami PiS szybko dostosuje się do liberalnego, lewackiego mainstreamu, tak jak to robiła pod władzą Platformy, to nagle okaże się, że „totalitaryzm”

uzna to za nietakt, przez który Duda długo będzie musiał teraz czekać na okazję do wspólnego zdjęcia z nowym prezydentem USA?

Tak, to sprytne. W świetle raportów o fałszerstwach wyborczych można to odebrać jako dobry dowcip kosztem Bidena. Myślę, że odpowiedź prezydenta RP była jednak raczej taktowna i dyplomatyczna, ale w kontekście ogólnoeuropejskim – gdzie od razu media rozpoczęły śpiewy „Hosanna” i „Alleluja” z powodu ogłoszenia zwycięstwa demokracji – to Polska znowu odstaje.

Czy to dobrze? Słabi nie powinni się wyróżniać. Niemniej jednak podoba mi się, że Andrzej Duda nie rzucił się na kolana i nie zapał z zachwytem. Węgry były jednak jednoznacznie krytyczne, a najostrzej zareagował estoński minister finansów, który właśnie złożył rezygnację. Tak to ja sobie mogę powiedzieć, bo nie pełnię żadnych funkcji i w związku z tym żadnemu państwu nie grożą z tego powodu reperkusje. Jak się jest Chinami czy Rosją, to można sobie pozwolić na zimne traktowanie Bidena. Albo można być filipem z konopi, tak jak prezydent Słowenii, który w solidarności z Melanią pogratulował Trumpowi zwycięstwa.

Ameryka Bidena będzie jak tęczy taran

skończoność liczono głosy na Florydzie, a sądy potem decydowały o zwycięstwie. Już taka jest natura amerykańskiej demokracji.

Przyjmijmy, że Biden wygrał. Jak zmienia się stosunki USA z Niemcami i całą „starą” Unią Europejską? Merkel może wreszcie odetchnąć?

No cóż, albo Biden i jego ekipa zaprobują kontynuację polityki Trumpa w formie delikatnej, albo będzie gwałtowne z nią zerwanie i powrót do fiaska, które reprezentował Obama. Będzie gorzej dla Polski, dobrze dla Niemiec i Rosji. No i naturalnie dla eurokratów. Proszę pamiętać, że każdy następca odziedzicza politykę poprzednika i bardzo trudno natychmiast ją odwrócić i z nią zerwać. Trump obiecał, że nas z Iraku i Afganistanu wyprowadzi, ale jeszcze to się nie stało. No, ale przynajmniej nie zaczął żadnej nowej wojny.

„PiS przegrał w Ameryce” – cieszą się w mediach społecznościowych zwolennicy polskiej

magicznie zniknął. Takie bzdury trzeba stale kontrować, ale tutaj w USA mało kto to robi.

Adam Andruskiewicz, minister w kancelarii premiera, ocenił, że Joe Biden świetnie rozumie dziedzictwo polityki śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a ambasador Georgette Mosbacher stwierdziła w wywiadzie, że „Joe Biden i Andrzej Duda świetnie się dogadają”. Zgadza się pan z tymi optymistycznymi prognozami?

Joe Biden czasami nie wie, kim jest i co robi. Jego pamięć szwankuje. Wątpię, że pamięta śp. Lecha Kaczyńskiego. Jeśli prezydent Duda jest dobrym graczem, to naturalnie świetnie się dogada. Ale za jaką cenę? Czyli ciekawe, co w zamian Biden będzie od niego chciał.

Prezydent Duda nie pogratulował jednak wprost zwycięstwa Joe Bidenowi, a jedynie złożył mu gratulacje z powodu „udanej kampanii prezydenckiej”, podkreślając, że Polska czeka na nominację Kolegium Elektorów. Czy sztab Bidena

już po wyborach w USA prezydent Duda ratyfikował polsko-amerykańską umowę o wzmocnionej współpracy obronnej. Co dalej z Fortem Trump? Administracja Bidena będzie kontynuowała politykę zwiększania liczebności wojsk USA w Polsce?

Trudno powiedzieć, choć raczej nie. Przecież Obama zerwał ciągłość z polityką Busha i wycofał się z zobowiązań dotyczących tarczy rakietowej. Jednak w tej chwili demokraci są strasznie (werbalnie) antyrosyjscy, a więc można coś na tym w Waszyngtonie ugrać. Może polskie lobby (którego nie ma) mogłoby przekazać Bidenowi, że rosyjski agent Trump tak naprawdę nie chciał wojsk amerykańskich w Polsce, a Polacy faktycznie chcieli mieć Fort Biden od początku.

W książce „O cywilizacji śmierci” zastanawiał się pan, jak zatrzymać antykulturę totalitarnych mniejszości. Czy właśnie zyskały one potężnego sojusznika w Białym Domu?

Naturalnie. Trzeba będzie wyborcom zapłacić za poparcie. Nastąpi próba całkowitego odwrócenia polityki zwalniania rewolucji obyczajowej, którą uprawiał Trump, i wprowadzenie nowych ekscytujących fanaberii oraz patologii rewolucji seksualnej.

Jak USA mogą próbować zmuszać władze w Warszawie do zmiany konserwatywnej polityki? Spodziewa się pan dyskretnych działań czy też publicznego stawiania rządu PiS pod amerykańskim prężeniem?

Będzie polityka dwutorowa: krzykliwa i dyskretna. Media będą krzyczeć o zaścianku. A organizacje pozarządowe, wspierane po cichu pieniędzmi od inżynierów społecznych z USA, będą sypać kasą na swoje nadwiślańskie klony.

Tymczasem dyplomacja amerykańska będzie dyskretnie nakłaniać pozbawione jaja kukły z MSZ do ustępstw, a jeśli to nie pomoże i władze polskie stawiają opór, to będą połajanki z ambasady USA i państw sojuszniczych. Co więcej, należy się spodziewać, że Biden zostawi pewnie w Warszawie na rok jeszcze ambasadora Mosbacher. Ona wie, jak tupnąć obcasem. Premier i rząd nie bardzo wiedzą, co z tym zrobić. A trzeba było ją dawno wywalić. W Zambii ambasador amerykański źle się zachowywał, uprawiał propagandę LGBT, to go wywalono. I już nie ma ambasadora od dwóch lat. A ambasada dalej działa. Tak też powinno być nad Wisłą. Polacy powinni mieć godność i nie pozwolić na to, aby dyplomaci jakiegokolwiek państwa sobie za dużo w kraju pozwalali.

Niektóre rosyjskie media twierdzą, że „nowa amerykańska administracja może doprowadzić do zmiany władzy w Polsce”. Na to liczą też przedstawiciele opozycji z Radkiem Sikorskim na czele. To trafne prognozy?

Waszyngton nie decyduje, kto jest u władzy w Polsce. Naturalnie mogą zechcieć wspomóc nadwiślańską kolorową rewolucję – co już robią ze strajkiem kobiet – ale proszę zobaczyć, jak im słabo wyszło (pod Obamą i Clintonową) z tzw. arabską wiosną. To co? Obalić PiS, aby wojsko przejęło władzę tak jak w Egipcie?

Niektórzy Polacy boją się rządów prezydentów z Partii Demokratycznej ze względu na ich naiwny stosunek do Rosji. Dobrym przykładem jest choćby próba „resetu” za kadencji Obamy. Putin za Bidena będzie mógł trochę odetchnąć czy też przeciwnie – Biden dostał solidną nauczkę jako wiceprezydent i teraz będzie chciał utemperować zapędy Putina?

Liberałowie i postępowcy są naiwni z definicji. To zwykłe użyteczni idioci. Ale – jak mówiłem – obecnie są na Putina obrażeni i są strasznie antyrosyjscy werbalnie. Jest to głównie wynik przekonania, że Trump to ruska onuca. Niewyklucone

jednak, że demokraci postanowią zrobić kolejny reset i dogadać się z Moskwą. Wszystko możliwe.

Donald Trump był zwolennikiem inicjatywy Trójomorza. Czy można liczyć na to, że Joe Biden również będzie popierał ten projekt?

Jest to sprawa otwarta, zależna od kilku czynników, a w tym stosunków nowej administracji z Rosją i Niemcami. Na razie siłą inercji sprawy powinny iść do przodu. Potem nadejdzie przetasowanie. Dla USA sprawa ta nie będzie już priorytetowa. Będzie tak jak za Trumpa podporządkowana generalnej strategii. Gdy strategia zmieni się na inną, optyka postrzegania Międzymorza również się zmieni. No, chyba że Biden (o ile długo pożyje) czy też Kamala Harris uznają, że

Należy się spodziewać, że Biden zostawi pewnie w Warszawie jeszcze na rok ambasadora Mosbacher. Ona wie, jak tupnąć obcasem

w amerykańskim interesie leży sprzedaż taniej energii do Europy przez Polskę i Chorwację, aby tym sposobem zaopatrzyć Stary Kontynent w gaz i ropę, a jednocześnie usunąć powód (oraz wymówkę) dla Berlina, aby wskakiwał do łóżka z Moskwą.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła, że liczy na współpracę z administracją Bidena. USA za rządów Partii Demokratycznej powrócą zapewne do współpracy z WHO, a także z organizacjami walczącymi ze zmianami klimatycznymi. Jakich jeszcze przetasowań w relacjach międzynarodowych się pan spodziewa?

To niesie ze sobą straszliwe implikacje. W USA obiecują nam Green New Deal, który podkopie amerykańską gospodarkę w imię neopogańskiego kultu środowiska. I takie same reguły będą chcieli też narzucić światu. Oprócz tego administracja Bidena odwróci dosłownie wszystko w obszarach, w których Trumpowi udało się przywrócić choć odrobinę normalności. Wszędzie będzie rządziła polityczna poprawność w takt bębnow nawałujących do walki z seksizmem, rasizmem, homofobią i całą litanią innych prawdziwych i wymyślonych zjawisk, taranująca wszystko w ramach

rewolucji kulturowej. Idzie ultrazideologizowana fala. Uderza ona w samą Amerykę (gdzie przeciwstawiło się jej ponad 70 mln wyborców), a gdy się rozpędzi, to rozszałe się po świecie, używając USA jako tarana.

Jak pan ocenia Kamalę Harris na stanowisku wiceprezydenta? Złośliwi mówią, że to nie tylko pierwsza kobieta, lecz także pierwsza komunistka na tym stanowisku.

To jest bardzo niebezpieczna osoba ze stajni Williego Browna z San Francisco. Znam to towarzystwo z autopsji bardzo dobrze ze swoich kalifornijskich czasów. Są strasznymi lewakami.

Młoda wiceprezydent będzie miała duży wpływ na wiekowego już Bidena?

Zobaczmy. To jest sprawa kompetencji. Mówiono, że Dick Cheney prowadził Białą Dom, gdy Bush był prezydentem. Cheney znał się faktycznie na pewnych sprawach lepiej niż „W”. Harris będzie się starała zachować pewien dystans. Przecież Biden ma własną kamarylę. I za wszelką cenę będzie się starał podkreślać swoją niezależność, wigor i kompetencję.

Za cztery lata Biden będzie już zbyt stary, by walczyć o reelekcję. Wówczas Partia Demokratyczna postawi na Harris?

Nie wiadomo, czy Biden dożyje końca kadencji. A jeśli nawet dożyje, to w jakim stanie będzie. Jak będzie się jakoś tam ruszał, to będzie chciał jeszcze cztery lata brylować. Dlaczego nie?

Wierzy pan, że Donald Trump jeszcze powróci?

Myślę, że Trump teraz da popis na koniec swej prezydentury, walcząc o nią do końca, ale myślę też, że nie powróci już jako kandydat na prezydenta, ale jako wielki magnat medialny. Po prostu doradzam mu i piszę, aby utworzył imperium medialne: potrzebny jest nowy kanał telewizyjny, bo Fox News lewaczeje. Potrzeba nowego Twittera, Facebooka i innych mediów społecznościowych, aby wyrwać je ze szponów lewactwa. Trump ma pieniądze i potencjalny rynek szacowany na 70 mln klientów tylko w USA. Na świecie spokojnie będzie miał 20 razy tyle. Jeśli takie imperium powstanie, to dopiero będzie permanentnym triumfem Trumpa. Na razie załatwił, że strona konserwatywna ma w Ameryce Sąd Najwyższy. I to już bardzo wiele.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NA KONCERT GINTROWSKI

*A ja mam
coś po was
zostawić*

ZAPRASZA

**ME
CE
NAS**
KONCERTU





Polscy zwolennicy Donalda Trumpa na obchodach 80. rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej, Warszawa, 1 września 2019 r.

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES



Piotr Semka

Ostatnie pięć lat wojny polsko-polskiej i spór na linii republikanie-demokraci łączą bardzo wiele

Polska wojna z Białym Domem w tle

Mam wrażenie, że mamy w Polsce jakiś nowy 1967 rok, gdy wielu Polaków cieszyło się, że polscy Żydzi spuszczaają łomot ruskim Arabom w wojnie sześciodniowej. Teraz wielka radość, że Trump z PiS-u dostał łomot od Bidena z Platformy. W taki sposób związany z Polsatem dziennikarz Krzysztof Panek skomentował emocje, jakie nad Wisłą wywołały wybory prezydenckie w USA.

„Proxy war” – tak zastępcze konflikty między mocarstwami nazywają amerykańscy analitycy. W Polsce spór o to, czy amerykańskie wybory zakończyły się jasnym rozstrzygnięciem, czy nie, stał się właśnie takim konfliktem zastępczym. Czy można się jednak temu dziwić?

POLITYCZNE DÉJÀ VU

Dlaczego polska prawica polubiła Donalda Trumpa? Z racji wielu elementów, które wydawały się Polakom znajome. Zarówno podwójne wybory w 2015 r. w Polsce, jak i elekcja prezydencka w USA w 2016 r. pokazały, że niemożliwe bywa możliwe. Kandydaci tożsamościowej prawicy, wściekle atakowani przez liberałów i lewicujące media, wygrali mimo wskazań, sondaży i perswazji większości elit medialnych, uniwersyteckich i popkulturowych. Między-

narodowa edycja „Newsweeka” zaliczyła poważną wpadkę – do prenumeratorów oraz części punktów dystrybucyjnych trafiło 125 tys. egzemplarzy specjalnego numeru tygodnika z okładką, na której przedstawiano „nową prezydent” Hillary Clinton. To samo zdarzyło się „Gazecie Wyborczej”, tak pewnej wygranej Hillary Clinton, że wydrukowała numer magazynu „Wysokie Obcasy” datowany na 7 listopada 2016 r. (dzień przed wyborami w USA) z tekstem zatytułowanym „Hillary Clinton już na studiach wiedziała, że będzie prezydentem”.

W obu przypadkach obóz liberałów przeżył szok. Jednak w obu krajach niemal od pierwszego dnia po objęciu władzy przez Andrzeja Dudę i Donalda Trumpa ruszyła kampania kwestionowania prawowitości ich władzy. „It’s not my president” – skandowali demonstranci na marszach, które towarzyszyły zaprzysiężeniu kandydata republikanów. Miesiącami wlokły się polityczne procedury impeachmentu, czyli próby odwołania Trumpa. Latami lansowano teorie, że jego wygrana była efektem rosyjskich ingerencji w amerykański proces wyborczy. Kabareciarze pozwali do zdjęć z atrapą odrąbaną i zakrwawioną głową prezydenta USA. Większość zachodnich gazet przez cztery lata jego rządów przedstawiała go jako idiota, szaleńca czy kłamcę.

Trump był i jest politykiem, i tak jak wielu przywódców nie stronił od mocnego języka, efekciarstwa czy niekiedy zapierania się swoich błędów. Jego prezydentura nie różniła się jednak znacząco od poprzednich. Republikanie także wytykali latami kłamstwa Billa Clintona czy Baracka Obamy, ale media ignorowały te wskazania. Liczni politycy demokratów wskazywali budzącą wątpliwości łaskawość wobec Putina, szczególnie w epoce tzw. resetu Obamy, ale to obozowi Trumpa przyklejano „gębę” stronników Kremla.

A takie stacje jak CNN czy dzienniki „The New York Times” czy „The Washington Post” uczyniły z ataków na gospodarza Białego Domu niemal codzienną rutynę.

Podobne techniki destabilizowania sceny politycznej stosowano w Polsce wobec ekipy dobrej zmiany. Odpowiednikiem zarzutów wskazujących na rosyjskie wpływy w otoczeniu Trumpa były nad Wisłą książki Tomasza Piątka o rzekomym uzależnieniu Antoniego Macierewicza od Moskwy. Styl informowania TVN i „Gazety Wyborczej” przypominał styl CNN i „The Washington Post”. Nagłe dymisje generałów w USA przywoływały na myśl polskie ataki byłych wojskowych na nową władzę.

Polska prawica doceniała, że Trump robił wiele, aby stworzyć swoje specjalne re-

lacie z Warszawą. Odwiedził nas w 2016 r., szukając kraju, gdzie nie będzie wygwizdany, ale – choćby w swoim przemówieniu napisanym przez Marka Chodakiewicza – oddał godny hołd polskim bohaterom jak mało który z zagranicznych gości. Owszem, przerzut sił US Army do Polski został zapoczątkowany za kadencji Obamy, ale bez determinacji Trumpa amerykański kontyngent byłby znacznie słabszy.

Dla odmiany dla polskiego obozu anty-kaczychu Trump był synonimem prostactwa i antyeuropejskości. Powtarzano także zarzuty z Berlina czy Paryża. Oskarżano go o wrogość wobec NATO, choć amerykański prezydent stawiał po prostu ostro sprawę wypełniania np. przez RFN limitu 2 proc. PKB na wojsko. Obrażliwe karykatury na temat Trumpa zdobiące „Wyborczą”, „Newsweeka” czy „Politykę” zapełniłyby gruby tom.

Właśnie z powodu tej obsesyjnej wręcz niechęci prawa strona w Polsce była sobie w stanie wyobrazić używanie nieuczciwych chwytów przy głosowaniu w poszczególnych stanach.

W Polsce pamiętano, jak liberalne media potrafią ignorować pytania o rzetelność wyborów, gdy tylko wygrywają „ci, co trzeba”. Tak było w 2014 r., gdy PSL otrzymało zaskakująco dużą liczbę głosów. Wtedy „Wyborcza” natychmiast orzekła, że wszystko było w porządku, a zadawanie pytań o niespodziewany wcześniej sukces ludowców jest zagrożeniem dla demokracji.

Teraz tak samo traktowane są wątpliwości republikanów.

JAK POKOCHANO CENZURĘ

Najbardziej poruszającym akcentem pierwszego powyborczego tygodnia w USA była niemal równoczesna decyzja paru stacji telewizyjnych – w tym kanału Fox News, dotąd uznawanego za „protrumpowski” – aby zakończyć relację z konferencji prezydenta Trumpa, gdy ten zaczął mówić o licznych nieprawidłowościach wyborczych. Prezenterzy zgodnie orzekli, że nie ma na to dowodów, i ogłosili zakończenie relacji. Facebook i Twitter także odmówiły emisji przekazów prezydenta Stanów Zjednoczonych na ten temat. Dwa dni później tak samo przerwano relację z konferencji Kayleigh McEnany, rzeczniczki Trumpa.

Już po pierwszym takim ekscesie w Polsce posypały się zachwyty nad decyzją amerykańskich mediów.

„Shepard Smith ucina przemówienie Trumpa i mówi, dlaczego to zrobił. Wielka chwila dziennikarstwa” – entuzjazmował

się naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk. Wtórował mu Tomasz Lis: „Tak wygląda dziennikarstwo bez mizdrzenia się do władzy i tchórzliwego symetryzmu”.

„Jest to nauka dziennikarstwa” – oceniał Krzysztof Berenda, dziennikarz RMF. Z kolei Jacek Czarnecki z Radia Zet pisał: „W USA, gdy prezydent kłamie, media odmawiają przekazywania tego na antenie. Wiedzą, dlaczego prezydent mówi to, co mówi, i czym to się może skończyć”.

Za dziennikarzami z obozu III RP z pochwałami pospieszyli politycy polskiej opozycji. Jeden z nich, chwalać amerykańskie media za przerwanie konferencji Trumpa, wyraził przekonanie, że gdyby tak samo postępowali dziennikarze brytyjscy w stosunku do eurosceptyków, nie doszłoby do brexitu.

Wszystkie te pochwały nie wyjaśniały jednak, dlaczego widz CNN czy CNBC nie mógłby wysłuchać słów prezydenta, a następnie usłyszeć od prowadzących debaty polemiki z nimi. Żadna ze stacji nie podjęła się konkretnej oceny, ile sygnałów o nieprawidłowościach się pojawiło i na ile już dziś można ocenić ich zasadność.

Za to szybko nastąpiła – za oceanem i u nas – fala ocieplania wizerunku Joe Bidena. Nagle przypominano sobie, że jest katolikiem i że w pierwszą niedzielę po wyborach poszedł na mszę w odróżnieniu od jego kontrkandydata, który miał wybrać się na golfa. Trumpa zawstydzano filmami z 2008 r., w których republikanin John McCain gratulował wygranej Barackowi Obamie, nie wyjaśniając jednak, że wtedy nie było sporu o wynik wyborów.

Jeden z dziennikarzy TVN24, broniąc decyzji amerykańskich mediów, napisał: „Zgodnie z orzeczeniem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych wolne media w tym kraju mają służyć rządzącym, a nie rządzącym”. Co jednak, gdy media odcinają rządzących od wiedzy o tym, co mówi rządzący? I tym samym pomagają innym kandydatom do rządzenia? Czy poprzez taką cenzurę nie biorą udziału w grze o to, kto ma pojąć władzę?

Aby odsunąć na bok takie pytania, natychmiast pojawiły się niesprawdzone, ale efektowne tezy. Że Trump sam rzekomo wie, iż wybory były czyste, ale chce podkreślić atmosferę dla zbiórki pieniędzy na swoje nowe polityczne inicjatywy. Że zapowiadał, iż demokraci mogą majstrować przy wyborach pocztowych, ponieważ z góry wiedział, że przegra.

Najkrócej linię liberałów nad Potomakiem i nad Wisłą zdefiniował Tomasz Lis:

„Prezydent Biden. Reszta to tępą propagandą”. Proste, prawda?

TELEFON DO WUJKA JOE

Kolejnym etapem emocjonalnego zaangażowania liberalnego salonu w wydarzenia z oceanu była presja, by Andrzej Duda natychmiast pogratulował Joe Bidenowi.

Szef Kancelarii Prezydenta wybrał dyplomatyczną formułę pogratulowania Bidenowi kampanii, ale gorliwców z „Wyborczej” i „Newsweeka” to nie zadowoliło. Zażądali natychmiastowego uznania wygranej, gdyż tak orzekły amerykańskie media. Wszelką zwłokę uznano za postawę polityczne amatorstwo. Jako przykład do naśladowania wskazywano premiera Kanady Justina Trudeau, kanclerz Angelę Merkel czy prezydenta Francji Emmanuela Macrona.

Zestaw polityków, którzy wydzwaniają do Bidena, nie jest przypadkowy. Premier Kanady jest wyrazistym postępowcem i wiele razy krytykował Trumpa. Merkel ma nadzieję, że Biden wróci wzorem Obamy do stawiania na Niemcy jako sojusznika numer jeden Ameryki w Europie. A Macron jako lider progresywnego republikanizmu także nie ma powodów, by utożsamiać się z republikanami. Tylko telefon Borisa Johnsona do Bidena to ruch polityka życzliwego republikanom.

Tyle że Polska ma wiele powodów do wdzięczności dla Trumpa i nic dziwnego, że jeśli sytuacja jest niejasna, to prezydent RP woli poczekać, jak rozwinie się spór o wynik wyborów w USA.

Licytowaniu się na to, kto już pogratulował Bidenowi, towarzyszy często pragmatyczna formułka, że chodzi jedynie o czysty profesjonalizm dyplomatyczny. Piszą to jednak ci sami politycy i publicyści, którzy przez cztery lata obrażali jak mogli Trumpa, nie troszcząc się o to, jak wpłynie to na relację Warszawa-Waszyngton.

Nie wiadomo, jak silne dowody na fałszerstwa wyborcze mają republikanie. Faktem jest, że większość Partii Republikańskiej stanęła już po stronie swego prezydenta. Ten spór potrwa jeszcze parę tygodni, może cały czas do styczniowej zmiany warty. Może się okazać, że Trump ma mocne karty w ręku, a może wyjść na jaw, że jego zarzuty są zbudowane na słabej podstawie. W paru stanach liczenie głosów wciąż jednak trwa. Problem w tym, że obóz III RP każe uznawać wygraną Bidena za deklarację wiary polskiego demokraty. A na to trudno wyrazić zgodę, choćby właśnie z szacunku dla zasad demokracji. I niechęci do wszelkiej cenzury. © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. SAN FRANCISCO CHRONICLE/HEAST NEWSPIRERS/GETTY IMAGES

Na lewo od Sandersa



Piotr Włoczyk

Republikanie przekonują, że wiceprezydent elekt Kamala Harris będzie odgrywała w Białym Domu rolę socjalistycznego „konja trojańskiego”. Z uwagi na wiek Joe Bidena Harris ma dużą szansę, by już niedługo rządzić Ameryką

Kamala Harris umiarkowanym politykiem? Nic z tych rzeczy. Witamy w lewackiej operacji wprowadzania konia trojańskiego – napisał w sierpniu w „The Washington Post” Marc Thiessen, znany konserwatywny publicysta, autor przemówień George’a W. Busha. Tekst Thiessena mógł się ukazać rzecz jasna jedynie na stronach działu opinii waszyngtońskiego dziennika, ponieważ gazeta ta bardzo jednoznacznie opowiedziała się po stronie Joe Bidena.

Thiessen przestrzegał, że wciągnięcie przez Bidena na pokład Harris oznacza otwarcie drzwi dla „armii socjalistów przebiegających nogami, by wdrzeć się przez bramy Białego Domu i zamienić nasz kraj w jeden wielki chaos”.

Były doradca Busha juniora przywołał w tym kontekście wyjątkowo niepokojące słowa Pramili Jayapal, demokratycznej kongresmenki, będącej wiceszefową Kongresowego Klubu Progresywnego, grupującego

najbardziej lewicowych polityków Partii Demokratycznej, która zupełnie otwarcie ogłosiła w sierpniu, że „jak tylko zasiądzie w Białym Domu, będziemy w stanie kierować Joe Bidena w stronę postulatów, których dziś jeszcze nie wspiera”.

Uciekając się do porównania z koniem trojańskim, Thiessen ewidentnie trafił w dziesiątkę. Republikańscy politycy dostali do ręki proste, bardzo zrozumiałe hasło, dzięki któremu mogli przestrzegać wyborców przed nadciągającym zagrożeniem. Retorykę Thiessena przejął też szybko sam Donald Trump. Podczas odbywającej się pod koniec sierpnia konwencji Partii Republikańskiej amerykański prezydent mówił, że duet Biden-Harris będzie „niczym innym jak tylko koniem trojańskim dla socjalistycznej polityki”.

„Nie możemy wybrać socjalisty – nie będziemy socjalistycznym narodem.

Nie będziemy mieli socjalistycznego prezydenta, szczególnie socjalistycznego prezydent, nic z tych rzeczy. Nie pozwolimy sobie na to” – mówił w swoim stylu Trump, jasno dając do zrozumienia, że również on widzi w wyborze Harris manewr dający radykalnej amerykańskiej lewicy szansę na objęcie urzędu prezydenta niejako tylnymi drzwiami. Niewykluczone bowiem, że 78-letni Joe Biden postanowi odejść z Białego Domu przed ukończeniem swojej pierwszej kadencji. Najstarszym amerykańskim prezydentem w chwili opuszczenia urzędu był Ronald Reagan (77 lat i 349 dni). Joe Biden już teraz ma 78 lat...

Jak sama Harris reaguje na pytania o socjalizm? Tuż przed wyborami słynny program „60 minutes” sieci CBS postanowił przeświecić polityczne plany kandydatki na wiceprezydenta. Gdy prowadząca program Norah O'Donnell zapytała Harris, ile socjalizmu jest w jej poglądach politycznych, ta wybuchła dziwnym śmiechem. Podobnie zachowała się, gdy O'Donnell powiedziała, że jest ona uważana za najbardziej lewicową senatorkę w całej izbie wyższej. Harris, śmiejąc się, zaczęła tłumaczyć, że tylko niektórzy tak uważają, np. Mike Pence, który nazwał ją tak podczas debaty kandydatów na wiceprezydenta. O'Donnell wyjaśniła jednak, że to nie jest opinia, tylko twarde dane wynikające z analizy aktywności senatorów sporządzonej przez serwis GovTrack.

Żaden inny senator – wliczając w to nawet Berniego Sandersa – nie jest tak lewicowy jak Harris. I to zarówno w sprawach gospodarczych, jak i cywilizacyjnych. Słyszcząc te słowa, senatorka Harris przestała się śmiać i zrobiła minę, jakby ktoś przyłapał ją na kłamstwie. Nic dziwnego – w ciągu kilku ostatnich miesięcy robiła wszystko, by przedstawić się jako kandydatka racjonalnego centrum. Przypominanie głosowań w senacie było jej zupełnie nie na rękę.

„CUDOWNE” BLM

Jak bardzo na lewo sytuuje się wiceprezydent elekt? Harris opowiada się m.in. za legalizacją marihuany na poziomie federalnym, wspiera Zielony Nowy Ład i jest zwolenniczką ultraliberalnej polityki wobec nielegalnych imigrantów („nikt nie jest nielegalny”). Choćby w tych trzech obszarach jest więc na kursie kolizyjnym z Joe Bidenem, który znając opinię Amerykanów na te tematy,

jest przeciwny – na razie – tak daleko idącym zmianom.

Wielu komentatorów było bardzo zdziwionych wyborem Bidena, ponieważ w czasie prawyborów w Partii Demokratycznej Harris, która również starała się o nominację, bardzo ostro zaatakowała swojego dzisiejszego szefa. W pierwszej debacie demokratycznych kandydatów Harris zarzuciła Bidenowi popieranie rasistowskich rozwiązań w szkolnictwie w latach 70. Opowiedziała przy tej okazji widzom historię ze swojej młodości, gdy sama korzystała z programu polegającego na dowożeniu kolorowej młodzieży do białych szkół. Programowi temu sprzeciwił się m.in. Biden, który w 1975 r. był jednym z autorów ustawy zabraniającej wydawania federalnych pieniędzy na ten cel. Atak był bardzo celny i emocjonalne wystąpienie Harris skierowane bezpośrednio do Bidena było potem szeroko omawiane w mediach. Dzisiejszy prezydent elekt musiał się potem gęsto tłumaczyć, że tak naprawdę bardzo mu zależało na integracji kolorowej młodzieży, ale...

Najstarszym prezydentem USA w chwili opuszczenia urzędu był Ronald Reagan (77 lat i 349 dni). Joe Biden już teraz ma 78 lat...

Sprawy rasowe były centralnym punktem każdej kampanii wiceprezydent elekt. O swoim jamajsko-hinduskim pochodzeniu opowiadała z pasją podczas dyskusji z członkami ruchu Black Lives Matter, który gorąco popiera. „Jako była prokurator uważam, że ruch Black Lives Matter jest najważniejszym czynnikiem na rzecz zmian w systemie sprawiedliwości. To siła działająca w przeciwnym kierunku do sił ulokowanych w samym systemie, które chcą utrzymać status quo” – powiedziała w jednym z wywiadów, nazywając ruch BLM „cudownym”. Mając w pamięci to, jak wyglądały protesty organizowane przez BLM po śmierci George’a Floyd’a, może jednak nieco dziwić, że zachwyt nad BLM wyraża była prokurator generalna stanu Kalifornia (w latach 2011–2017).

Jej pomysły na reformę wymiaru sprawiedliwości trudno nazwać inaczej niż rewolucyjnymi. Harris zasygnalizowała, że jest „otwarta” na dyskusję o powięk-

szeniu składu Sądu Najwyższego, co miałyby zneutralizować przewagę sędziów o konserwatywnych poglądach (6:3).

TĘCZOWA KURTKA

Wiceprezydent elekt śmiało można nazwać maskotką amerykańskiego ruchu LGBT. Harris od początku swojej kariery bezwarunkowo popiera wszystkie tęczowe postulaty i co roku gości na paradzie równości w San Francisco. W zeszłym roku założyła nawet na siebie charakterystyczną dżinsową kurtkę w tęczowych barwach.

„To oczywiście, że duet Biden-Harris to najbardziej prorównościowy tandem w historii” – napisał w specjalnym oświadczeniu Alphonso David, szef Human Rights Campaign, największej amerykańskiej organizacji LGBT. Harris uwiarygodniła w oczach społeczności LGBT Bidena, ponieważ on sam nie cieszył się jej stuprocentowym zaufaniem. Wielu gejów do dziś mu wypomina głosowanie w senacie z 1996 r., gdy poparł ustawę DOMA (Defense of Marriage Act – Ustawa o Obronie Małżeństwa). Prawo to nakładało na władze federalne obowiązek ochrony prawnej małżeństwa rozumianego jedynie jako związek kobiety i mężczyzny. Harris natomiast nigdy nie zawiodła ruchu LGBT.

Wiceprezydent elekt jest też ulubienicą lobby aborcyjnego. W tym temacie również nie ma żadnych zastrzeżeń do najdalej idących żądań. „Stany, które znane są z uchwalania praw ograniczających dostęp kobiet do opieki reprodukcyjnej lub uniemożliwiających go, będą musiały wysłać te prawa do mojego Departamentu Sprawiedliwości w celu sprawdzenia i dopóki nie uznamy, że są zgodne z konstytucją, dopóty nie będą mogły wejść w życie” – deklarowała w 2019 r. w czasie swojej kampanii prawyborczej, zyskując ogromny aplauz ze strony lobby aborcyjnego.

Kiedy w sierpniu tego roku okazało się, że Joe Biden chce, by to ona została wiceprezydentem, Planned Parenthood zatweetowało: „TAK! To WIELKA sprawa! Z senator Kamalą Harris na pokładzie wiemy już, która drużyna polityczna nie spocznie w walce o prawa reprodukcyjne. Czas na prawdziwe przywództwo”. Niewykluczone, że to „prawdziwe przywództwo” Amerykanie odczuwają na własnej skórze jeszcze przed kolejnymi wyborami prezydenckimi w USA.



FOT. PIOTR MOŁĘK/EAST NEWS

Dobra, zmiana?



Kamila Baranowska

Oceny zarówno rządu, premiera, jak i ogólnej sytuacji w kraju lecą na łeb na szyję. Pogarszające się nastroje społeczne to zwykle wstęp do wielkiej politycznej zmiany

Badania CBOS z ostatnich tygodni i miesięcy powinny zapalić w obozie rządzącym czerwoną lampkę. Tak źle nie było od dawna. Rząd i premier są oceniani najgorzej od 2015 r. A nastroje społeczne są coraz gorsze. Główny powód takiego stanu rzeczy to pandemia koronawirusa i to, jak sobie z nią radzą rządzący.

W ostatniej dekadzie października znacząco wzrosła liczba przeciwników rządu, do których zalicza się dziś ponad dwie piąte Polaków (43 proc., to wzrost o 9 punktów procentowych względem

ostatniego badania z przełomu września i października). Po raz pierwszy mamy do czynienia z sytuacją, w której w badaniach CBOS rząd ma więcej przeciwników niż zwolenników (ci stanowią jedną trzecią badanych, czyli 33 proc.). Co ciekawe, z badania na badanie zmniejsza się także odsetek osób neutralnych. W ostatniej dekadzie października było ich 20 proc., o całe 5 punktów procentowych mniej niż ostatnio.

Ponad połowa Polaków (52 proc.) źle ocenia działania rządu, to wzrost aż o 12 punktów procentowych, pozytywnie

ocenia je 35 proc. (spadek o 13 punktów procentowych). To – jak stwierdza sam CBOS – najbardziej krytyczne oceny pracy rządu Zjednoczonej Prawicy od objęcia przez nią władzy.

Pogorszeniu ulegają także oceny polityki gospodarczej kraju, które też są najsłabsze na przestrzeni ostatnich pięciu lat.

Zła ocena rządu przekłada się na złą ocenę premiera. Dzisiaj niemal połowa Polaków wyraża niezadowolenie, że na czele rządu stoi Mateusz Morawiecki (49 proc., wzrost aż o 11 punktów procentowych). Dobrze premiera ocenia jedynie 36 proc. To spadek aż o 10 punktów procentowych.

To zbiega się ze spadkami notowań PiS w sondażach. Według badania IBRiS dla Onetu poparcie dla PiS spadło do 28,7 proc. (w poprzednim badaniu tej pracowni PiS miał 37 proc.). Podobnie wskazywał sondaż United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej”. Tutaj w porównaniu z wrześniowym badaniem PiS zanotował spadek aż o 10 punktów procentowych – z 40,5 proc. do 30,9 proc.

PANDEMIA WPŁYWA NA NASTROJE

Z czego wynika tak złe postrzeganie rządzących? Poniżej odpowiada na to sam CBOS, podkreślając w komentarzu do ostatniego badania, że zostało ono zrealizowane w trudnym dla rządu momencie – w trakcie gwałtownie rosnącej liczby zachorowań na COVID-19 i wprowadzania nowych obostrzeń oraz tuż po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, który wywołał protesty w całym kraju. Podobnie widzi to także prof. Bartłomiej Biskup, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Myślę, że niezadowolenie społeczne wynika głównie z sytuacji pandemicznej i tego, jaki jest odbiór środków zaradczych wprowadzanych przez rząd, a jest to odbiór zupełnie inny niż wiosną. Wówczas była dużo większa akceptacja dla działań rządu niż dzisiaj – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy”. Zwraca też uwagę, że często jest tak, iż na oceny rządu i samego premiera mają wpływ sprawy, które nie były przez rząd inicjowane, np. wyrok Trybunału czy kontrowersyjna „piątka dla zwierząt”, która doprowadziła do protestu rolników. – Rząd i premier, chcąc nie chcąc, zawsze obrywają najmocniej – mówi. Dodaje też, że ważne będą najbliższe tygodnie, bo one pokażą, czy wraz ze względną stabilizacją sytu-

acji epidemicznej poprawią się notowania rządu, czy jednak nie. – Może być tak, że zadziała efekt kuli śniegowej, czyli od tej pory wszystko będzie się do rządu trwale przylepiać i ciągnąć go w dół. Także sprawy mniej istotne – uważa prof. Bartłomiej Biskup.

CBOS regularnie bada obawy Polaków przed zarażeniem koronawirusem i ich stosunek do epidemii. Najniższe od pięciu lat notowania rządu i premiera pod koniec października pokrywają się z nasileniem strachu ludzi przed chorobą. Stwierdzają to zresztą sami analitycy CBOS, pisząc, że „opinie o skuteczności rządu w walce z epidemią są wyrazem stosunku do urzędującej ekipy i zależą w głównej mierze od orientacji politycznej i, szerzej, światopoglądowej”.

Okazuje się, że zakażenia boi się dziś 68 proc. badanych, w tym bardzo boi się 26 proc. To więcej niż jeszcze trzy-cztery tygodnie temu. Z badań CBOS widać zresztą, jak zmieniał się stosunek Polaków do pandemii. Szczyt strachu przed koronawirusem mieliśmy w kwietniu (bało się go 43 proc., a bardzo bało się 26 proc.). Potem baliśmy się coraz mniej. Aż do teraz. Analogicznie w ostatnich miesiącach większość obywateli oceniała działania rządu w walce z pandemią raczej dobrze lub zdecydowanie dobrze. Jeszcze we wrześniu 55 proc. doceniało starania rządu, a źle oceniało je 38 proc. To się odwróciło w trzeciej dekadzie października. Teraz przeważa opinia, że rząd radzi sobie z epidemią zdecydowanie źle (28 proc.) lub raczej źle (27 proc.). Działania rządu w sprawie pandemii dobrze ocenia 38 proc. (z czego zdecydowanie dobrze zaledwie 6 proc.).

WAŻNE OSTRZEŻENIE

W rządzie dominuje jednak opinia, że kryzys polityczny i spadek notowań dla rządu (ale i partii) to jednak nie tylko wina pandemii, lecz także, a może przede wszystkim, orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Otoczenie premiera i on sam nie byli zwolennikami ruszania tego tematu i teraz wskazują, że politycznie mieli rację.

– Przełomem był wyrok TK, który spowodował destabilizację i utratę zaufania. Wtedy nastąpił kryzys, a co więcej – ludzie przestali przestrzegać restrykcji. Oprócz tego protesty spowodowały poczucie braku sprawstwa rządu i to w sytuacji rosnącej liczby przypadków zakażeń. Wyszło, jak wyszło – relacjonuje nam osoba

Rządowi politycy przekonują, że w momencie ustabilizowania się sytuacji epidemicznej notowania rządu i samego PiS też się automatycznie poprawią

z rządu. Jako dowód wskazuje, że spadek notowań PiS i rządu to efekt odwrócenia młodszego elektoratu, a nie starszego, co wskazywałoby, że przyczyną jest wyrok TK, a nie pandemia.

Wyrokiem TK nie da się jednak wytłumaczyć pogarszających się nastrojów społecznych. Tymczasem w ciągu ostatnich kilku tygodni pogorszyły się oceny ogólnej sytuacji w Polsce, a liczba niezadowolonych z kierunku zmian dokonujących się w kraju zaczęła przeważać nad liczbą zadowolonych. Jak podaje CBOS, ostatni raz z taką przewagą mieliśmy do czynienia w pierwszym półroczu 2017 r., natomiast niezmiennie od czerwca 2017 r. w badaniach dominowali zadowoleni. Aż do teraz. Także badanie Kantar dla Onetu z października pokazuje, że już 51 proc. Polaków źle ocenia kierunek biegu spraw w kraju. 28 proc. jest przeciwnego zdania, a 21 proc. nie potrafi tego ocenić.

Przed epidemią koronawirusa, jeszcze na początku roku, w ocenach sytuacji gospodarczej kraju zdecydowanie więcej było ocen pozytywnych niż negatywnych. Po pierwszych miesiącach epidemii te oceny mocno się pogorszyły. Poprawa nastąpiła w czerwcu i lipcu, kiedy nieco zapomnieliśmy o epidemii i przestała obowiązywać większość obostrzeń, a później znów postrzeganie stanu gospodarki zaczęło się pogarszać.

W ostatniej dekadzie października znacząco pogorszyły się oceny sytuacji w zakładach pracy i prognozy na najbliższy rok. Mocno spadło też poczucie bezpieczeństwa utrzymania obecnego zatrudnienia, a także pogorszyły się oceny sytuacji na lokalnych rynkach pracy.

Nastroje społeczne to ważny element polityki, bo zwykle jest pierwszym ostrzeżeniem dla władzy. Dopóki ludzie są zadowoleni zarówno z sytuacji w kraju, jak i z swojej sytuacji życiowej, dopóty nie myślą o polityce. Gdy to się zmienia, zwykle niebawem zmienia się też władza. Kiedy zajrzymy do raportu CBOS z maja 2015 r. (przed II turą wyborów prezydenckich), dowiemy się, że przeważająca grupa

badanych (57 proc.) wyrażała wówczas rozczarowanie kierunkiem zmian zachodzących w Polsce, a tylko nieco ponad jedna czwarta (28 proc.) oceniała go pozytywnie. I był to już wtedy trend utrzymujący się od wielu miesięcy.

Na ciekawą rzecz zwrócił uwagę Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego, który komentując awantury podczas Marszu Niepodległości w Warszawie, połączył ten fakt właśnie z pogarszającymi się nastrojami społecznymi. „Nie odbierając nikomu ani odpowiedzialności, ani zasług, warto spojrzeć na historyczny wykres nastrojów społecznych. 2014–2019, gdy marsze były dość spokojne, mieliśmy bezprecedensowe polepszenie nastrojów Polaków. Wcześniej – głęboki kryzys, który długo szukał politycznego ujęcia” – napisał na Twitterze.

STRATY DO ODROBIENIA?

Warto jednak odnotować, że w tym natłoku złych dla rządu informacji jest jedna dobra. Otóż oceny poziomu życia badanych i ich rodzin pogarszają się jedynie w niewielkim stopniu. W trzecim kwartale tego roku – jak podaje CBOS – nadal więcej było ocen pozytywnych niż negatywnych. We wrześniu zaś zwiększył się nawet odsetek badanych uważających, że im i ich rodzinom żyje się dobrze (do 62 proc., o 2 punkty procentowe), a zmniejszył twierdzących, że przeciętnie (do 33 proc., o 2 punkty procentowe). Odsetek niezadowolonych praktycznie się nie zmienił (5 proc.).

Rządowi politycy przekonują, a może bardziej liczą na to, że w momencie wypłaszczenia krzywej zakażeń i ustabilizowania się sytuacji epidemicznej notowania rządu i samego PiS też się automatycznie poprawią. – Warto zauważyć, że wyborcy, którzy teraz odpłynęli od PiS, zasilili grono niezdecydowanych. Jest więc możliwość odrobienia strat. Musi się poprawić sytuacja epidemiczna, ale i trzeba umiejętnie odłożyć spór o aborcję na późniejszy czas – dodaje nasz rozmówca.

– Spór o aborcję politycznie był błędem i pokazują to wszystkie badania – zgadza się prof. Biskup. – Widać też dużą nieufność, jeśli idzie o projekt prezydenta, który w założeniu ma uspokoić sytuację. Odzyskanie straconego zaufania, a co za tym idzie – odbudowanie strat w notowaniach nie będzie proste i szybkie. Może potrwać nawet dwa-trzy lata – prognozuje.

O ile w ogóle się uda.

Marsz Niepodległości – ważne pytania



Rafał A. Ziembkiewicz

Tegoroczny Marsz Niepodległości wydaje się znakiem politycznego przesilenia

Przemarsz miał w większości przebieg bardzo spokojny i godny, ale uwaga mediów, jak zwykle, skupiła się na incydentach FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Ze smutkiem można powiedzieć, że Marsz Niepodległości w tym roku zawrócono. Konkretnie: zawrócono go w czasie, do stanu sprzed roku 2015. Znowu stał się miejscem policyjnych prowokacji i obiektem propagandowego szczucia lewicowo-liberalnych mediów. Tak jak było to za rządów Donalda Tuska, kiedy rok w rok pojawiali się na nim jacyś tajemniczy, zamaskowani prowokatorzy, których z sobie wiadomych przyczyn policja przepuszczała w obie strony przez swe kordony, za to brutalnie atakowała spokojnie się zachowujących uczestników przemarszu; i kiedy obok trasy marszu podpalano tęczę czy śmietnik pod rosyjską ambasadą, a funkcjonariuszy przy tym nie było, choć do ochrony ambasady w czasie wszelkiego rodzaju manifestacji zobowiązuje policję ustawa.

Wystarczyło, że do władzy doszedł PiS, i nagle wszystkie te rozróby 11 listo-

pada skończyły się jak ręką odjął. Aż do tego roku. Jak to rozumieć?

SPRZECZNE WERSJE

Kilka dni przed rocznicą organizatorzy zapowiedzieli zmianę formuły, która wszystkim wydała się satysfakcjonująca – ze względu na sytuację epidemiologiczną, uznając, że patriotyzm oznacza też odpowiedzialność, w tym roku marsz odbędzie się w formie przejazdu samochodów i motocykli. Niestety, zapowiedź nie została zrealizowana. Kawalkada udekorowanych na biało-czerwono samochodów została zatrzymana przez policję w kilku miejscach Warszawy i do przejazdu dopuszczono je dopiero po tym, jak zapowiadana dla nich trasa przeszli piesi manifestanci. Ich przemarsz miał w większości przebieg bardzo spokojny i godny, ale uwaga mediów, jak zwykle, skupiła się na incydentach – bijatyce przy rondzie de Gaulle’a, wrzu-

ceniu petardy do jednego z mieszkań przy trasie przemarszu oraz starciach policji z grupą manifestantów, którzy już po oficjalnym rozwiązaniu marszu mieli zablokować podjazdy do przekształconego w tymczasowy szpital COVID-owy Stadionu Narodowego.

Cykl produkcyjny tygodnika sprawia, że czytelnik będzie miał prawdopodobnie większą wiedzę o okolicznościach wszystkich tych zdarzeń niż autor tekstu w chwili, gdy pisze poniższe słowa. Jak zwykle wersje podawane przez policję i organizatorów są sprzeczne. Ci drudzy twierdzą, że policja, blokując samochody i motocykle, celowo doprowadziła do sytuacji, gdy trasę przejazdu zajęli piesi – po to, by ogłosić, że „zgromadzenie w tej formule jest nielegalne”. Policja odpowiada na to, że oś Al. Jerozolimskich została zajęta przez pieszych demonstrantów już godzinę przed planowaną kawalkadą i zablo-

kowanie przejazdu (który ostatecznie odbył się dopiero po przejściu pieszych) było koniecznością. Różne są też wersje dotyczące zdarzeń wokół Stadionu Narodowego. Policja najpierw twierdziła, że wdarli się tam agresywni manifestanci, potem poprawiła się i stwierdziła, że musiała zaatakować manifestujących, aby odblokować podjazdy niezbędne dla karet i dostawy respiratorów (co brzmi o tyle niewiarygodnie, że cała warszawska służba zdrowia wie, iż polowy szpital na stadionie na razie funkcjonuje w trybie uśpienia i pilnych przypadków praktycznie tam nie ma).

Co do wstrzelenia petardy do mieszkania przy al. 3 Maja – nie można oczywiście wykluczyć, że był to spontaniczny akt wandalizmu jakichś chuliganów, którzy wmieszali się w marsz (tym łatwiej, że w przeciwieństwie do lat poprzednich zakrywanie przez demonstrantów twarzą z zakazanego stało się obowiązkiem). Po oczywistej prowokacji, którą było podpalenie za czasów Bartłomieja Sienkiewicza śmietnika przy rosyjskiej ambasadzie, który to rzekomy „akt terrorizmu” dał asumpt do potężnego propagandowego ataku na Polskę i polską prawicę, trudno jednak uwierzyć, by tego rodzaju zdarzenie nie miało drugiego dna. Poza wszystkim nie ma dyskusji co do tego, że ta sama policja, która wobec agresji o dwa tygodnie wcześniejszych manifestacji lewicowych pod hasłami „j...ć PiS” i „wyp.....ć”, w obliczu ataków na kościoły zachowywała się bardzo defensywnie, a incydentalnie nawet biła manifestującym brawo (co skrzętnie i z dumą odnotowały lewicowo-liberalne media), w Dniu Niepodległości zachowywała się w Warszawie bardzo agresywnie, czego ofiarą padł m.in. ceniony wieloletni fotoreporter „Tygodnika Solidarność”, któremu policjant z odległości zaledwie kilku metrów strzelił z gładkolufowej strzelby w policzek (gdyby trafił zaledwie kilka centymetrów wyżej, wybiłby mu oko).

Zachowanie policji podczas Marszu Niepodległości pozostaje w rażącej sprzeczności nie tylko z tym, jak odnosiła się ona zaledwie kilkanaście dni wcześniej do manifestacji proaborcyjnych, lecz także przede wszystkim z tym, jak umiała współpracować ze Stowarzyszeniem „Marsz Niepodległości” przez ostatnie kilka lat. Bez zwracania uwagi na prowokacje warszawskiego ratusza i odpowiedzialnej w nim przez wiele

lat za te sprawy Ewy Gawor, bez kapitulowania przed agresją Antify i innych lewicowych bojówek, w stałym kontakcie z organizatorami i ze Strażą Marszu. W tym roku nic z tej współpracy nie zostało, wróciły jawna wrogość i agresja wobec manifestantów, równoległa z bezczelną wręcz złośliwością władz miasta, które – z prezydentem Trzaskowskim na czele – najpierw gremialnie uczestniczyły w antyrządowych manifestacjach lewicy, potem zakazały Marszu Niepodległości pod pretekstem „zagrożenia epidemiologicznego”, a gdy organizatorzy ogłosili nową, zmotoryzowaną formułę, zapowiedziały, że tak czy owak do patriotycznej manifestacji nie dopuszczają, ale w takim razie pod pretekstem „wykroczenia drogowego”.

NA PRAWO TYLKO ŚCIANA

Pozostawiając na boku konkretne incydenty, które, miejmy nadzieję, zostaną wyjaśnione, skupmy się na tym właśnie problemie: Dlaczego tak diametralnie zmieniła się w tym roku postawa policji? Dlaczego najwyraźniej wróciła ona do tych samych wytycznych, którymi kierowała się przed rokiem 2015?

Policja w Dniu Niepodległości zachowywała się w Warszawie bardzo agresywnie, czego ofiarą padł m.in. ceniony fotoreporter

Odpowiedzi mogą być tylko dwie. Pierwsza – że rządy PiS uległy daleko idącemu rozkładowi i minister Kamiński po prostu nie kontroluje już policji, w której władzę przejęły nieformalne struktury ludzi o przeszłości podobnej do tej wspomnianej wyżej pani Gawor. Innymi słowy, policja nie ukrywa już, że czeka, aż „znowu będzie tak, jak było”, i wracając do nawyków wyrobionych w czasach rządów lewicy i Tuska, stara się ten powrót „normalności” (z punktu widzenia jej wyższej kadry) przybliżyć.

Druga – że rząd PiS świadomie wchodzi w buty Tuska i odświeża jego narrację, w której „kibole” i „narodowcy” kreowani są na wrogów publicznych po to, aby zaszantażować społeczeństwo: może i nie umiemy rządzić, może i nie potrafimy rozwiązywać waszych problemów, ale tylko nasze rządy bronią was przed zagrażającym Polsce chaosem i ulicznym bandytyzmem.

Można oczywiście zapytać, dlaczego w przypadku PiS uosobieniem tego ulicznego bandytyzmu mieliby być, tak samo jak za Tuska, właśnie narodowcy i ogólnie rozumiana prawica – a nie Antifa i skrajna lewica. Z pozoru może się to wydawać nielogiczne i wieść do odrzucenia hipotezy, że agresja policji i prowokacje 11 listopada korzystały z przyzwolenia władzy. Ale tylko z pozoru. Kto śledził polityczną drogę Jarosława Kaczyńskiego, ten wie, że, paradoksalnie, największego wroga widział on zawsze nie na lewicy, ale na prawo od siebie.

Jest w tym pewna logika. Tłumy, które odpowiedziały na wezwanie Strajku Kobiet i liderów „totalnej” opozycji, to ludzie i tak dla PiS straceni, oni nigdy na partię Jarosława Kaczyńskiego nie zagłosują. Zagrożeniem są dla niej właśnie ci, którzy odwołują się do podobnych wartości – patriotyzmu, katolicyzmu, polskiej tradycji. Nie trzeba być bardzo pilnym obserwatorem sprzyjających PiS mediów, by zauważyć, jak intensywnie w ostatnich latach starały się one zohydzić wszystko, co lokowało się na prawo od obozu rządzącego, szermując obelgami o „ruskich onucach”, putinowskimi insynuacjami i werbalną agresją, na chwilę tylko

powstrzymaną przed wyborami prezydenckimi, kiedy trzeba było zabiegać o elektorat w pierwszej turze głosujący na Krzysztofa Bosaka. W PiS, przez wiele lat wyznającym zasadę „na prawo od nas tylko ściana”, wciąż panuje niewiara, że Konfederacja, postrzegana jako egzotyczny sojusz niewiele mających ze sobą wspólnego narodowców i korwinistów, naprawdę stała się trwałym elementem polskiej sceny politycznej.

Tylko że wspomniana agresja służy przecież raczej właśnie skonsolidowaniu tej – rzeczywiście nie do końca spójnej – formacji w niechęci do obecnych rządów, a nie jej dezintegracji.

Tegoroczny Marsz Niepodległości wydaje się znakiem politycznego przesilenia. Na czym polegającego? Jakie skutki mogącego przynieść? W chwili, gdy piszę te słowa, jeszcze tego nie wiem. Ale odpowiedź mogą przynieść już najbliższe tygodnie.



Marcin Makowski

Rewolucje mają to do siebie, że prędzej czy później pożerają własne dzieci, ale polskim wkładem we francuską tradycję jest również umiejętność pożarcia się na starcie, zanim w ogóle rewolucja się zacznie. Taki los spotyka również Strajk Kobiet

Bez względu na to, jak oceniamy strajki, protesty oraz wydarzenia po antyaborcyjnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego, nie można ich skali lekceważyć. W istocie zarówno od strony żądań, języka, jak i metod mówimy o zjawisku rewolucyjnym, które – nawet jeśli władzy Prawa i Sprawiedliwości nie obali – na trwałe zmieni język debaty publicznej, przesunie granice wojny kulturowej oraz politycznych ultimatów.

Zanim to się jednak stanie – jak to zazwyczaj w polskiej polityce i publicystyce bywa – heroldowie zmian zdążą się nawzajem pokłócić. I to jest być może, przy wszystkich błędach, fatalnych decyzjach i jeszcze gorszej komunikacji rządu oraz Jarosława Kaczyńskiego, ostateczny dowód na to, że prezes nie tyle ukradł księżyc, ile urodził się pod szczęśliwą gwiazdą.

KTO CHCE ZABIĆ „MŁODZIEŻOWY SPONTAN”?

Idealnym przykładem jest tweet Donalda Tuska, który – choć sam Strajk Kobiet oglądał z kanapy, a w SMS-ach do córki pisał, że to „ich rewolucja” – coś uszczknął z jej antyrządowości zapragnął. „Proszę odejść czym prędzej! Chociaż można wyrazić to prościej” – napisał były premier, wywołując przewidywalną do bólu debatę wewnątrz opozycji. „Czy popiera Pan prawo do przerywania ciąży zgodnie z decyzją kobiety, jak w niemal całej Europie? Ile był wart Wasz »kompromis« z biskupami, właśnie widać. Kto nadal tego nie widzi, nie potrafi opowiedzieć się za normalnymi, europejskimi zasadami, ten faktycznie może się oddalić” – zapytał go Adrian Zandberg, wskazując, że nikt z „leśnych dziadków III RP” na europejskość z partią Razem licytować się nie będzie.



Cały wyścig o wskoczenie do przedziału pociągu, który jedzie w jedynie słuszną stronę historii, doprowadził nawet do odkrycia u wieloletnich działaczy PZPR ich opozycyjnych korzeni. „To jest czas wyboru, czas decyzji, po czyjej stronie stoisz. Ostrzegam rząd i wszystkich lizusów, wazelinarzy i sprzedawczyków – wysłuchajcie ludzi, bo, jak po 1981 roku, odejdziecie w hańbie i niesławie” – pogroził Dariusz Rosati. „Szkodzi Pan. Ile Panu można mówić, że czas na (cichą) emeryturę? Wstydu Pan nie ma” – odpowiedział mu Martin Sobczyk, dziennikarz „Wall Street Journal”.

I to jest być może sedno pokoleniowego pęknięcia, które już na starcie skazało Strajk Kobiet na coraz większy rozdźwięk z autentyczną energią i postulatami ulicy. Nawet największy demiurg Zjednoczonej Prawicy nie wymyśliłby przecież powołania rady konsultacyjnej strajku w składzie z m.in.: Barbarą Labudą (74 lata), Danutą Kuroń (71 lat), Moniką Płatek (67 lat), Michałem Bonim (66 lat) czy Pawłem Kasprzakiem (59 lat), której spektrum postulatów – zaczynające się od natychmiastowego odebrania pieniędzy Kościołowi i TVP, a kończące się na legalnej aborcji – przypominało obrady radykalnej frakcji Sejmu Dzieci i Młodzieży, a nie ciała, które może i chce coś w Polsce zmienić. „Obawiam się, że tzw. Rada konsultacyjna Strajku Kobiet zabije młodzieżowy spon-

tan, który był siłą tego protestu. Wkracza politykierstwo. Po kiego?” – stwierdził jeden z internautów, komentując jej skład.

Krytyki, wychodzące ze środowisk feministycznych oraz niechętnych władzy, było zresztą więcej. „Dlaczego we wstępnym składzie »rady« Strajku Kobiet nie ma ANI JEDNEJ przedstawicielki tak kluczowych dla tematu zawodów, żadnej POŁOŻNEJ, żadnej GINEKOŁOŻKI, żadnej NEONATOŁOŻKI!” – pytała na Twitterze rozgoryczona internautka. „Bo odchodzi się od tematu aborcji i robi strajk antyrządowy, który przeradza się w KOD 2.0. I to jest k...a dramat” – odpowiedział jej inny anonimowy użytkownik.

O tym, jak nieudolnie rada konsultacyjna dobierała swoich członków, niech świadczy historia z Nadią Oleszczuk, którą wobec braku młodych kobiet w składzie dołączono nie w wyniku jakiegś głębszej refleksji, ale ze względu na to, że jej partner – Jan Zygmuntowski – zrzekł się swojego miejsca, przekazując je dziewczynie. „Liderce związkowej i działaczce, silnej i postępowej kobiecie” – jak napisał na Facebooku.

Ona sama w rozmowie z Radiem Zet pokazała natomiast, że nie bardzo wie, o co toczy się ta gra, jako doświadczony życiowo podając krótki okres zatrudnienia w knajpie wegańskiej, gdzie właściciel kazał jej robić „trzy rzeczy naraz”, dlatego teraz, będąc w radzie, skupi się na opo-



Konferencja prasowa Obywatelskiego Komitetu Inicjatywy Ustawodawczej dotycząca legalizacji aborcji, w skład którego weszły posłanki Lewicy, Ogólnopolski Strajk Kobiet, Aborcjiny Dream Team, Federa oraz Dziewuchy Dziewuchom

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

datkowaniu wszystkich umów cywilnoprawnych oraz ozdrowieniu rynku pracy w Polsce. Przepraszam bardzo, albo tylko prof. Magdalena Środa, która przyrównała Martę Lempart do „Wałęsy naszych czasów”, może kupić podobną narrację.

„GDZIE PAN BYŁ, PANIE PROFESORZE?”

Dosyć charakterystycznym odłamem sporu „dziadersów” (bo tak nazwano mądrzących się nestorów III RP) z rewolucjonistami, tyle że toczonym na froncie języka i formy protestów, była natomiast korespondencyjna polemika między Jerzym Owsakiem a prof. Jerzym Bralczykiem. Otóż ten drugi, naturalnie z perspektywy językoznawcy, odważył się na niesamowitą niestosowność w postaci zakwestionowania paradygmatu „świętego wk.....a”, do którego młodzi mają przecież prawo, bo ulica to nie Wersal. „Czy słowo »wypier....ć« nadaje się na sztandary?” – zapytał go prowokacyjnie portal NaTemat.pl.

– Być może ci, którzy umieszczają je na transparentach, tak właśnie uważają. Ale to wcale nie znaczy, że my musimy tak uważać. Według mnie to słowo raczej szkodzi tym protestom, niż pomaga – odpowiedział profesor.

I gdzieś w środek tych rozważań wszedł Jerzy Owsiak, który już następnego dnia po ogłoszeniu wyroku Trybunału

Konstytucyjnego zaapelował do Jarosława Kaczyńskiego o „powstrzymanie tej eskalacji zła i nienawiści”, wycofanie się z polityki i skierowanie słowa „przepraszam” pod adresem Polek i Polaków. „Hasło WYPIERD..AĆ jest jedynym dzisiaj zrozumiałym poleceniem wobec ludzi, którzy zdemonstrowali Polskę i fundamenty państwa. [...] To jedyne słowo klucz, które może wziąć nas w garść i przeciwstawić się PiS-owi i brutalnych Policjantów!” – napisał szef Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Następnie w dyplomatyczny sposób zwrócił się do samego Jerzego Bralczyka. „Gdzie Pan był Panie profesorze, kiedy posłanka PiS Joanna Lichocka pokazała fucka w Sejmie? Gdzie Pan był, kiedy sędzia Trybunału Konstytucyjnego Krystyna Pawłowicz wyzywała i lżyła profesora Bartoszewskiego czy pana Stanisławskiego?” – wyliczał.

Na łamach Wirtualnej Polski odpowiedział mu natomiast wywołany do tablicy Bralczyk. – Byłem wśród tych, których to oburzały gest Lichockiej – skrajnie nieprzyzwoity – i słowa pani Pawłowicz, która także zachowywała się poniżej normy, nie tylko grzeczności, ale wręcz przyzwoitości. Byłem wśród tych ludzi, którzy to potępiali, ale nie byłem wówczas pytany o zdanie – stwierdził językoznawca, przyznając, że zasmuciła go reakcja Owsiaaka. Ciekawsze było jednak inne zdanie, kierowane do szerszego grona odbiorców. – Paradoksalną sytuacją jest ta, gdy zwolennicy poprawności politycznej, którzy wzbraniają się przed używaniem słowa „Murzyn” czy „Cygan”, teraz ochoczo przyklaskują wulgaryzmom. Wydaje mi się to co najmniej niekonsekwencją – zauważył delikatnie, acz cennie Bralczyk. Z tymi słowami polemiki już nie było.

RZEPLIŃSKIEMU JUŻ PODZIĘKUJEMY

Na jej nadmiar nie mógł narzekać natomiast inny profesor oraz były prezes Trybunału Konstytucyjnego, Andrzej Rzepliński. To on 30 października, w dniu największych protestów w Warszawie, stwierdził w wywiadzie dla Roberta Mazurka w „Dzienniku Gazecie Prawnej”, że strajkujący przeciw wyrokowi „eskalują konflikt i prowadzą do anarchizacji życia publicznego”. Kluczowy był jednak inny fragment, który warto przytoczyć w całości. Mazurek: „Rozumiem demonstracje przed siedzibami PiS, ale dlaczego idą pod kościoły?”. Rzepliński: „A myśli

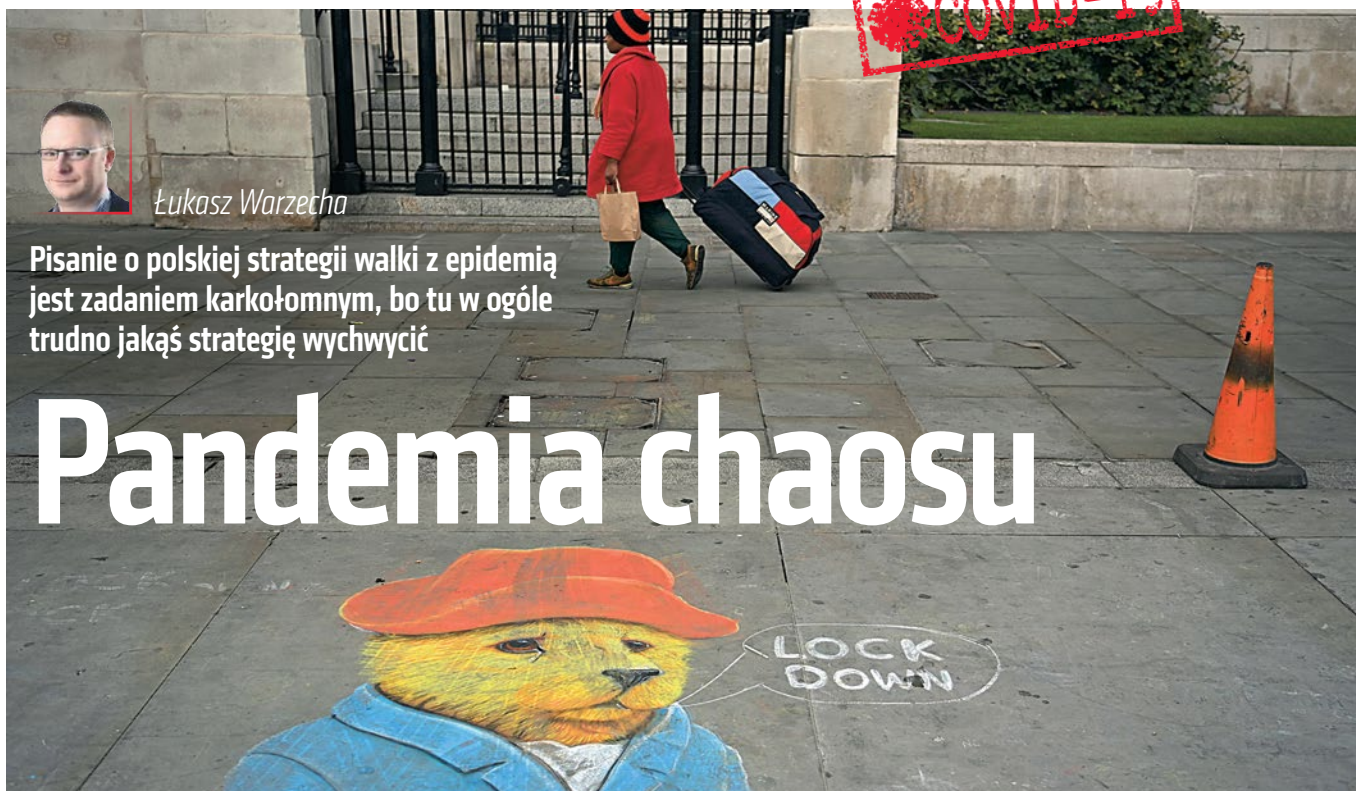
pan, że hołota francuska zachowuje się inaczej? A hołota amerykańska jest inna?”. Mazurek: „Nazywa pan tych ludzi hołotą?”. Rzepliński: „Hm...”. Mazurek: „Panie profesorze?”. Rzepliński: „Nazwijmy ich awanturnikami”. Mazurek: „I zostawi pan to w autoryzacji?”. Rzepliński: „Awanturników zostawię”. Słowa te, co zrozumiałe, wywołały prawdziwą lawinę komentarzy polityków i publicystów, którzy hurtowo rzucili się od odcinania od (byłego?) lidera opozycji.

„Nie podzielał i bardzo się dziwił” – powiedziała prof. Ewa Łętowska. „Niech spada” – skomentowała słowa Rzeplińskiego aktywistka z ruchu Polskie Babcie Katarzyna Augustynek. „Błąd, mój drogi Andrzeju. Jako były Prezes TK – odważny, bezkompromisowy – nie powinien teraz obnosić się z tym swoim katolicyzmem i mówić o »hołocie«. Mamy państwo świeckie. Nie pluj w ateistów, nie-katolików itp. Co się z Tobą, z Wami, stało?” – pytał na Twitterze prof. Wojciech Sadurski. „Rzepliński napluł właśnie w twarz wszystkim, którzy walczyli na ulicach w obronie TK” – stwierdził Władysław Frasyniuk.

Najciekawsze było jednak stanowisko – jak określa ich portal OKO.press – „prawników, którzy angażowali się w obronę sądów”, w imieniu których jedna z prawniczek wygłosiła następujące oświadczenie: „Nie zajmujemy się tymi słowami, to nas tylko dzieli, idźmy do przodu. Te słowa nie mają już żadnego znaczenia. Jesteśmy w innym miejscu niż kilka dni temu, przez ten tydzień w świadomości społecznej posunęliśmy się o 5 lat do przodu. Mamy wspaniałych sędziów-aktywistów. Jakaś epoka się zamknęła i do niej należy prof. Rzepliński”. I na nic zdały się słowa samego zainteresowanego, który oświadczył, że „jego wypowiedź została zmanipulowana”. Były prezes Trybunału Konstytucyjnego, zbyt mało rewolucyjny, z dnia na dzień z bohatera goszczącego na okładkach „Wyborczej” zamienił się w „ultrakonserwatywnego katolika” oraz „przeciwnika aborcji”.

I właśnie tak, krok po kroku, z autentycznego i różnorodnego buntu młodych historia Strajku Kobiet przerodziła się w obserwowaną choćby w przypadku Komitetu Obrony Demokracji historię konfliktu pokoleń z domieszką licytacji na to, jak daleko i kto konkretnie powinien tym razem „wyp.....”.

COVID-19



Łukasz Warzecha

Pisanie o polskiej strategii walki z epidemią jest zadaniem karkołomnym, bo tu w ogóle trudno jakąś strategię wychwycić

Pandemia chaosu

Wiele wskazuje na to, że począwszy od wiosny, stosowana jest jedynie kompilacja rozwiązań podpatrzonych u innych, nawet bez próby dostosowania ich do lokalnych warunków, przypadkowych działań podejmowanych dla poprawy wizerunku (byłe pokazać, że cokolwiek się robi), ze strachu oraz z zaniedbań.

Zdecydowanie przesadzony lockdown z wiosny, choć dał nam trochę oddechu, nie posłużył do przygotowania się do jesiennej fali, mimo że ostrzeżenia przed nią się pojawiały. Zamykając ogromnym kosztem – szacowanym na blisko 100 mld zł miesięcznie – kolejne branże, rząd nie przedstawiał wówczas żadnego konkretnego uzasadnienia i to się do dziś nie zmieniło. Nadal trwa poczucie chaosu, przypadkowości oraz kompletnego braku logiki (dlaczego otwarte mogą być sklepy budowlane, a nie sklepy meblowe, dlaczego muszą być zamknięte puste i tak muzea). Mało tego – prezentowane statystyki zakażeń, ciężkich przypadków i zgonów są bardzo ogólnikowe, podczas gdy w wielu krajach (choćby Irlandii czy Holandii) są one bardzo szczegółowe, z podziałem na domniemane miejsca zakażenia, zgonu, towarzyszące przypadłości i inne znaczące czynniki. Zamykając w jesiennej fazie kolejne branże, rząd nie wyznaczył też końcowej daty tego zamknięcia, choć początkowo mówił co innego. Dla przedsię-

biorców oznacza to narastającą niepewność. To też odróżnia nas na niekorzyść od państw takich jak Irlandia czy Holandia, gdzie wyraźnie wyznaczono końcową datę obowiązywania ściślejszych restrykcji.

ZAUFANIE DO PAŃSTWA

Jeśli przyjrzeć się postępowaniu innych państw, to widać zależność między sposobem wprowadzania restrykcji, wyjaśniania ich zasadności obywatelom, ich surowością a zaufaniem ludzi do polityków i państwa. Im większe zaufanie do państwa lub lidera politycznego, tym mniej surowe restrykcje i tym większa gotowość do ich przestrzegania. W Polsce jest z tym bardzo duży problem – w drugiej połowie października premierowi nie ufało już ponad 52 proc. pytanym.

Zaskakujące jest, że mimo wielu apeli Mateusz Morawiecki nie powołał ciała doradczego, w którego skład wchodziliby specjaliści z różnych dziedzin: przedsiębiorcy, ekonomiści, psychologowie społeczni, specjaliści od edukacji, a na koniec lekarze. Zamiast tego mamy jedynie radę złożoną z samych lekarzy, która siłą rzeczy prezentuje wąski, czysto lekarski punkt widzenia na sytuację.

Istnieje dzisiaj pewne podobieństwo między Polską a Wielką Brytanią. Choć na Wyspach komunikacja z obywatelami jest na o wiele wyższym poziomie niż w Polsce, premier Boris Johnson w son-

dażach zaufania dołuje głównie z powodu swojej koronawirusowej strategii. Pod koniec października jego działania akceptowało jedynie 34 proc., a nie akceptowało aż 59 proc. To dramatyczne odwrócenie sytuacji z połowy kwietnia, gdy Johnson cieszył się poparciem aż 66 proc. Brytyjczyków. Dlaczego? Nietrudno znaleźć przyczynę – wówczas właśnie premier Zjednoczonego Królestwa wychodził ze szpitala po przejściu COVID-19. Według lekarzy i samego Johnsona przebieg był ciężki, brytyjski premier był w szpitalu przez 10 dni, ale ostatecznie nie został podłączony do respiratora, a do pracy wrócił po miesiącu od momentu zdiagnozowania choroby. Wydaje się zatem, że określenie „ciężki przebieg” jest w jego przypadku nieco na wyrost, choć na pewno nie był to też przebieg lekki.

Johnson po swoich doświadczeniach ostatecznie porzucił proponowaną u samego zarania epidemii koncepcję budowania odporności populacyjnej (inaczej: odporności stadnej). Gdyby Wielka Brytania przy niej wytrwała, byłaby dziś drugim obok Szwecji krajem idącym tą drogą. Tak się jednak nie stało. Mało tego – zwrot Johnsona był radykalny, choć dokonał się jeszcze, nim premier zapadł na COVID-19. Już 20 marca zamknięto szkoły (liczba dziennych nowych przypadków nie przekraczała wtedy jeszcze tysiąca), a 23 marca Johnson w telewizyjnym wystąpieniu

nałożył na brytyjskich obywateli bardzo daleko idące ograniczenia, w tym zakaz opuszczania domów poza niezbędnymi sytuacjami, takimi jak konieczne zakupy. 26 marca weszła w życie regulacja, która nakazywała zamknięcie ogromnej liczby firm i biznesów. To już był walec.

Za brytyjskimi – i nie tylko – decyzjami stały prognozy opisywanego przeze mnie w „Do Rzeczy” kilka miesięcy temu prof. Neila Fergusona. Ten matematyk, wieszczący miliony ofiar koronawirusa, w samej Wielkiej Brytanii, jak się okazało, tworzył już kilkakrotnie w przeszłości całkowicie błędne prognozy, dotyczące np. rozprzestrzeniania się gąbczastego zwyrodnienia mózgu wśród ludzi. Żeby było śmieszniej, Ferguson został zmuszony do rezygnacji z uczestnictwa w grupie rządowych doradców po tym, jak „Daily Telegraph” opisał, że podczas ścisłego lockdownu wiosną odwiedziła go w domu jego kochanka, zresztą mężatka.

Podczas gdy w Polsce na początku maja lockdown był już luzowany, również ze względu na nadchodzący pierwotnie przewidywany termin wyborów, w Wielkiej Brytanii trwał w najlepsze. Niektóre najściślejsze ograniczenia zaczęto znosić dopiero w czerwcu, ale wiele wciąż pozostawało w mocy, choć w drugiej połowie miesiąca liczba dziennych przypadków – mimo bardziej masowego testowania – spadała już poniżej tysiąca, czyli do poziomu z początku epidemii.

GIGANTYCZNE KOSZTY

Radość z odzyskanej względnej swobody nie trwała jednak długo. Podobnie jak nie miały długiego żywota obietnice premiera Johnsona, że uczyni wszystko, co w jego mocy, aby uniknąć kolejnego krajowego lockdownu. Zastąpić go miały restrykcje lokalne, których zasady szef rządu ogłosił 12 października. Spotkało się to ze zdecydowanym sprzeciwem samorządów oraz niektórych parlamentarzystów, którzy – słusznie – uznali, że będzie to oznaczało dyskryminację lokalnego biznesu w ich okręgach.

Koncepcja lokalnych zamrożeń miała jednak krótki żywot. Już 31 października Johnson ogłosił bowiem praktycznie drugi lockdown – przy czym pamiętać trzeba, że nieco inne zasady obowiązują w mającej dużą autonomię Szkocji, gdzie zastosowano podział terytorium na obszary z różnym poziomem restrykcji. Tak więc w Anglii otwarte pozostają szkoły i uniwersytety, ale zamknięte są cała gastronomia (poza

jedzeniem na wynos), większość sklepów, a wychodzić z domu można jedynie, aby poćwiczyć lub w niezbędnych celach. Koszty dla kraju będą trudne do wymierzenia. Brytyjskie Krajowe Biuro Audytu oceniło, że cena działań antyepidemicznych, prowadzonych do 7 sierpnia, to 210 mld funtów (ponad bilion złotych)! Obecny lockdown ten koszt jeszcze wywinduje. Eksperti ostrzegają, że podwyżki podatków są nieuchronne.

Co ciekawe, od wprowadzenia drugiego lockdownu liczba zakażeń w Wielkiej Brytanii wcale nie zmalała i utrzymuje się na poziomie dobrze ponad 20 tys. dziennie. Johnson jest za swoją politykę coraz mocniej atakowany. Utrzymuje jednak, że alternatywy nie ma, a wyjściem ma być testowanie całej ludności kraju – co wydaje się trudne do przeprowadzenia.

Włochy służyły wiosną jako straszak dla reszty Europy i świata. Słynny fake z ciężarówkami z trumnami okrążył świat, tyle że pokazywał sytuację z 2013 r., gdy u brzegów Lampedusy zatonał statek z imigrantami.

We Włoszech na razie ogólnokrajowego lockdownu nie ma, choć nawołują do niego coraz głośniejsi lekarze. Tak jednak zachowuje się większość medyków w zasadzie w każdym kraju. Ten z wiosny był bardzo długi – trwał ponad dziewięć tygodni i obciążył Włochów olbrzymimi kosztami psychicznymi oraz finansowymi. Miesięczną pomoc dla biznesów w trakcie lockdownu szacuje się na minimum 10 mld euro. Między innymi dlatego na razie włoski rząd ucieka się tylko do zamrożeń lokalnych, które zresztą i tak wywołują coraz gwałtowniejszy sprzeciw. Przy czym liczba nowych przypadków jest dziś wielokrotnie większa niż wiosną, gdy było to w szczycie ok. 6 tys. dziennie. Dzisiaj jest to pomiędzy 25 a 35 tys. Ciekawe jest natomiast to, że mimo większej liczby potwierdzanych zakażeń liczba zgonów jest wciąż niższa niż w marcu czy kwietniu, choć powoli rośnie i sięga ok. 500 przypadków dziennie.

To tylko dwa przykłady typowych metod walki z koronawirusem, ale też niewiele jest tu do odkrywania. Mało który rząd odważył się na pójście inną drogą. Na przykład Holandia, która zwlekała z zaostrzeniem restrykcji, niedawno również zamknęła stacjonarną gastronomię, w połowie października weszły zaś w życie kolejne restrykcje – z wyjątkiem jednak zaplanowaną datą zakończenia w połowie grudnia. Obejmują m.in. zamknięcie

muzeów czy ograniczenie do dwóch liczby osób, które można gościć u siebie w domu w ciągu 24 godzin. Co ciekawe, inaczej niż w Polsce siłownie czy kluby fitness pozostają otwarte, tyle że nie odbywają się tam zajęcia grupowe. Nadal nie ma planu, aby noszenie masek na powietrzu było obowiązkowe. Ba, nie ma nawet takiego obowiązku we wszystkich przestrzeniach zamkniętych, choć jest zapowiedź, że wejdzie w życie od 1 grudnia.

Rekordowo ścisły lockdown od 18 września utrzymuje Izrael, przy rosnącym sprzeciwie biznesu i trudnym do wyobrażenia koszcie dla państwa. Zwłaszcza że pierwsze zamknięcie kraju krótkie nie było – trwało od połowy marca do niemal końca maja. Gospodarka skurczy się prawdopodobnie o minimum 6 proc. i będzie to najgorszy w historii wynik.

Wszystko to – z większością państw europejskich włącznie – kontrastuje z podejściem szwedzkim. Podstawowa różnica jest taka, że tam rząd od początku pozostawił sprawę w rękach głównego epidemiologa Andersa Tegnella i jego doradców, niejako wyłączaając ją ze sfery politycznej. Ważne jest także to, że Tegnell patrzy znacznie szerzej niż tylko z lekarskiego punktu widzenia. Jego antylockdownowe podejście spotykało się oczywiście z pełną furii krytyką nie tylko w samej Szwecji. Tymczasem szwedzka strategia daje ciekawe rezultaty.

Jeśli za miarę przyjmimy liczbę zgonów na milion mieszkańców w ciągu ostatnich siedmiu dni, to w Polsce jest to obecnie ok. 50 osób. W Szwecji niespełna 6. Czyli prawie 10 razy mniej, i to mimo bardzo wysokiej w porównaniu z wiosną liczby przypadków zachorowań (obecnie ponad 4 tys. dziennie). Przy czym pamiętajmy, że Szwecja nie poniosła kosztów związanych z lockdownem, choć oczywiście także straciła gospodarczo, bo popyt wewnętrzny zmalał tak czy owak, a wpływ wywarło też zamrożenie gospodarek w innych krajach. Przede wszystkim jednak – i może o tym warto pamiętać szczególnie – Szwedzi nie poniosą kosztów społecznych, także psychicznych, które dotkną w ogromnym stopniu i Polaków, i Brytyjczyków, i Włochów, i wszystkie inne narody, których przywódcy uznali, że ludzi można pozamykać w domach na długie miesiące. Skutki nie będą widoczne natychmiast w przeciwieństwie do dziennych statystyk zakażeń i zgonów, ale Szwedzi wciąż mogą tę bitwę wygrać w dłuższym okresie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Sam respirator nie leczy



Łukasz Zboralski

Polska nie wygląda źle, jeśli chodzi o zasoby respiratorów i ogólniej – łóżek intensywnej opieki medycznej. To nie sprzęt może stać się wąskim gardłem przy nadmiernej liczbie pacjentów

Pojawiające się w mediach co jakiś czas doniesienia o zajętych wszystkich respiratorach dla pacjentów COVID-19 czy niewielu wolnych miejscach wywołują pewien niepokój. Jest to niepokój uzasadniony. Można bowiem było wytłumaczyć braki sprzętu podczas pierwszej, wiosennej fali zachorowań. Cały świat został zaskoczony i brakowało nie tylko respiratorów, lecz także nawet zwykłych maseczek czy kombinezonów – można przypomnieć zdjęcia personelu służby zdrowia w wielu krajach, który pró-

bował się zabezpieczać na własną rękę, np. workami na śmieci. Wszystkie kraje miały wówczas ten sam problem i był nim brak towaru. W Chinach z wykorzystaniem służb specjalnych walczone o wszystko, co można było wydrzeć z rąk producentów przed innymi. Okazywało się potem, że wiele krajów europejskich kupiło sprzęt, który nie nadaje się do użycia. Włoskie pielęgniarki nagrywały filmiki z maseczkami ochronnymi, które rozpadały się im w rękach.

Na przygotowanie się do drugiej fali zachorowań, przed którą poważnie ostrzegali eksperci zajmujący się wirusologią, było już bardzo dużo czasu. Nie było też już takich problemów ze sprzętem. To dlatego doniesienia o ewentualnych brakach w szpitalach w Polsce przyjmowane są ze zdumieniem i złością. Tylko czy na pewno to brak sprzętu jest dziś naszym problemem?

JESZCZE POŁOWA W MAGAZYNACH

Trudno się dziwić, że media skupiają się na dostępności respiratorów. W przy-

padku leczenia COVID-19 ten sprzęt jest ostatnią deską ratunku. Koronawirus, który atakuje płuca, powoduje trudności w nasyceniu krwi tlenem. To dlatego pacjenci potrzebują wspomagania oddychania przez dostarczanie im tlenu. Najciężej chorzy przestają samodzielnie oddychać. To wówczas zapadają najtrudniejsze decyzje – o podłączeniu ich do respiratora. Urządzenie to może wspomagać oddech lub całkiem go zastąpić. Trudno w zasadzie mówić o leczeniu. Raczej daje się wówczas szanse na funkcjonowanie organizmu, który można dalej próbować leczyć. Respirator, który wdmuchuje odpowiednią objętość powietrza do płuc, pozwala bowiem zachować wymianę gazową i natleniać krew. Tak jak każda tego rodzaju procedura stwarza też pewne ryzyko. Chorych trzeba znieczulić, by wprowadzić im przez tchawicę jednorazowe rurki i podłączyć do aparatury. Do czuwania nad tym potrzebna jest wykwalifikowana kadra.

To dlatego ludzie mogą niepokoić takie doniesienia jak te z początku listopada, gdy resort zdrowia oszacował liczbę zaję-

tych respiratorów dla pacjentów z COVID-19 na 80 proc. Na Mazowszu wolnych było wówczas 6 respiratorów z 201, a na Podlasiu zajętych było wszystkich 55 dostępnych. Czy przy fali potężnego wzrostu zachorowań możemy nie mieć odpowiedniej liczby tego sprzętu? Sprawdziliśmy.

Jak wynika z odpowiedzi Ministerstwa Zdrowia, ogółem w Polsce jest dziś w placówkach medycznych ponad 11 tys. respiratorów (pamiętajmy, że są to jednak wszystkie respiratory, w tym np. sprzęt na wyposażeniu neonatologii, w salach pooperacyjnych itd.). Do tego jest jeszcze sprzęt w magazynach rządowej Agencji Rezerw Materiałowych.

– Na dzień 9 listopada mamy 2442 respiratory dla pacjentów z COVID-19 – informuje „Do Rzeczy” Agnieszka Pochręst-Motyczyńska z biura prasowego resortu zdrowia. Sprawdziliśmy, że tego samego dnia zajętych z nich było 1804, co stanowiło 74 proc. ogółu sprzętu tego rodzaju dla pacjentów z COVID-19 (dwa dni później zajętych respiratorów było już 1975, czyli ok. 81 proc.). Wszystko wskazywało więc na to, że zbliżamy się do granicy wykorzystania wszystkich respiratorów, które przeznaczono do walki z koronawirusem. Z informacji przedstawicielki Ministerstwa Zdrowia wynika jednak, że nie wykorzystujemy jeszcze nawet połowy takiego sprzętu dostępnego dla pacjentów z COVID-19. W magazynach ARM ma bowiem – według jej deklaracji – zgromadzonych jeszcze ponad 3 tys. respiratorów.

Do jakiej skali zakażeń wystarczy nam samego sprzętu? Jakie szacunki ma w tej sprawie resort zdrowia? Próbowaliśmy się tego dowiedzieć, ale na to pytanie Pochręst-Motyczyńska udzieliła odpowiedzi wymijającej.

ILE MAJĄ INNI?

Sprzętową sytuację możemy próbować trochę lepiej zrozumieć, przyrównując polskie zasoby z tymi w innych krajach. Jest to jednak dość trudne ze względu na niewielką liczbę informacji oraz wciąż dynamicznie zmieniającą się sytuację – wiele danych sprzed pandemii nie odpowiada już prawdzie. Polska ogólna liczba respiratorów w systemie zdrowia w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców to ok. 28. To poziom porównywalny z dostępnymi historycznymi danymi z Brazylii (25), USA (20) czy Rosji (27). W wielu krajach europejskich ten wskaźnik jest niższy.

Nieco lepszy obraz wyposażenia w sprzęt daje wskaźnik „łóżek intensywnej opieki medycznej”. Sam respirator to nie jest jeszcze bowiem całe stanowisko, które pomaga ratować pacjenta. Z danych sprzed pandemii wynikało, że na 100 tys. pacjentów takich miejsc w USA było ok. 35, w Niemczech niecałe 30, we Włoszech ok. 13, we Francji ok. 12, w Hiszpanii mniej niż 10, a w Wielkiej Brytanii ok. 7. Obecnie w Polsce ten wskaźnik to ok. 12.

Nieco więcej światła rzuca na to analiza opublikowana we wrześniu w „Intensive Care Medicine” („Access to intensive care in 14 European countries: a spatial analysis of intensive care need and capacity in the light of COVID-19”), w której zbadano potrzeby i wydajność intensywnej opieki w 14 krajach europejskich w kontekście COVID-19. W tych analizach uwzględniono Polskę.

Liczba łóżek intensywnej opieki medycznej w Polsce jest porównywalna z innymi krajami w UE. Wszystkich deklasują jednak Niemcy

Z zestawienia wynika, że liczba łóżek intensywnej opieki medycznej w liczbach bezwzględnych w Polsce jest porównywalna z liczbą w innych krajach. U nas jest 4391 takich łóżek, podczas gdy we Włoszech jest ich 5184, w Anglii – 3999, we Francji – 5671. Wyraźnie lepsze są Niemcy, gdzie takich miejsc jest aż 28 031.

Przy zestawieniu liczby takich łóżek z liczbą wszystkich łóżek w szpitalach Polska ma wskaźnik 2,7. I jest to najniższy wskaźnik w tym zestawieniu. Może to jednak wynikać z tego, że mamy dużo więcej łóżek dla pacjentów w ogóle. Ostatnie dane OECD obejmujące informacje do roku 2019 wskazują, że Polska jest jednym z krajów z największą liczbą łóżek szpitalnych – na tysiąc mieszkańców mamy ich 6,5. Niewiele więcej od nas mają tylko: Węgry, Czesi, Rosjanie, Austriacy i Niemcy, a dwukrotnie więcej mają Japończycy i Koreańczycy. Wszyscy pozostali mają łóżek w szpitalach mniej.

Dlatego autorzy zestawienia obliczyli własny „średni indeks dostępności” miejsc intensywnej opieki medycznej, który brał pod uwagę nie tylko wcześniej wymienione aspekty, lecz także np. średni czas do-

jazdu do szpitala. Polski indeks (11,1) jest nieco wyższy niż Włoch (8,1), Francji (8,2), Chorwacji (9) czy Wielkiej Brytanii (7), ale znacznie niższy niż najlepszych pod tym względem: Niemiec (35,3), Estonii (33,5), Austrii (26,4) czy Słowenii (24,2).

Trudno się dziwić, że przy takim wyposażeniu szpitali Niemcy, którzy od firmy ze swojego kraju zamówili najpierw 10 tys. respiratorów, ostatecznie rozwiązali kontrakt po odebraniu 1,6 tys. sztuk sprzętu – uznali po prostu, że więcej im już nie będzie potrzebna.

Z analizy opublikowanej w „Intensive Care Medicine” wynika jeszcze, że w Polsce liczba takich miejsc jest rozłożona dość równo na terenie całego kraju. Nie mamy za wiele „białych plam”.

SPRZĘT TO NIE WSZYSTKO

Oczywiście dostępność sprzętu, zwłaszcza respiratorów, na której tak medialnie skupiamy się w Polsce, to tylko jeden aspekt problemu. I zdają sobie z tego sprawę wszyscy, także świetnie wyposażeni Niemcy. Także oni uważają, że wąskim gardłem w nawale pacjentów z COVID-19 będzie... personel, a nie sprzęt. Niemcy też borykają się z niedoborami kadry.

W Polsce te problemy są najgłębsze. Jak bowiem wynika z danych Eurostat z 2019 r., mamy najmniej lekarzy w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców w Unii Europejskiej. Nasz wskaźnik to 2,4. W Czechach jest to 4,1, w Niemczech – 4,2, na Litwie – 4,5, a w Austrii – 5,2 i w Grecji – 6,1.

Także na tle krajów OECD (raport „Health at a Glance 2019”) wypadamy pod tym względem marnie. Od 20 lat prawie nie zwiększa się u nas liczba lekarzy. Dlatego spośród 44 krajów tylko 8 ma mniej lekarzy na tysiąc pacjentów niż my.

Ostatnim problemem jest sposób wydzielania respiratorów z ARM szpitalom. Dotychczas nie działało to chyba najlepiej, skoro resort zdrowia właśnie wprowadził nowe zasady i teraz przez wojewodów szpitale zgłaszać mają swoje potrzeby bezpośrednio do agencji.

Z doniesień środowiska medycznego wynika też, że kolejną barierą może stanowić zakup jednorazowego osprzędu do respiratorów przekazywanych przez rząd. Osprzęt do urządzeń przekazywanych z ARM szpitalom ma być czterokrotnie droższy niż do tych respiratorów, których lecznice dotychczas używały. Zadaliśmy to pytanie ARM, ale do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Halo hejt

FOT. DAWID ZUCHOWICZ/AGENCJA GAZETA



Agnieszka Niewińska

Internetowym Halo Radiem wstrząsnęła fala odejść dziennikarzy. Szef stacji Jakub Wątlę jeszcze przed jej startem dał się poznać jako hejter i skandalista

Krzyki, wyzwiska, podnoszony głos, przekleństwa – tak atmosferę pracy w internetowym Halo Radiu opisywał w pożegnalnej audycji Piotr Szumlewicz, lewicowy aktywista i związkowiec. „Swobody w tworzeniu programu nie brakowało, choć dyrektor programowy Jakub W. wprowadzał do atmosfery coś tak toksycznego, że trudno mi to opisać słowami. Jakiś rodzaj napięcia, nerwowości. Czułam się tak, jakby na mnie czytał, żeby tylko przyjebrać – opisała powód swojego odejścia ze stacji reporterka „Newsweeka” Agnieszka Żądło. „Jesteście złymi ludźmi i pamiętajcie – karma wraca” – napisała w pożegnalnym poście Marta Woźniak, jedna z prowadzących audycje.

Założonym przed ponad rokiem internetowym Halo Radiem w ostatnich tygodniach wstrząsnęła fala odejść. Z pracy zrezygnowało kilkunastu prowadzących, posypały się oskarżenia pod adresem dyrektora programowego stacji Jakuba Wątlęgo – o autorytaryzm, łamanie praw pracowniczych, cenzurę.

Halo Radio zaczęło z politycznym przytupem – projekt firmowany przez Jakuba Wątlęgo, wcześniej pracującego w Superstacji. Radio reklamowano hasłem: „Pierwsze Medium Obywatelskie”. Zostało ono z entuzjazmem przyjęte przez wiele

osób publicznych. Do słuchania i finansowania stacji zachęcali: Adam Bodnar, Agnieszka Holland, Jan Tomasz Gross czy Kazik Staszewski. Halo Radio chwali się wsparciem m.in. byłych kapłanów: Tadeusza Bartosia i Stanisława Obirka, a także dziennikarza Tomasza Sekielskiego, aktorki Aleksandry Popławskiej, wokalistki Patrycji Markowskiej.

Swoje audycje dostały tam znane na lewicy postacie, takie jak: publicysta Roman Kurkiewicz, liderka Strajku Kobiet Marta Lempart, Tomasz Piątek, autor serii książek, w których doszukuje się tajemniczych związków polityków rządzącej partii z putinowską Rosją i jej służbami, czy aktywista LGBT Bart Staszewski.

„Nie gramy do niczyjej bramki. Nie indoktrynujemy, nie lobbujemy” – zapewnia Halo Radio, ale wystarczy w rozgłosie się wsłuchać, by nabrać przekonania, że w audycjach nie brakuje ostrych sądów, które najbardziej zadowolą słuchaczy co najmniej niechętnych prawej stronie polityczno-światopoglądowego sporu. Na antenie Halo Radia Jerzy Nasierowski, aktor, pisarz w PRL skazany na więzienie za włamanie i współudział, wraz z kochankiem, w morderstwie, analizował niechęć polityków prawicy do środowiska LGBT. – Ci, którzy najbardziej szczują na gejów, są podszyci gejem – stawia tezę i rzuca nazwiskami prawicowych polityków.

Kiedy prof. Jan Hartman nie wziął na poważnie zakazu zapraszania polityków i zaplanował audycję z udziałem Radosława Sikorskiego, ten nie został wypuszczony do studia. Wątlę zadzwonił do audycji, tłumacząc, że Sikorski jest „zwykłą polityczną kanalią”. – Podobnie jak kanale z PiS, czyli ze zorganizowanej grupy przestępczej, która rządzi krajem – dywagował. Z powo-

du dzwonienia do audycji i zgłaszania na antenie uwag dziennikarze porównywali go do dyrektora Radia Maryja.

Dyskwalifikujący w ocenie dziennikarzy stacji stał się nawet wniosek o ułaskawienie, bo skierowany do prezydenta Andrzeja Dudy. Po tym, jak aktywista miejski Jan Śpiewak został ułaskawiony przez Dudę, kierownictwo stacji wezwało go na „wyjaśniającą” audycję. Doszło do kłótni na antenie, a Śpiewak zrezygnował ze współpracy.

ANTYKOŚCIELNA CIĘŻARÓWKA

Jednym ze znaków rozpoznawczych stacji jest kampania skierowana przeciw Kościołowi. Na początku listopada stacja w ramach akcji „Ile kosztuje nas Kościół katolicki?” wypuściła na ulice polskich miast ciężarówkę. „Roczny koszt Kościoła 20 mld zł. W cenie: poniżanie kobiet, szczerzenie na LGBT, gwałcenie dzieci, Ordo Iuris u władzy, (p)oddani politycy” – czytamy na jej plandecie. Stacja jednak na niej nie wyjaśnia, że do tych 20 mld zł wliczyła dobrowolne datki wiernych składane na tace, darowizny na cele kultu, a nawet fundusze na rzecz Caritas, która udziela pomocy potrzebującym zarówno wierzącym, jak i niewierzącym.

Roman Mańka, dziennikarz śledczy, autor książek, swój program w Halo Radiu prowadzi od sierpnia. Jego obecność w stacji może dziwić, bo jeszcze trzy lata temu był częstym gościem TVP. – Rzeczywiście nie jestem reprezentatywny dla rozgłosu, bo mam poglądy centroprawicowe, ale propozycję poprowadzenia audycji przyjąłem, bo kocham być dziennikarzem, lubię mówić, a w Halo Radiu zapewniono mnie, że będę miał wolność w prowadzeniu programu, i na razie nikt w to, co mówię na antenie, nie ingerował.

Przyznaje, że w Halo Radiu widać zaangażowanie po lewej stronie polityczno-światopoglądowego sporu. – Będę na to zwracał uwagę i dalej prezentował własny światopogląd. Nie neguję np. patologii w Kościele, ale chcę też w swoich audycjach mówić o tym, co dobrego robi Kościół. Nie jestem zwolennikiem zamykania się na myślących inaczej. Trzeba myśleć krytycznie. Przez długi czas przyjmowałem zaproszenia TVP do szacunku dla widzów, którzy mają prawo do wysłuchania zróżnicowanych opinii.

Dziennikarze, którzy w ostatnich tygodniach odeszli z Halo Radia, zarzucają Wątlęmu także brak przejrzystości w finansach, obniżki honorariów,

o których dowiadują się z Facebooka. – Nawet w najgorszych korporacjach nie negocjowało się w ten sposób spraw płacowych – mówił w pożegnalnej audycji Szumlewicz.

Pojawiły się też oskarżenia o to, że Wąty nazywał ludzi myślących inaczej „biomasą”, słuchaczy o innym poglądzie „promilem”, a na powstające konkurencyjne radio internetowe Nowy Świat wypuszczał napastliwe dżingle, z czego dziennikarze musieli się tłumaczyć słuchaczom.

Tego, kto śledził publiczną działalność twórcy Halo Radia, ostra, a nawet niecenzuralna krytyka tych, z którymi się nie zgadza, nie powinna dziwić. Wąty rozpoznawalność zdobył głównie dzięki obelgom, które ciskał pod adresem oponentów, kiedy jeszcze prowadził własny program w Superstacji.

Jego konto na Twitterze od hejtu aż kipi. Kinga Duda to według niego „córka niemowły i klęko-podpisywacza”. Zdjęcie Magdaleny Ogórek opatrzył komentarzem „#Wypierdalaj sprzedajna gnido”. „Parszywy skurwielu w randze Führera IV Rzeszy Polskiej” – to według Wątego Jarosław Kaczyński.

– Zakładałam, że dziennikarze Halo Radia musieli znać styl działania i poglądy twórcy tego medialnego projektu. Jeśli on im nie odpowiadał, to nie powinni byli angażować się w to medium. Nie wchodzi się w przestrzeń radiową, internetową czy telewizyjną, która nam nie odpowiada – zaznacza prof. Jacek Dąbała, medioznawca, audytor jakości mediów.

Roman Mańka podkreśla, że wulgarne go języka w debacie publicznej nie akceptuje. – Owszem zapaliła mi się czerwona lampka, kiedy usłyszałam o zarzutach tak wielu osób z zespołu, i będę się przyglądała temu, co się dzieje w stacji, ale to, że dziennikarze odeszli masowo, w sposób zorganizowany i od razu do innego medialnego projektu, jak gdyby na z góry upatrzone pozycje, podważa wiarygodność ich gestu i budzi moje wątpliwości co do ich rzeczywistych intencji. Widzę, że próbują teraz przejąć widzów, słuchaczy, podobnie jak Halo Radio korzystać z crowdfundingu – zaznacza.

ODBIJANIE PIŁECKI

Do dyrektora Wątego skierowaliśmy kilka pytań, ale do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie otrzymaliśmy

odpowiedzi. Wraz z redaktorem naczelnym stacji Mariuszem Rokosem na zarzuty byłych współpracowników odpowiadał w oświadczeniu przesłanym serwisowi wirtualnemedial.pl. Oskarżenia o cenzurę odpierają, wskazując, że m.in. usuwali komentarze, które określają jako hejt. Byłym redakcyjnym kolegom zarzucają łamanie zasad etyki dziennikarskiej – „przede wszystkim zasada obiektywizmu, która mówi, że autor ma przedstawiać rzeczywistość niezależnie od swoich poglądów”.

– O obiektywizmie medialnym mówimy wówczas, kiedy medium zachowuje największą możliwą bezstronność w programach informacyjnych i publicystycznych, dając odbiorcy szansę na to, by sam wyrobił sobie opinię. Wiele projektów medialnych wybiera jednak ścieżkę klientystyczną. Decyduje się na mocno stronnicy przekaz, przez co przyciąga konkretnego odbiorcę. Nazywam to dziennikarstwem obozowym. Takie projekty mamy zarówno po stronie lewicowo-liberalnej, jak i konserwatywno-prawicowej. Mają prawo działać, jeśli znajdują się odbiorcy chcący je finansować. Tylko po co twórcy takich mediów aspirują do bycia obiektywnymi? – pyta prof. Dąbała. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Najpiękniejsze książki na prezenty świąteczne!

20% rabatu na zielonasowa.pl

Kod rabatowy obowiązuje do 10 grudnia 2020 roku lub do wyczerpania zapasów.

kod rabatowy: DORZECZY



Piotr Gociek

„Król” według Twardocha – ładnie nakręcona gangsterska fantazja historyczna z mało oryginalnym przesłaniem: „Wszystko ch..”

Dwa najważniejsze momenty pierwszego odcinka serialu „Król”: „Polityka wszędzie jest taka sama”. Tak żona głównego bohatera przestrzega przed optymizmem wyjeżdżającą do Ameryki matkę. „U Hitlera nie jest taka sama. A tutaj przecież wszystko idzie w tę stronę” – odpowiada matka. Aha. Czyli Polska A.D. 1937 to taka nieco mniej uformowana jeszcze III Rzesza. Przekaz wzmacnia jeszcze montażowe cięcie, bo po tych słowach przechodzimy od razu do zbliżenia logo Ruchu Narodowo-Radykalnego Falanga (białe ramie z mieczykiem na zielonym polu).

Drugi moment: Jakub Szapiro (Michał Żurawski), główny bohater serialu na podstawie powieści Szczepana Twardocha, jedzie samochodem z kamratami-gangsterami. Na pytanie, czy wierzy w Boga, odpowiada: „Boga nie ma. My jesteśmy”. Towarzystwo wraca właśnie z mokrej roboty. Trzeba było dać nauczkę staremu Żydowi, który na czas nie oddał pożyczonych pieniędzy.

Odpowiedź na tezę pierwszą jest oczywista: nie, Polska roku 1939 nie była ani III Rzeszą, ani przedsionkiem III Rzeszy, ani nawet przedsionkiem przedsionka III Rzeszy. A pretensje żywione do mniejszości żydowskiej przez hałaśliwą radykalną mniejszość nijk się miały do zorganizowanego państwowego antysemityzmu mocarstwa Hitlera, antysemityzmu, którego skutkiem stał się Holokaust. Co do drugiej niby-filozoficznej wymiany zdań (przy czym zauważmy, że jest to filozofia na poziomie najmniej bystrych członków Komsomołu czy ZSMP), to aż zapragnąłem, by w tym momencie na ekranie obok innych drugoplanowych żydowskich postaci pojawił się ów stary z „Ziemi obiecanej”, który zamiast wołać: „Chciałbym, żeby moja Łódź była piękna, żeby ona rosła!”, tłumaczyłby autorowi i bohaterom: „Panie Twardoch, ja pana bardzo proszę, pan pamięta:



jak Żyd porzuca Boga i sam chce lepszy świat budować, to się kończy jak w Rosji u bolszewików”.

SEKS, PRZEMOC I POLITYKA

Boga nie ma, jest straszliwy Lewiatan wielkiej historii, który wkrótce wszystkich pożre (zobaczycie nawet jego ekranową manifestację). Chwył zgrany, acz popularny – umieścić akcję przed wielką dziejową katastrofą, połowę roboty mając wtedy z głowy: nie trzeba specjalnie pracować nad wymyśleniem dla swych bohaterów losów tragicznych, skoro wielka tragedia na horyzoncie. I zaraz się ziści w formie światowej wojny albo wielkiej rewolucji. Chwył nadużywany haniebnie, zwłaszcza przez tzw. melodramaty z epoki, gdzie aby uzasadnić zwykłe rozdzielanie chłopaka od dziewczyny, trzeba od razu wywołać wojnę na skalę globalną, nie zapominając o tklivej scenie pożegnania, koniecznej na dworcowym peronie.

Tyle że trzeba od razu powiedzieć: Twardochowi (w podwójnej roli, bo serial powstał na podstawie jego powieści, ale i on sam napisał scenariusz) o żadne

poważne rozważania na temat historii czy Boga nie chodzi. Jego powieść była atrakcyjnym czytałem pełnym seksu, przemocy i polityki przedstawionej jak syf brudzący wszystkich oraz doprawionym kawałkami, które mają zasygnalizować postępowemu czytelnikowi, że Twardoch swój, że wyszydza rozmaite bożki wstrętnych Polaków-katolików i Polaków-patriotów.

Jakoś mnie to nie rusza – przyznam – bo widzę w tym rozmyślną, nieledwie dziecięcą prowokację: ot, tu się rzuci jakiś dialog sztygający z przekonania, że prawdziwa rodzina to mama i tata, a gdzie indziej wykpiwa dumę z polskiej historii. Ja naprawdę Twardocha trochę rozumiem, on już teraz inaczej nie może, po swoim wielkim nawróceniu sprzed lat na strawę tygodnika „Polityka” i poklask „Wyborczej” musi wszystko inkrustować podobnymi mądrościami, żeby publika biła brawo. I jak to często bywa, neofita gorliwym musi być i szczerze namiętnym w swej nowej roli – poczytającie publicystykę Cezarego Michalskiego z czasów, gdy obwołano go najlepszym młodym publicystą konserwatywnym



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w Polsce, i porównajcie z dzisiejszymi wykwitami na łamach „Newsweeka”.

Pal sześć wybór Twardocha, jego sprawa, pisał zresztą o tej przemianie niedawno na naszych łamach Krzysztof Masłoń. Warto jednak zauważyć, że przekaz „Króla” zbieżny jest z manifestowanym publicznie przez pisarza hasłem „je...ć Polskę”, tyle że należy je poszerzyć: „je...ć wszystko”. W „Królu” jest bowiem olbrzymia dawka starego sprawdzonego panświnizmu i mógłby spokojnie Twardoch trawestować linijkę z Gogola, nadając jej kształt: „Jeden tu tylko jest porządny człowiek: Jakub Szapiro; ale i ten, prawdę mówiąc, świnia”.

W „Królu” bowiem mało kto budzi sympatię. Główny bohater doznaje jakiegoś przebudzenia, ale mówiąc wprost – to cyngiel, narzędzie, przed torturami i morderstwem się nie cofnie. Jego szef, Jan Kaplica „Kum” (świetna rola Arkadiusza Jakubika), to niby-socjalista, ale tak naprawdę pijak, hipokryta i bandzior, który rozpina parasol ochronny nad rozmaitymi podejrzanymi osobnikami, w tym nad Januszem Radziwiłkiem (Borys Szyc) rozkochanym w krzywdzie-

niu ludzi i marzącym o wielkim handlu kokainą. Sanacyjni politycy to świnie, polscy narodowcy – bestie i zaciekli antysemici. A sami Żydzi? Cóż, też za pięknie nie wyglądają – religijna biedota albo gangsterzy.

Wszystko to, wbrew pozorom, wcale nie służy do odtworzenia prawdziwego obrazu Polski międzywojennej (nie twierdę, że był to raj), lecz jest zabawą czysto popkulturową, której celem jest wartka akcja osadzona w polskich realiach, ale skonstruowana wedle klisz z importu. Naoglądał się Twardoch „Dawno temu w Ameryce” Sergia Leone i „Gangów Nowego Jorku” oraz „Chłopców z ferajny” Martina Scorsese, poczytał non-fiction „Twardzi Żydzi. Ojcowie, synowie, sny o gangsterach” Richa Cohena o żydowskiej mafii w Ameryce. Podpatrzył „Kabaret” Boba Fosse’a i powieści kryminalne, których akcja toczy się u schyłku Republiki Weimarskiej (pamięta ktoś książki Philipa Kerra?) oraz w III Rzeszy po dojściu Hitlera do władzy i zrobił z tego danie polskie, polski fast food. Może czytał po niemiecku powieści Volkera Kutschera, które potem zainspirowały serial „Babylon Berlin”? Tyle że trzeba uważać, jakiej konwencji się używa, bo pożera ona treść. A Warszawa u schyłku II RP to jednak – powtórzę – nie Berlin. Nawet gdyby taka była, to i tak wyprzedziłyby Twardocha diagnozą Kazik Staszewski w piosence „1932 – Berlin” z pierwszej płyty Kultu (1987), śpiewając: „Bo Berlin trzydziestych lat taki jest jak cały świat”.

Co do samego serialu – ogląda się go nieźle, realizacyjnie widzimy poziom, jaki powinien być dobrą polską średnią, a nie produktem premium Canal+. Mówię to nie po to, by umniejszać wysiłki reżysera Jana P. Matuszyńskiego, lecz by uzmysłwić, jaką jesteśmy serialową prowincją. Obsada – palce lizać i wszyscy dają radę, paradoksalnie najmniej ciekawy, najbardziej bez wyrazu na tle mocnych postaci z drugiego planu wydaje się na razie sam Jakub Szapiro. To się jednak zmieni, wiedzą o tym czytelnicy powieści Twardocha. Dla tych, którzy książki nie czytali – „Król” pokazuje stolicę Polski rozrywaną konfliktem między żydowskimi socjalistami a antysemickimi nacjonalistami, co ogniskować się ma

wokół bokserkiego pojedynku Szapiry z młodym narodowcem (gangster-cyngiel jest niezłym pięściarzem walczącym dla Żydowskiego Towarzystwa Gimnastyczno-Sportowego „Makabi”). Uliczne burdy niby-polityczne są zasłoną dla ciemnych interesów, gangsterzy trzęsą Warszawą i mają na swych usługach nie tylko policję, lecz także najwyższe osoby w państwie.

POLSKI „WATCHMEN”

W 1985 r. na łamach pisma „Film” ukazał się tekst „Jajo żółwia”. Była to recenzja filmu Jacka Koprowicza „Medium”, który wchodził wtedy na polskie ekrany. Tytuł zgryźliwego tekstu Andrzeja Kołodyńskiego był aluzją do filmu „Jajo węża”, wcześniejszego o lat osiem dzieła Ingmara Bergmana. „Medium” było polskim horrorem okultystycznym, którego akcja rozgrywała się w rządowym przez Niemców Wolnym Mieście Gdańsku. A jakością do Bergmana (i tak filmu niezbyt dobrego) miał się dokładnie tak, jak podpowiada to porównanie tytułów: „Jajo węża” kontra „Jajo żółwia”.

Twardoch i Matuszyński dużo bardziej biegli są warsztatowo od Koprowicza, a ich serial można traktować do pewnego stopnia jako polską wersję serialu „Watchmen” HBO. „Watchmen” to niby-fantazja o superbohaterach, a tak

naprawdę wielkie oskarżenie pod adresem Ameryki o zorganizowany rasizm.

„Król” też jest fantazją, komiksową fantazją historyczną. Fantazją sugestywną, bo mocno zakorzenioną w researchu, jeśli chodzi o detale i postacie, które Twardocha inspirowały, ale przy przejściu na poziom metafory, fantazją pustą i fałszywą. Będzie więc bez wątplenia cieszył się dużą

popularnością. W Niemczech, gdzie ceni się wszystkich, którzy pomagają malować odpowiednio czarny obraz narodów przez Hitlera najechnych, „Król” ukazał się jako „Bokser”. Podpowiadam tytuł, pod którym można by tam wyświetlać serial na książce oparty: „Polskie matki, polscy ojcowie”. W końcu na ekranie polscy Żydzi krzywdzą innych polskich Żydów, bo kazał im tak polski pan.





FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Samotne miejsce



Jedną z sił napędowych projektu była Nicole Kidman, która króluje na ekranie do tego stopnia, że można się zastanawiać, czy przypadkiem ciągle nie napominała operatorów, żeby ją częściej pokazywali: oto, jak cierpię, oto, jak ładnie mi w rozmaitych kostiumkach, oto, jak świetnie wyglądam na siłowni. Hugh Grant, który niedawno w „Dżentelmenach” Guya Ritchiego błysnął formą i kreacją zupełnie sprzeczną ze swoim ekranowym wizerunkiem amanta, w „Od nowa” wygląda jak parodia samego siebie sprzed lat.

Nie warto się nabierać na zgrabne zwiastuny i głośne nazwiska, mamy do czynienia z czymś nieco tylko lepszym od popularnych harlequinów. Wszystko tu jest do bólu konwencjonalne: groźny, acz w gruncie rzeczy sympatyczny policjant (w tej roli Édgar Ramírez), odpowiednio patriarchalnie wyglądający Donald Sutherland jako ojciec głównej bohaterki. „Wielkie kłamstewko” tej samej stacji też nie były arcydziełem, ale w kategorii obyczajowego fast foodu w wersji glamour sprawdzały się o niebo lepiej. ©©



★★★★★
REŻ. SUSANNE BIER
„OD NOWA”
(„THE UNDOING”)
USA 2020

wyst. Nicole Kidman,
Hugh Grant,
Matilda De Angelis

Z cyklu: kłopoty pierwszego świata. Zamożna para z Manhattanu jawi się wszystkim jako związek idealny: mąż – lekarz, żona – wzięta psychoterapeutka, do tego utalentowany dzieciak. Wszystko runie w gruzy, gdy mąż zniknie, a świeżo poznana znajoma zostanie zamordowana. W dodatku policja zacznie nachodzić nieszczęśliwą heroinę – znaczy żonę, znaczy psychoterapeutkę – podejrzewając, że kryje ona męża podejrzanego o morderstwo.

„Od nowa” to ekranizacja powieści Jean Hanff Korelitz wydanej w Polsce kilka lat temu pt. „Nie chciałeś wiedzieć”. Książki pani Korelitz to literacka konfek-

cja, podobnie jak ekranizowane w ostatnich latach przez HBO inne bestsellery z gatunku „wzruszające thrillery”: „Wielkie kłamstewko” czy „Ostre przedmioty”. (Innymi przykładami tego podgatunku były kinowa „Dziewczyna z pociągu” czy serial Hulu „Małe ogniska”). Miniserial reżyserowany przez Susanne Bier („W lepszym świecie”, „Nie otwieraj oczu”) głęboko rozczarowuje. Zagadka kryminalna jest prościuteńka, rozstawienie figur na szachownicy oczywiste. A to, co najciekawsze, czyli samotność w wielkim mieście, drapieżność świata współczesnej socjety, manhattańskie targowisko próżności – wszystko to pozostaje niewyeks-ploatowane.



NOWE SERIALE: „POSZUKIWACZE PRAWDY”

Komediowy horror o instalatorze Internetu, który podróżuje do domów klientów wykorzystując, by tropić zjawiska nadprzyrodzone. Swoje odkrycia (wątki) opisuje na kanale YouTube „Truth Seekers”. Sprawy przyspieszają, gdy dostaje nowego partnera, wręcz przyciągającego pozagrobowe kłopoty. „Pogromcy duchów”

krzyżują się w tym serialu z brytyjskimi opowieściami grozy, ale całości brakuje tempa, choć aktorzy starają się, jak mogą. Niezły jest Malcolm McDowell na drugim planie. W pewnym momencie pojawia się też Kelly Macdonald. ©© **Piotr Gociek**

• Sezon 1 „Poszukiwacze prawdy” („Truth Seekers”), Wielka Brytania 2020

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 4 „The Crown”; Wielka Brytania/USA 2020

• sezon 1 „Ziemia niczyja” („No Man’s Land”), Francja/Izrael 2020

• reż. Bela Bagota „Valan – Dolina Aniołów”; Węgry 2019

CINEMAX

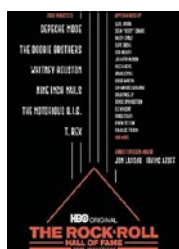
A w sercu ciągle maj

Z dobrze zorientowanych kręgów dochodzą wieści, że rock'n'roll jest martwy. No i co z tego? Na denatach można czasem zarobić więcej niż na żywych. Mit wiecznie młodych muzycznych rebeliantów eksploatują muzeum Rock and Roll Hall of Fame w Cleveland i związana z nią fundacja, która od 34 lat wskazuje wykonawców, jej zdaniem, zasługujących na nieśmiertelność. Tegoroczną galę z przyczyn oczywistych odwołano, statuetki dostarczono pocztą, zaś laudacje i mowy dziękczynne wygłoszone zostały on-line. Czy tak samo będzie z najbliższym rozdaniem Oscarów? Ponad dwugodzinny film poświęcony dokonaniom wyróżnionych gwiazd ogląda się dobrze,

szyld jednak wprowadza w błąd. Mniej chodzi tu o rocka (co miała z nim wspólnego Whitney Houston?), bardziej o sławę, a najbardziej o podbijanie bębena amerykańskiemu show-biznesowi. Nagrodzono też panów, którzy nie umieją grać ani śpiewać: jeden był menedżerem The Eagles, drugi producentem płyt

Bruce'a Springsteena. Ładnym gestem jest przypomnienie zmarłych ostatnio rockmanów – lista jest przerażająco długa. Z żywych legend najbardziej żwawo zachowuje się Ringo Starr, a najmądrzej gada (jak zwykle) Iggy Pop. Wyluzowani, choć nadgryzieni zębem czasu panowie z Depeche Mode przyznają: „Muzyka nas uratowała”. Może i tym razem uratuje nas wszystkich? © ©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. JOEL GALLÉN
„ROCK AND ROLL HALL OF FAME – CEREMONIA 2020” („ROCK & ROLL HALL OF FAME 2020 INDUCTIONS”)
USA 2020



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FATALNE ZAURÓCZENIA

MOJEKINO.PL



★★★★★
REŻ. DOMINIC MOLL
„TYLKO ZWIERZĘTA NIE BŁĄDZĄ” („SEULES LES BÊTES”)
FRANCJA/NIEMCY 2019, AURORA FILMS

wyst. Denis Ménochet, Valéria Bruni Tedeschi, Guy Roger 'Bibisse N'drin

Łamigłówka o poranku. Na górskiej szosie stoi otwarty samochód. Jego właścicielka zniknęła jak kamfora. Ślady zasypał śnieg, świadków brak, zapowiada się długie i żmudne śledztwo. Co ma z tym wspólnego młodzien z Abidżanu, który postanowił zbić fortunę na „odbieraniu długu kolonialnego”, czyli oszukiwaniu naiwnych białasów? Jak się okaże – sporo. Z filmów o zaginionych kobietach i dziewczętach można by już ułożyć niezgorszą antologię. Ekranizacja powieści Colina Niela wyróżnia się narracją rodem z „Rashomona” (pięć różnych perspektyw tworzy całość) tudzież filozoficznym zadzięciem, charakterystycznym dla autorów francuskojęzycznych. Od czasów de Laclosa i de Musseta wiadomo, że nie igrasza się z miłością. Trudniej zaakceptować tezę o daremności wszelkich ludzkich starań. Jeśli o życiu i śmierci decyduje ślepy traf, to nie ma sensu wstawać z łóżka. Zwłaszcza jeśli się pracuje on-line.

TATO, PRZEGIĄŁEŚ!



★★★★★
REŻ. ŁUKASZ GRZEGORZEK
„CÓRKA TRENERA”
POLSKA 2018
wyst. Karolina Bruchnicka,

Jacek Braciak, Bartłomiej Kowalski

Głosy piętnujące rodziców potworów, zmuszających pociechy do morderczej harówki w imię przyszłych zwycięstw, sławy i pieniędzy, zniknęły z naszych mediów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy karierę na światowych kortach zaczęły robić Agnieszka Radwańska tudzież Iga Świątek. Reżyser Łukasz Grzegorek miał mniej talentu, a może ojca zbyt litościwego, jednak dziecięcy wysiłek nie poszedł całkiem na marne. Wspomnienia przekuł na zadziwiająco zgrabną opowieść o trenerze, który razem z 17-letnią córką objeżdża krajowe turnieje tenisowe. Przełał na nią własne niespełnione ambicje, licząc na to, że sportowa kariera Wiktorii łada moment odpali. Faktycznie, przełom następuje, lecz zgoła inny, niż się cholewiczny Maciej spodziewał. Wychodzi na to, że oprócz śmierci i podatków życiowym pewnikiem jest również bunt młodzieży. Jacek Braciak zagrał popisową partię, ale nawet on tego meczu wygrać nie mógł. © ©

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED: VALHALLA”

Aż nie chce mi się wierzyć, kiedy uświadomię sobie, że „Valhalla” to 12. odsłona serii „Assassin's Creed”, która przez ten czas zabiera nas w podróż rozpoczynającą się w ogarniętej wojną z muzułmanami Ziemi Świętej, a kończącą na starożytnym Egipcie i Grecji.

Tym razem programiści z Ubisoft postanowili rzucić nas w do tej pory nieodwiedzany świat wikingów, rozpoczynających swoje rajdy ze Skandynawii na Wyspy Brytyjskie. Co nowego? Lepsza grafika, rozbudowany system rozwoju osady, tworzenie zespołu grabiącego oko-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

liczne prowincje, zawieranie sojuszy oraz jeszcze bardziej dynamiczna walka. © ©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG/TTP
- **Platforma:** PC/PS4/PSS/XONE/XXS
- **Producent, dystrybutor:** Ubisoft
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

MOJA PÓŁKA

Tyrmand: pytania i odpowiedzi

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Reporterską, ale i bardzo literacką biografię Leopolda Tyrmand'a napisał Marcel Woźniak. Literacką nie tylko dlatego, że bohater tej książki we wrześniu 1939 r. w Warszawie – jak czytamy – „idzie, skacząc po murach”. Przede wszystkim dlatego, że autor na blisko 500 stronach zmagają się z literaturą w obronie teje. I w obronie samego Tyrmand'a, po którego stronie staje niemal zawsze i wszędzie, mając do tego święte prawo. Jak czytelnik ma prawo, niekiedy, jego sądy kwestionować.

Na przykład zdecydowanie różni mnie z autorem podejście do sławnego w 1956 r., pomieszczonego w tygodniku „Świat”, artykułu Tyrmand'a „Sprawa Piaseckiego”, bezprzykładnego, iście pałkarzkiego ataku na przywódcę PAX, wypominającego mu przedwojenną Falangę, antysemityzm i związki z sowieckimi służbami specjalnymi, przemilczającego za to Konfederację Narodu i walkę z okupantami Polski czy zasługi PAX i samego Piaseckiego w ratowaniu wielu osób ze środowiska AK-owskiego przed ubeckimi represjami. Gdy na początku następnego roku porwany został i zamordowany syn Bolesława Piaseckiego – Bohdan, Tyrmand'a wzywano do złożenia wyjaśnień jako jednego z potencjalnie podejrzanych, co oczywiście było wierutną bzdurą. Niemniej cała sprawa nie została definitywnie wyjaśniona po dziś dzień, tyle że autor „Tyrmand'a. Pisarza o białych oczach”, biograf wytrawny, a przy tym człowiek odważny, co udowodnił i w biografii twórcy „Złego”, i w swej nowej, reporterskiej książce, nie powinien powtarzać kocopołów o tym, jak to inteligentnego Alstera w MSW zastąpił „brutalny żołdak” Szlachcic. To właśnie „niepospolicie inteligentny” Alster zrobił wszystko, co mógł i jeszcze więcej, by sprawcy mordu na Piaseckim juniorze nie ponieśli odpowiedzialności. A arty-



Marcel Woźniak FOT. PIOTR HALTÓF

kuł w „Świecie” pozostanie plamą na życiorysie Tyrmand'a, niezależnie od tego, że to z Piaseckiego uczyniono w minionych latach wroga publicznego numer jeden, a nie z tych wszystkich, którym się ten niesławny tytuł należy. Tyle że oni na pewno antysemitami nie byli.

Najważniejsza jest jednak postawa, prawda, że młodziutkiego Tyrmand'a w okupowanym przez Sowieców Wilnie. Jak wiadomo, w „Prawdzie Komsomolskiej” Tyrmand pracował od lipca 1940 do kwietnia 1942 r. Opublikował w tym piśmie 142 felietony opatrzone winiętą „Na kanwie dnia”. W tym taki, na przykład, komentujący przejście Wilna na czas moskiewski: „Meta-morfoza zasadnicza nie kończy się ani nie zaczyna od przedstawienia zegarków. Musimy przedstawić całe życie, musimy podjąć wskazówki produkcji oświaty, kultury, warunków bytu do wskazówek Zegara Kremlowskiego. Bierzymy to wszystko pogodni, lecz stanowczo. Dzisiaj w nocy zmieniliśmy ustawienie zegarów, nawiązaliśmy jeszcze jedną nitkę, nitkę drobną i cieniutką, ze społeczeństwem ZSRR. Ale w momencie, gdyśmy tego dokonali, przyrzekliśmy sobie, że nitkę tę będziemy pogrubiać, aż utworzy się z niej gruby, potężny sznur, wiążący nas ze Związkiem Sowieckim, sznur, którego nic nie potrafi zerwać”. Trzeba przyznać, że w pewnej mierze 20-letni wtedy

autor okazał się prorokiem. Na „grubym, potężnym sznurze” wisieć miały odtąd i Polska, i Litwa. Na szczęście sznur został w końcu zerwany.

Po wyjeździe z Polski w kraju nie szczędzono mu razów. Marcel Woźniak zamieszcza w swej książce taką oto „perełkę” humoru, która wyszła spod pióra, a jakże, Antoniego Marianowicza, spowinowaconego z samym Antonim Słonimskim, wieloletniego prezesa ZAiKS:

*Tak się mizdrzył, pindrzył, spleenił.
Epatował i wydziwiał,
Aż z kretesem się wyświłnił,
Gdy nareszcie z kraju wywiał.*

*Dziś go widać w całej krasie –
Niepotrzebny żaden retusz,
Pogodziły się sprzeczności,
Bowiem „łez ekskrement se tusz”*

*Na tym zbić chce kapitalik
Więc pogratulujmy z góry
Aktywności Lolusiowi,
Kontraheantom zaś – Kultury.*

Marcel Woźniak rzuca światło na, zdawałoby się, wyjaśnione już kwestie odnoszące się do pisarstwa autora „Filipa”. Także do autentyczności kanonicznej rzekomo wersji „Dziennika 1954”, którą – jak się okazuje – sprokurował Henryk Dasko, niekoniecznie zgodnie z autentycznym.

Jeden z najbliższych Tyrmandowi pisarzy polskich, Sławomir Mrożek, niecałe dwa tygodnie po jego śmierci, 1 kwietnia 1985 r., zapisał w dzienniku: „Nikt tak nie śni sobie chłopięco przed zaśnięciem jak Lolo. Z taką mocą, większą niż ktokolwiek z nas, już dorosłych. Lolo – silna mieszkanka realizmu i mistyfikacji. To nie jest ocena ujemna. Tylko zagadka. Na czytelnika działa fascynująco”. Ta fascynacja wciąż jest żywa. A Sejm Rzeczypospolitej ogłosił bieżący rok – 2020 – Rokiem Leopolda Tyrmand'a. ©



★★★★★
**MARCEL
WOŹNIAK**
**„TYRMAND.
PISARZ O BIAŁYCH
OCZACH”**
**MARGINESY,
WARSZAWA 2020**



POCZYTANKI

Czasy dzikie

PIOTR GOCIEK

Brałem kilka miesięcy temu udział w TVP Kultura w telewizyjnej dyskusji o polskiej literaturze czasu transformacji. „Najlepiej komentowali tamte lata nie pisarze, ale twórcy piosenek” – powiedziałem, przypominając sobie Mułkę Staszczuka, Pawła Kukiza, Kazika Staszewskiego i paru innych. Tematu nie zgłębiłmy, bo program się skończył, ale niewielka szkoda, bo mnóstwo na ten temat przeczytać możecie w książce Rafała Księżyka.

„Dzika rzecz”, opatrzona celnym podtytułem „Polska muzyka i transformacja”, opisuje erupcję artystycznej wolności po roku 1989 (powiedzmy szczerze, część tej erupcji dokonała się nieco wcześniej). Wolny rynek zaapanował nie tylko w sklepach i na ulicznych straganach, lecz także w świecie popkultury. Jedni korzystali z tego, podbijając gładkimi przebojami playlisty powstających szybko prywatnych stacji radiowych, inni mogli wreszcie wykrzykiwać to, co im na sercu leży bez milicyjnego bata nad głową i bez rządowych metod kanalizacji nastrojów w stylu festiwalu w Jarocinie.

Co ciekawe, niewiele jest w tej książce o punku czy metalu, których przedstawiciele przechodzili wtedy podobną ewolucję co „oficjalne” zespoły rockowe. To znaczy: albo szybko przystosowywali się do trzaskania

pieniędzy, albo zastygali w sprawdzonych formach dla zaciekle fanów, którzy chcieli tylko więcej tego samego. Księżyk zwraca uwagę na tych, którzy próbowali czegoś więcej, opisuje trójmiejską scenę muzyczną, wraca do Wrocławia, twierdzy polskiej alternatywy. Wskrzesza legendę warszawskich klubów, takich jak Fugazi. Przypomina performerów z grupy Kinsky, polskich twórców grunge’u z InCrowd (graliśmy ich kawałki w Radiu WaWa w czasach, gdy hasłem stacji był classic rock). Przygląda się powstawaniu i recepcji pierwszych hiphopowych albumów Kazika. Wspomina niesamowitą atmosferę koncertów Houk.

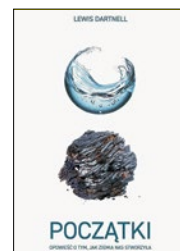
Część tych historii trwa do dziś, bohaterowie ewoluowali, okrzepili, zdomowali się w masowej wyobraźni. Częściej są to pożegnania z tymi, którzy zaistnieli na krótko, teraz są zapomniani, wielu już nie żyje. Niezwykłe były to czasy. Wyglup, brawura i czasem absurdalne poszukiwania z jednej strony, a z drugiej diagnozy społeczne o wiele cenniejsze od rozmaitych oficjalnych wystąpień politycznych i prasowych, w których jedynie chwalono nową lepszą przyszłość. Niesamowite czasy. Cieszę się, że byłem ich świadkiem. I częściej z nimi tęsknię, żyjąc w erze, kiedy każdy buntownik zaczyna od profilu na Instagramie. © ©



★★★★★
RAFAŁ KSIĘŻYK
„DZIKA RZECZ. 1989-1993”
CZARNE 2020

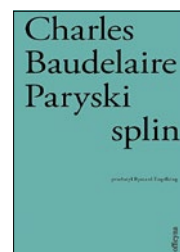
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Modnie dziś dyskutować o wpływie ludzi na planetę. Dartnell woli o tym, jaki wpływ planeta miała na nas: dlaczego cywilizacje powstawały tam, gdzie powstawały, jak ukształtowały nas geografia, zasoby naturalne, flora i fauna.



LEWIS DARTNELL
„POCZĄTKI”
ZYSK I S-KA

Pięćdziesiąt słynnych „poematów prozą”, jedno z najsłynniejszych dzieł Baudelaire’a, uzupełnione 10 wierszami z „Kwiatów zła” oraz obszernym komentarzem i przypisami autorstwa Ryszarda Engelkinga.



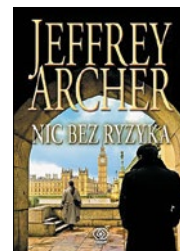
CHARLES BAUDELAIRE
„PARYSKI SPLIN”
OFFICyna

Autor znany z „Historii Do Rzeczy” przygląda się temu, jak choroby i epidemie wpływały na dzieje cywilizacji od antyku do COVID-19. Dostrzega też wpływ straszliwych chorób ludzkiej duszy: zbrodniczych ideologii.



MACIEJ ROSALAK
„WIELKIE ZARAZY LUDZKOŚCI”
FRONDA

Autor brytyjskich bestsellerów otwiera tę powieścią nową serię. Jej bohaterem jest policjant William Warwick. A pierwszą trudną próbą nowego nabytku Scotland Yardu jest sprawa kradzieży obrazu Rembrandta. © ©



JEFFREY ARCHER
„NIC BEZ RYZYKA”
REBIS

poleca Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: „BRADL”

Zachwalałem kiedyś pierwszy tom tej serii, dziś z żalem odnotowuję jej zakończenie, ale z radością mogę powtórzyć, że nadal trzyma poziom. „Bradl” to dobry komiks łączący wartką przygodę z popularyzacją historii, rzecz osnuta na okupacyjnych przygodach Kazimierza Leskiego, legendy polskiej konspiracji, żołnierza walczącego z Sowietami, Niemcami,



MAREK OLEKSICKI, TOBIASZ PIĄTKOWSKI
„BRADL, TOM 5”
EGMONT 2020

powstańca warszawskiego, po wojnie ściganego przez UB. Ten cykl komiksowy to gotowy scenariusz dobrego telewizyjnego serialu. Dlaczego nikt tego dotąd nie dostrzegł – nie mam pojęcia. © ©

poleca Piotr Gociek



Zdmuchnięty kurz

FOT. W. SUTCHOKI

Kiedy w październiku 1980 r. Renata Lewandowska wyjeżdżała na Zachód, miała zamiar wrócić do PRL, by nagrać solowy album. W kraju najpierw zauważył ją kompozytor Juliusz Lorańc i zaprosił do prowadzonego przez siebie zespołu Quorum. Wystąpiła z nim na festiwalu w Opolu

i nagrała epkę. Po rozwiązaniu grupy rozpoczęła występy solowe, dalej współpracując z Lorańcem, który na potrzeby jej występów założył grupę AND. Lewandowska zdobywała coraz większe uznanie, zaczęła ocierać się o największe nazwiska polskiej sceny. Rok przed wyjazdem z PRL

zaproponowano jej nagranie solowej płyty długogrającej, ukazał się singiel będący jej zapowiedzią. Jednak po opuszczeniu kraju Lewandowska nigdy do profesjonalnego śpiewania już nie wróciła. Ponoć pisała z RFN do Lorańca, dopytując o terminy rezerwacji studia, ale odpowiedzi się nie doczekała. Wyleciała za ocean. W Stanach zmieniła nazwisko, zajęła się wyuczonym fachem (jest absolwentką Wydziału Architektury Wnętrz ASP w Warszawie).

I tak ta historia mogłaby się skończyć, gdyby w 2015 r. 14-letni wówczas Krystian Zieliński nie zobaczył występu Lewandowskiej w TVP Kultura. Zaczął szukać nagrań wokalistki i jej samej. Udało mu się nawiązać z nią kontakt, odnaleźć część nagrań, opublikować w Internecie. Po jakimś czasie trafili na nie przedstawiciele dwóch wytwórni – The Very Polish Cut Outs oraz Astigmatic

Records – i niezależnie od siebie podjęli starania, by wydać płytę Lewandowskiej. W końcu doszło do połączenia sił obu wytwórni oraz Agencji Muzycznej Polskiego Radia, której efektem było odnalezienie w radiowych archiwach nagrań z lat 70., które niedawno wypuszczono na winylu (nakład już wyczerpany, ale „Dotyk” trafił też do streamingu). Na dziewięć piosenek osiem to nowości, które nigdy wcześniej się nie ukazały. Po nagraniu ich w latach 1974–1978 kurzyły się w archiwach. „Potrzeba było aż 40 lat w czyścicu, by ta muzyka mogła się ukazać” – czytamy na facebookowym fanpage'u 72-letniej dziś Renaty Lewandowskiej. Wokalistki nieprzeciętnej, porównywanej do Janis Joplin czy Arethy Franklin, która miała wszystko, by pisać historię polskiej muzyki. Chyba tylko oprócz szczęścia, które znalazło ją tak późno. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Z zaścianka ku niebu

Trzeci album najlepszego obecnie rodzimego combo jazzowego oczarowuje muzyczną witalnością.

Wrocławski sekstet po nowatorskim odczytaniu twórczości Komedii, dźwiękowej interpretacji ducha Prasłowian, tym razem zdekonstruował kompozycje Sun Ra. Legendarny, amerykański jazzman tylko raz, w 1986 r., nawiedził ze swoją Arkestrą nasz kraj. Po 33 latach od tego wydarzenia ukazał się album z zapisem koncertu. EABS z okazji premiery przygotował specjalny koncert i tak zasmakował w kosmicznych wizjach Sun Ra (twierdził on, że przybył z Saturna), że stworzył wyjątkową płytę.

Geniusz muzyków pod wodzą Marka Pędziwiatra polega na tym, że w swej dekonstrukcji orygina-

łów nie trzymali się nut, tylko idei leżącej u podstaw twórczości Ra. Amerykanin nie uznawał artystycznych granic, nagrywał muzykę od free jazzu do disco, tworzył z myślą o przyszłości. Wrocławianie z wyobraźnią, ale i precyzją w grze podeszli do materiału. Utwory mają wewnętrzną dyscyplinę, a zarazem są opowiedziane współczesnym językiem, który jest otwarty na hip-hop czy house. Dzięki temu bez wchodzenia w kompromisy nagrali muzykę, która jest atrakcyjna dla młodych słuchaczy.

EABS jest jednym z nielicznych polskich zespołów jazzowych, który kroczy drogą wyznaczaną przez brytyjski nu-jazz czy Kamasiego Washingtona, a nie powiela przebrzmiałych brzmień zachodniemieckiej wytwórni ECM. ©©



★★★★★
EABS
„DISCIPLINE
OF SUN RA”
ASTIGMATIC



★★★★★
HENRYK DEBICH
ORKIESTRA PRITV
W ŁODZI
„CITY 1978”
GAD

W PRL ośrodki telewizyjne utrzymywały orkiestry. Łódzka miała smyczki, rockową sekcję i syntezator. Debich uwielbiał funkowo-dyskotekowe klimaty, a że aranżery byli godni, to płyta jest znakomita. Warto ją odkryć, szczególnie że nagrania przeleżały w szufladach 42 lata.



★★★★★
JOACHIM MENCIL
„BROOKLYN EYE”
ORIGIN

Pianista zrealizował swe marzenie, nagrywając w Nowym Jorku, z tamtejszymi muzykami, album inspirowany Ameryką. Niewątpliwą atrakcją płyty są utwory, w których Mencil gra na lirze korbowej. Jej brzmienie wyraźnie ożywia utwory, które mają stonowany charakter. ©©



Scena Prapremier InVitro, „Margules. Nieobecność”, reżyseria: Łukasz Witt-Michałowski, reżyseria scen meksykańskich: Dana Stella Aguilar, scenariusz: Łukasz Witt-Michałowski na podstawie dramatu Artura Pałygi „Margules. Nieobecność” i książki Rodolfa Obregóna „Ludwik Margules. Wspomnienia”, premiera: 13 października 2020 r., Centrum Kultury w Lublinie FOT. MACIEJ RUKASZ

Powrót Ludwika Margulesa



Grzegorz Kondrasiuk

„Margules. Nieobecność” to ekscentryczna premiera lubelskiej Sceny InVitro, łącząca inscenizację eseju o naturze teatru i aktorstwa z biograficznym filmem dokumentalnym

sposobu pracy, do Jarockiego bądź Grzegorzewskiego). Witt-Michałowski, zafascynowany Margulesem, podróżuje jego śladami, rejestrując wspomnienia pracujących z nim aktorów. W końcu realizuje spektakl poświęcony artyście. Pojawiają się w nim filmy, zderzone z eseistycznym reportażem (napisanym przez dramaturga Artura Pałygę, innego uczestnika tej meksykańskiej podróży) i ze słowami reżysera, zapisanymi przez Rodolfa Obregóna. Spektakl wizualnie wysmakowany i zarazem dający do myślenia. Nie da się ukryć, że jego

główną osią jest rola Jarosława Tomicy, aktora charyzmatycznego. Jego Margules to stary już reżyser, którego epoka odchodzi w przeszłość. Mierzy się z przeszłością, przywołuje wspomnienia, wypowiada swoje najważniejsze przekonania, oparte na bezwzględnej wierze w sztukę teatru. Aktorzy – tuż przed premierą – zamknęli go w garderobie, zmęczeni jego wiecznym niedosytem, chęcią poprawiania spektaklu w nieskończoność (ponoć autentyczna anegdota). Wymachując fajką, wypowiada manifesty artystyczne, słowa uwiarygodniające padające

z filmów wyznania wielkich meksykańskich aktorów. Głębia i przenikliwość namysłu Margulesa zostały tu przenieśnione, a w dodatku unaocznione pokazem właśnie tak precyzyjnego aktorstwa, do jakiego się zdawał dążyć. Słuchając tych słów, można się przekonać, za co aktorzy – bezwzględnie przecież traktowani – kochali go i traktowali jak najważniejszego człowieka na swojej drodze. „Najbardziej haniebną rzeczą w teatrze – jak sądzę – jest bezpośredniość. To uczucie rozmazania się postaci, kiedy aktor jest powierzchowny i nie udało mu się przekroczyć samego siebie”. „Żądam od aktora, nawet najmłodszego, mądrości. Mądrości kastowego zwierzęcia, które znakomicie wie, jak się zachowywać na scenie, a co za tym idzie – żądam jego instynktu i intuicji”. „Chcę, żeby aktor mógł się rozbić na kawałki, rozbić na kawałki swą racjonalną strukturę, dotrzeć do swojej intymności, ostatniego jej zakątka – i jednocześnie wszystko to trzymać w ryzach. Intuicja, której szukam, musi mieć strukturę”. „Nie interesuje mnie współpraca z wrażliwymi idiotami, ale z ludźmi zorganizowanymi, z wielkimi znawcami swojej kultury zawodowej”.

Brzmi anachronicznie, a nawet zahacza o kryminał? Tak, bo zbyt zafiksowaliśmy się na aktualności i nie chcemy wejść głębiej. Nie byłem w Meksyku, nie oglądałem spektakli Margulesa. Jednak, niestety – przywołując i parafrazując znane frazy Miłosza – nie czytać i nie chceć zrozumieć wysokich modernistów jest dziś obowiązkiem. Mają się smażyć w piekle, oskarżeni o pychę, nadużycia wobec bliskich i współpracowników, oskarżeni bez prawa do obrony. „Aż ta formacja, co ich znała / Stanie się już niezrozumiała / I jaka była w nich trucizna / Najlepszy spec się już nie wyzna”. ©

Podobno dobra sztuka to taka, która trafia w swój czas. Podobno głównym obowiązkiem artysty jest wymierzanie sprawiedliwości istniejącemu światu. Był to jeden z wielu pomysłów na „robienie sztuki”, ale dziś przeobraził się on w dogmat. Wydawał się dotyczyć każdej sztuki, stając się obiektywnym prawem dopóty, dopóki świat nie zrobił wyznawcom aktualności psikusa. Gdy rzeczywistość przyspiesza i wchodzi w ostry wir, dzieła nadzwyczaj aktualne odsłaniają swą bełkotliwość, fałszywe diagnozy i pustkę intelektualną, a zaczyna w pełni smakować i znaczyć sztuka niewycelowana w dziś czy niepewne jutro. A już najciekawsze stają się książki czy premiery, którym los przydzielił moment powstania zupełnie opacznie – które w swój czas nie trafiły tak bardzo, jak tylko było można.

Tego rodzaju myśli kłębiły się w mej głowie po obejrzeniu spektaklu „Margules. Nieobecność”, ekscentrycznej premiery lubelskiej Sceny InVitro, łączącej inscenizację eseju o naturze teatru i aktorstwa z biograficznym filmem dokumentalnym. Szczęściarzowi Łukaszowi Witt-Michałowskiemu, pomysłodawcy całego przedsięwzięcia (a zarazem reżyserowi spektaklu), przydarzył się fascynujący temat – wraz z fascynującą osobą. Wiele lat temu z teatralnej podróży do Meksyku przywiózł on odkrycie – postać Ludwika Margulesa, kompletnie w Polsce zapomnianego, meksykańskiego guru teatralnego. Z pochodzenia polski Żyd, Ludwik Coben, jako nastolatek po wojnie opuścił Europę i w ciągu półwiecza (umarł w 2006 r.) osiągnął pozycję jednego z ojców powojennej sceny meksykańskiej, postaci na miarę Grotowskiego czy Kantora (choć bliżej mu chyba byłoby, z racji poglądów czy



Kościół Redemptorystów na warszawskiej Woli sprofanowany podczas protestów przeciw wyrokowi TK w sprawie aborcji. Po lewej widoczna tablica pamiątkowa ku czci pomordowanych zakonników FOT. MAREK JUREK

Podczas protestów po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji doszło do profanacji kościołów w Polsce. Naczelny rabin Polski Michael Schudrich napisał w tej sprawie list do prymasa Polski. Prezentujemy list rabina oraz odpowiedź na ten list przygotowaną przez Marka Jurka

List Michaela Schudricha, naczelnego rabina Polski, do prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka

Szanowny Księżu Prymasie,
jestem głęboko zaniepokojony wypisywaniem na kilku kościołach graffiti oraz zakłócaniem nabożeństw, do czego doszło w ostatnim czasie. Tak, jak należy szanować prawo ludzi do wyrażania swoich poglądów i protestowania,

w równym stopniu szanować należy świątynie.

Jestem także głęboko zaniepokojony przez domniemanie, że wszyscy uczestnicy protestów uczestniczyli w takich działaniach. To niesprawiedliwe wobec wszystkich, którzy pokojowo wyrażali

swój uprawniony, stanowczy sprzeciw wobec decyzji Trybunału Konstytucyjnego, ograniczającej prawo do aborcji.

Jako duchowni winniśmy się starać jednoczyć ludzi. Winniśmy starać się czuć ból kobiet i mężczyzn protestujących przeciwko błędnej, ich zdaniem,

decyzji Trybunału. Duchowni, nawet ci, którzy się z tym zdaniem nie zgadzają, winni znaleźć sposób wczucia się w tych, którzy teraz protestują, skierować do nich swą miłość, jak naucza nas tego Biblia. Niezależnie od wyznania lub jego braku, wszyscy jesteśmy dziećmi

Boga i wspólnie odpowiadamy za nasz kraj. Dla wzajemnego zrozumienia i szacunku nie ma alternatywy. Jest naszą biblijną moralną odpowiedzialnością, by zjednoczyć znów nasz kraj, szanując i kochając także tych, z którymi się nie zgadzamy.

Wspólnie spróbujmy iść śladami Aarona *ohew szalom we-rodef szalom*, „miłującego pokój i podążającego za nim” (Pirke Awot 1:12). Czasem nie wystarczy jedynie miłować pokój; czasem trzeba za nim biec. Teraz jest taki czas i takie jest nasze wspólne zadanie.

List Marka Jurka do rabina Michaela Schudricha

Szanowny Panie Rabinie!

Pana list do księdza prymasa miał charakter publiczny, więc pozwalam sobie odnieść się do jego treści jako faktu publicznego. Tym bardziej że sprawy w nim poruszone dotyczą nie tylko relacji między duchowieństwem żydowskim i katolickim, lecz także naszych relacji społecznych i życia narodowego w ogóle.

Nikt nie przypisuje udziału w zakłócaniu modlitwy i dewastacji świątyni wszystkim uczestnikom antykonstytucyjnych zgromadzeń, ale problemem jest powszechne w ich kręgu usprawiedliwianie takich działań. W debacie publicznej pojawiła się w związku z tym osobliwa kategoria „rozumienia emocji”. Tymczasem stare dobre przysłowie mówi, że lepiej wszystkiego nie rozumieć, by potem wszystkiego nie usprawiedliwiać. Nienawiść antykatolicka musi być potępiona jako taka, w samym swoim nastawieniu, i tego przede wszystkim należy od całej opinii publicznej oczekiwać. Tym bardziej jeśli przybiera formy tak szokujące jak wzywający do gwałtu na księżach napis na kościele św. Klemensa w Warszawie, którego wszyscy zakonni księża i bracia zostali w 1944 r. wymordowani przez nazistów.

Rzecz druga – treść tych protestów. Formalnie kierują się przeciw niedawnemu wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego. Faktycznie negują jego orzeczenie jeszcze z 28 maja 1997 r., w którym Trybunał stwierdził, że ochrona życia ludzkiego od poczęcia jest niezbywalnym obowiązkiem demokratycznego państwa

prawa. Tamto orzeczenie redagowali i przyjmowali prawnicy często bardzo krytyczni wobec obecnej władzy. Nic dziwnego, że organizatorzy „protestów” do niego w ogóle się nie odnoszą, bo w świetle tamtego orzeczenia antykonstytucyjny i dyskryminacyjny charakter ich działań nie może budzić żadnych wątpliwości. Trudno więc takie „protesty” uznać za „uprawnione”. Zresztą, czy masowe zgromadzenia w czasie pandemii – choćby ze względów bezpieczeństwa zdrowotnego – mogą w ogóle mieć charakter „pokojowy”?

Oczywiście wiem, że w kwestii tzw. aborcji istnieje różnica między stanowiskiem katolickim a żydowskim. Pozwolę więc sobie wyjaśnić przesłanki, dla których obronę prawa do życia nienarodzonych (i również jego miejsca w porządku konstytucyjnym Rzeczypospolitej) uważamy za absolutny imperatyw moralny. Wiem, że zasadniczą przesłanką w judaizmie, aby traktować dziecko poczęte jako człowieka nie w pełni ukształtowanego, przez to niekorzystającego z całości praw (choć jednocześnie podlegającego szerokiej ochronie), są sytuacje opisane w Wj 21,22. Biorąc pod uwagę, że ten fragment Księgi Wyjścia stawia w poniekąd analogicznej sytuacji niewolników, uznajemy, w świetle Nowego Prawa, w które wierzymy jako chrześcijanie, tzw. aborcję za wymagającą zdecydowanego sprzeciwu – tak jak niewolnictwo. Kiedyś żyliśmy w społeczeństwie niewolniczym, teraz zaczynamy żyć w aborcyjnym, ale akceptować tego nie można. To tytułem wyjaśnienia

naszego stanowiska w kwestii, która przecież i w judaizmie jest bardzo ważna.

We wzajemnych relacjach chodzi o rzecz inną, o wzajemne zrozumienie stanowisk wynikających z wiary i przekonania o świętości Biblii. Kiedy w sposób bardzo niegodny zaatakowano zasady uboju rytualnego, wystąpiłem publicznie w obronie nie tylko jego legalności, lecz także jego godności, jego biblijnych podstaw.

My, katolicy, którzy zajęliśmy takie stanowisko, chcemy mieć nadzieję na podobne podejście do zasad, których bronimy. Oczywiście nie w tym sensie, by przyjmować nasze stanowisko ze względu na dobre wzajemne relacje, ale aby rozpatrywać i zachowywać szacunek dla jego racji.

Obawiam się natomiast, Panie Rabinie, że gdyby organizatorom tych manifestacji mówił Pan, że Bóg nie na wszystko się zgadza, że człowiekowi nie wszystko wolno, szczególnie wobec oczekującego na urodzenie się dziecka, usłyszałby Pan od nich ten sam okrzyk, który dziś bez przerwy kierowany jest do tych, którzy bronią prawa do życia i świętości naszych kościołów. Dzisiaj powinniśmy się zjednoczyć nie w „rozumieniu uczuć” stojących za ulicznymi awanturami, ale w oporze przeciw ich nie tylko fizycznej, lecz także moralnej i werbalnej brutalności.

Proszę przyjąć, Panie Rabinie, wyrazy mego szacunku i najlepsze życzenia Błogosławieństwa Bożego dla Pana i Pańskiej Wspólnoty

Marek Jurek

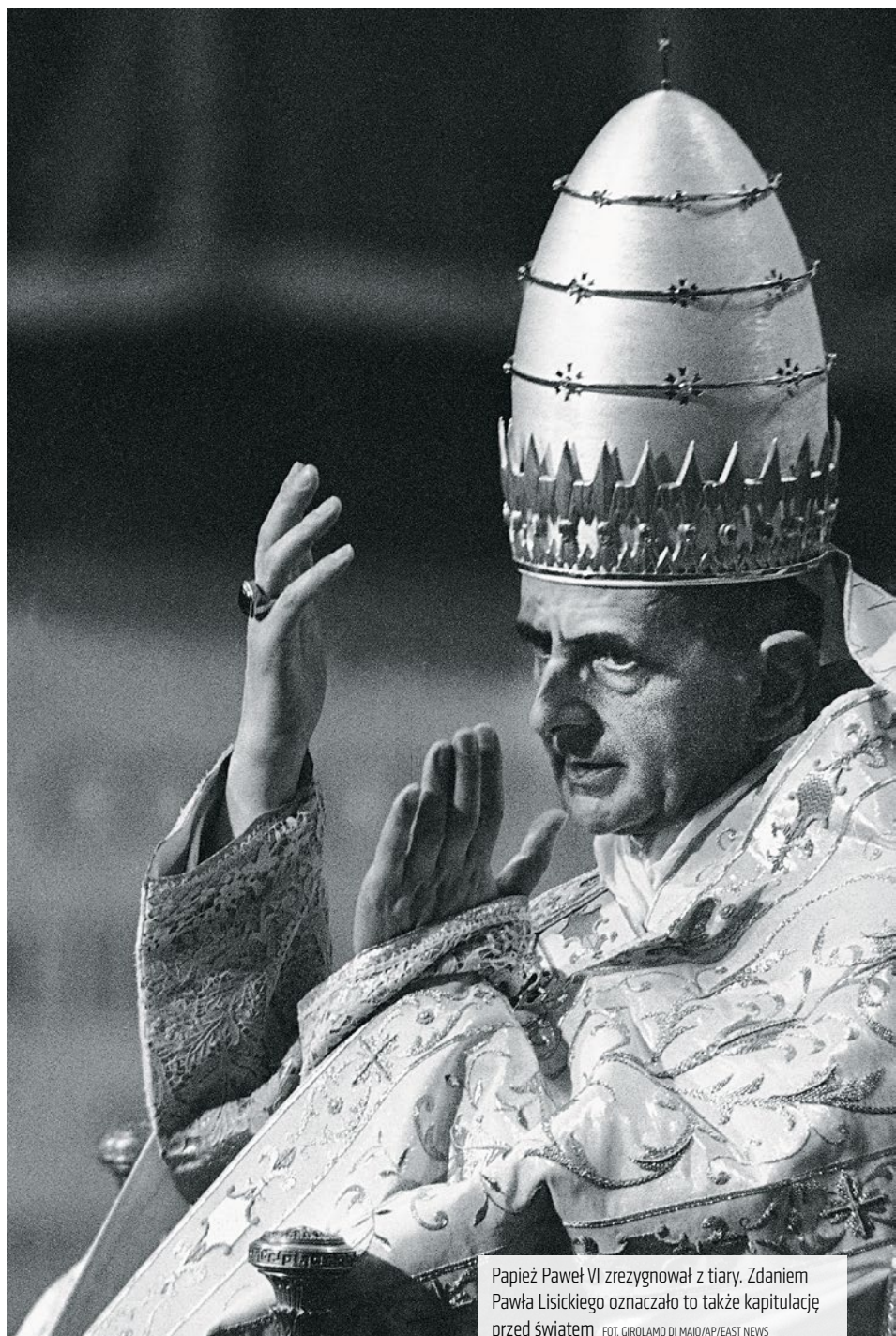


Anna Mandrela

Paweł Lisicki w książce „Dogmat i tiara” nie zatrzymuje się tylko na skutkach przemian w Kościele rzymskokatolickim, lecz także z wielką wnikliwością sięga do ich korzeni

W chwili, gdy w wielu polskich miastach protestująca młodzież atakuje kościoły i zakłady nabożeństwa, zasiadłam do pisania recenzji książki Pawła Lisickiego „Dogmat i tiara”. Równocześnie słucham wiadomości i rozmawiam z osobami, które postanowiły stanąć w obronie swoich świątyń. Polacy są zaskoczeni. Coraz częściej pytają: „Dokąd zmierza Kościół? Jakie są przyczyny kryzysu wiary?”. Niektórzy zaczęli zadawać te pytania w związku z kontrowersyjnym synodem amazońskim, którego główną bohaterką stała się pogańska bogini Pachamama. Dla innych momentem przełomowym było wprowadzenie w Polsce przyjmowania Komunii na rękę. Jeszcze inni byli zszokowani ostatnią encykliką papieża Franciszka „Fratelli tutti”, która została pochwalona przez hiszpańską lożę masonską.

W Polsce najwięcej pytań i wątpliwości pojawiło się po 25 października, kiedy doszło do profanacji, aktów wandalizmu, szydzenia z wiary i księży. Tych ataków nie dokonali sataniści, ale młodzi ludzie, którzy kilka lat temu przyjęli sakrament bierzmowania, a wielu z nich jeszcze niedawno było członkami oazy lub ministrantami. Dzisiaj ci sami ludzie z czerwonymi błyskawicami wymalowanymi na twarzy i z przekleństwami na kartonowych transparentach rzucają jajkami w mury świątyń, w których jeszcze niedawno przystępowali do sakramentów. Dorośli katolicy w większości siedzą biernie przed telewizorami i pytają zszokowani: „Gdzie jest to słynne pokolenie JP2?”, „Co się stało z katolicką Polską?”. Zadziwia ich również obojętność księży i niejasne wypowiedzi niektórych duchownych. Nie dostrzegają, że obecny kryzys wiary jest efektem wieloletnich zmian, które na Zachodzie



Papież Paweł VI zrezygnował z tiary. Zdaniem Pawła Lisickiego oznaczało to także kapitulację przed światem FOT. GIROLAMO DI MAJO/AP/EAST NEWS

Pozycja na czas kryzysu wiary

były bardziej gwałtowne, a w Polsce przybrały formę powolnego gotowania żaby. Polscy katolicy zauważyli, że coś jest nie tak dopiero, gdy ten gotujący się od lat kocioł wybuchł z całą siłą i agresją przed budynkami kościołów.

ZAPIS SZOKUJĄCYCH FAKTÓW

Z pewnością książka Lisickiego ukazała się w idealnym momencie, gdy 50 lat po wprowadzeniu nowego rytu mszy świętej coraz więcej katolików zastanawia się nad owocami posoborowych zmian. Autor kontynuuje tematykę swojej poprzedniej powieści. Jednak „Epoka antychrysta” to literacka fikcja, a „Dogmat i tiara” jest zapisem faktów – nieraz szokujących i niewygodnych. Lisicki wbrew poprawności politycznej kieruje się zasadą Józefa Mackiewicza, że „tylko prawda jest ciekawa”. Redaktor naczelny „Do Rzeczy” nie zatrzymuje się tylko na skutkach przemian w Kościele rzymskokatolickim, które dziś obserwujemy, ale z wielką wnikliwością sięga do ich korzeni, analizując społeczne, filozoficzne, teologiczne i polityczne przyczyny obecnego kryzysu. Z dużą dawką poczucia humoru i charakterystycznej ironii, ale również z rzetelnością i wyraźną troską o losy Mistycznego Ciała Chrystusa autor łączy ze sobą kolejne elementy układanki. Dla przeciętnego polskiego czytelnika te wiadomości będą przerażające, niezbrane, ale dające do myślenia i prowadzące do zadawania kolejnych pytań.

Zdaniem Lisickiego nie ma co dłużej ukrywać, że Kościół jest w stanie głębokiego kryzysu. We wstępie dziennikarz zauważa, że gdy pojawiły się informacje o pandemii koronawirusa, „wierni opuścili kościoły szybciej niż kibice stadiony piłkarskie”. Następnie niczym dobry detektyw autor zgłębia przyczyny obecnego stanu rzeczy, odkrywając, że to nie tylko wierni odeszli od wiary, lecz także ich pasterze. „Kiedy Rzym przestał chcieć być Rzymem?” – pyta Lisicki. To pytanie musi sobie zadać każdy, kto chce zrozumieć obecną sytuację na świecie. Dlatego warto, aby po „Dogmat i tiarę” sięgnęli wszyscy, którzy zadają sobie pytania o rolę Kościoła we współczesnym świecie.

Książka jest podzielona na pięć części: „Pole bitwy”, „Przed burzą”, „Zamach”, „Zatrute owoce” i „W stronę nowego Kościoła”. Wydarzenia są opisywane chronologicznie, od początku

XX w., poprzez Sobór Watykański II, aż do czasów współczesnych. Autor nie trzyma się jednak ściśle tej chronologii, przeszłość jest nieustannie konfrontowana z przyszłością, pojawiają się dygresje, niektóre postacie i zagadnienia pozostają z nami od początku do końca.

W pierwszej części książki przyglądamy się dwóm filarom, na których do tej pory zbudowany był Kościół – dogmatowi i autorytetowi. Dobrze, że tiara pojawiła się w tytule książki, dziś bowiem większość młodych ludzi nie wie, czym była, jaka była jej symbolika i dlaczego obecnie papież jej nie nosi. Koronacja tiarą oznaczała, że papież był najwyższym władcą na ziemi, zastępcą Chrystusa, wyższym i potężniejszym od władzy świeckiej. Paweł VI zrezygnował z koronacji tiarą i od tej pory papieże używają mitry, która jest znacznie słabszym symbolem. Lisicki interpretuje tę zmianę jako kapitulację papieża przed światem i rezygnację z władzy. Mogłoby się здаwać, że rezygnacja z tiary to tylko zmiana w wyglądzie papieża, dziś jednak widzimy jej konsekwencje dla całego świata. Papież nie jest dziś widziany i nie zachowuje się jako zastępca Chrystusa i najwyższy zwierzchnik, który może pouczać władzę świecką. Jest jednym z wielu przywódców religijnych, sam często stawiając się na równi z przywódcami innych religii. Kogo zatem ma słuchać świecka władza? Skąd ma czerpać autorytet w kwestiach moralnych? Odrzucenie tiary jest kluczem do zrozumienia wielu dzisiejszych konfliktów, również jeśli chodzi o kwestię aborcji.

NOWA TEOLOGIA

Druga część „Przed burzą” zdaje się być kluczowa dla zrozumienia idei, które pojawiły się w Kościele, zanim jeszcze papież odrzucił tiarę. Zamiast precyzyjnej filozofii tomistycznej teologowie nagle zaczęli używać myśli trudnej do zinterpretowania i opartej na emocjach. Nurt ten został określony jako modernizm, a papież Pius X nazwał go „ściekiem wszystkich herezji”. Poglądy kontynuatorów modernistów zostały określone mianem nowej teologii. Tym, co charakterystyczne dla tego nowego nurtu, jest zmiana koncepcji prawdy, która nie jest już niezmienna i niezależna od człowieka. Według modernistów prawda wciąż ewoluje, a zatem ewoluować będą również dogmaty i cały Kościół.

Lisicki nie bez powodu sporo miejsca poświęca postaci Teilharda de Chardin. Myśl tego francuskiego jezuita to swoiste połączenie marksizmu z katolicyzmem. Był cytowany przez kard. Ratzingera, a zarazem jest jedynym katolickim pisarzem, któremu postawiono gablotę w Muzeum Ateizmu w Moskwie. Tym, co charakterystyczne dla myśli Teilharda, jest panteizm ewolucyjny – świat staje się boski, Bóg jest obecny wszędzie, a zatem budynek kościoła z czasem przestaje być potrzebny. Jezuita wyraża ten pogląd m.in. w tekście „Msza na ołtarzu świata”. Na transparencie jednego z uczestników ostatnich protestów pojawił się napis: „Zamknijcie Kościoły, otwórzcie restaurację. Bóg jest wszędzie, a dobre jedzenie nie”. Zapewne ten młody człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, że nieświadomie wyraził konsekwencje panteistycznej myśli Teilharda de Chardin.

W połowie XX w. niewiele osób zdawało sobie sprawę z tego, do czego może doprowadzić nowa teologia. Na zagrożenia, które wiążą się z tą myślą, wskazywał wybitny tomista Reginald Garrigou-Lagrange. Co ciekawe, po Soborze Watykańskim II dzieła tego uznanego dominikanina zostały niemal całkowicie zapomniane, za to rewolucyjne teksty Teilharda de Chardin były wydawane w dużych nakładach i cytowane nawet przez papieża.

PRZEŁOMOWY MOMENT

W trzeciej części zatytułowanej „Zamach” poznajemy historię starcia dwóch różnych wizji Kościoła. Przełomowym momentem była śmierć Piusa XII i wybór na papieża Jana XXIII, który 25 stycznia 1959 r. ogłosił zwołanie soboru. Pomimo licznych postulatów na soborze zabrakło dokumentu o potępieniu komunizmu. Uczestnicy soboru zostali podzieleni na dwie grupy – zachowawczą i postępową. Komuniści wspierali reformatorów, stąd pojawia się pytanie o możliwość infiltracji Kościoła rzymskokatolickiego przez jego wrogów. Lisicki podaje przykład Belli Dodd, byłej działaczki Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, która po nawróceniu na katolicyzm zeznała, że komuniści w latach 30. wprowadzali swoich agentów do seminariów, aby ci po otrzymaniu święceń awansowali na wpływowe stanowiska jako prałaci i biskupi, osłabiając tym samym Kościół od środka. Lisicki podchodzi do tego zagadnienia rozważnie, nie poświęca

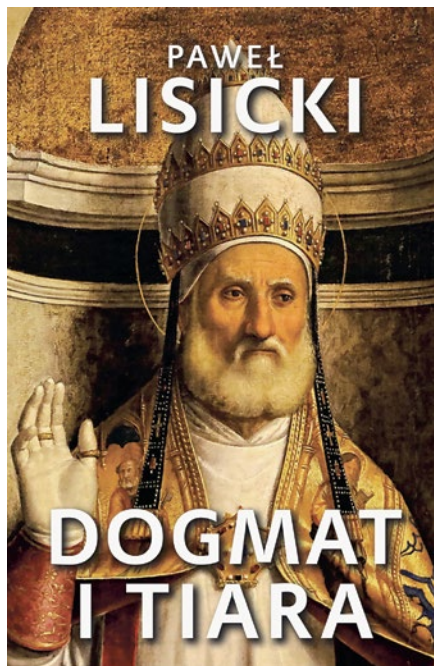
mu zbyt wiele miejsca i nie szuka taniej sensacji. Skupia się na konkretnych wydarzeniach z życia Kościoła. Jest to słuszny wybór, gdyż w ten sposób nikt nie zarzuci mu braku rzetelności. Przedstawione w książce fakty same w sobie budzą sensację i zdumienie. Do takich z pewnością należy zawarta we wstępie książki informacja o wsparciu finansowym, którego Watykan udzielił włoskim transseksualnym prostytutkom, które z powodu pandemii nie mogły wykonywać swojej pracy.

Jednym z głównych bohaterów książki jest kard. Joseph Ratzinger. Tej postaci są poświęcone niemal cały czwarty rozdział i duża część rozdziału piątego. Zdaniem Lisickiego papież emeryt to postać zagadkowa, a zarazem kluczowa do zrozumienia zmian we współczesnym Kościele. Przeciętny Polak uważa Benedykta XVI za tradycjonalistę w odróżnieniu od postępowego Franciszka. Benedykt VI jest znany jako ten, który za sprawą motu proprio miał przywrócić wiernym mszę w tradycyjnym rycie. Ten ryt mszy teoretycznie nigdy nie był przez Kościół zakazany, jednak w praktyce wielu księży diecezjalnych do dziś ma problemy, aby uzyskać pozwolenie na jej sprawowanie. Lisicki nie poświęca tej kwestii zbyt wiele miejsca, ale skupia się na opisanu przeszłości kard. Ratzingera, który należał do grupy lewicowych teologów i był jednym z orędowników radykalnych zmian w Kościele.

Jako papież Benedykt XVI był orędownikiem tzw. hermeneutyki ciągłości. Według tego poglądu dokumenty Soboru Watykańskiego II nie są wyrazem zerwania z tradycyjną nauką Kościoła. Z tej perspektywy problemem miałyby być jedynie interpretacje tekstów soborowych utrzymana w duchu liberalnym i postępowym. Lisicki zauważa, że w tej kwestii Benedykt XVI był niezwykle konsekwentny i przez całe życie wyrażał swoje poparcie dla soboru. Autor „Dogmatu i tiary” zauważa również, że teorii hermeneutyki ciągłości nie można utrzymać, nie popadając w sprzeczność. Zmiana w nauczaniu papieża, która dokonała się po Soborze Watykańskim II, jest zbyt widoczna, a kontrowersje wywołują same teksty soboru.

BEZ NAWRACANIA

W kontekście postaci Josepha Ratzingera pojawia się ciekawy wątek stosunku Kościoła rzymskokatolickiego



do innych wyznań, a zwłaszcza do judaizmu. Możemy zauważyć, że po Soborze Watykańskim II Kościół nie mówi już o nawracaniu innowierców na katolicką wiarę, ale dialoguje i organizuje modlitwy z przedstawicielami innych religii, jak to miało miejsce w Asyżu. Jednym z najbardziej kontrowersyjnych tekstów, który wpłynął na taki stan rzeczy, była deklaracja soborowa „Nostra aetate”. Okazuje się, że jej autor, Gregory Baum, to kanadyjski teolog o żydowskich korzeniach i homoseksualista. Baum twierdził, że po Holokauście dążenie do nawracania żydów jest przejawem antysemityzmu. Papież pochodzący z Niemiec wziął sobie te słowa do serca i był chwalony przez przedstawicieli wspólnot żydowskich. Jednym z przykładów dbania o dobre stosunki Benedykta XVI z organizacjami żydowskimi było wstrzymanie procesu beatyfikacyjnego ks. Leona Dehona, któremu zarzucono antysemickie wypowiedzi.

Jeśli chodzi o relację katolików i żydów, Benedykt XVI szedł drogą wytyczoną przez Jana Pawła II, który w 1986 r. w rzymskiej synagodze mówił o głębokim poszanowaniu przekonania obu wyznań. „Pierwszy raz mowa jest nie o poszanowaniu ludzi, nawet błędnych, ale o poszanowaniu błędu – niewiary w Chrystusa” – zaznacza Lisicki. Autor nie kryjąc swoich osobi-

stych przekonań i oburzenia, stwierdza: „W relacjach z Żydami przywódca Kościoła są skłonni do każdej niedorzeczności. [...] Piszę o tym już któryś raz i zawsze odczuwam osobliwą mieszaninę wstydu, zażenowania i wściekłości”.

Dla osób, które czytały już książki o podobnej tematyce, „Dogmat i tiara” będzie doskonałym uzupełnieniem wiedzy. Tym bardziej że kilka wątków nie było do tej pory poruszonych w literaturze polskiej. Czytelnikowi, dla którego jest to nowy temat, niektóre fragmenty książki mogą wydawać się niezrozumiałe, ale z pewnością nie nudne. Sprawę ułatwia słownik terminów oraz bibliografia, które są dostępne na końcu książki. W celu wyszukania informacji o konkretnej postaci przydatny okazałby się również indeks nazwisk, którego niestety w tym wydaniu książki brakuje. Mam nadzieję, że „Dogmat i tiara” skłoni wiele osób do dalszych poszukiwań i sięgnięcia po książki o podobnej tematyce. 491 stron to za mało, aby opisać historię i zawiłości obecnego kryzysu Kościoła. Autor musiał siłą rzeczy dokonać wyboru pomiędzy wątkami, którym poświęcił więcej miejsca, a tymi, które jedynie zarysował. Bardzo dokładnie został przedstawiony temat dialogu Kościoła z innymi wyznaniem, zwłaszcza z judaizmem, postaci Józefa Ratzingera, konflikt postępowych i tradycyjnych teologów oraz Sobór Watykański II. Niedosyt natomiast mogą odczuć czytelnicy, którzy spodziewali się dowiedzieć czegoś więcej na temat zmian liturgii po soborze, postaci abp. Lefebvre’a i Bractwa św. Piusa X, innych grup tradycjonalistycznych, papieża Franciszka czy też kryzysu Kościoła w Polsce. Miejmy nadzieję, że Lisicki poruszy te tematy w kolejnych swoich książkach.

Z pewnością „Dogmat i tiara” nie jest łatwą lekturą, którą można przeczytać w jeden wieczór. To książka dla czytelników, którzy szukają rzetelnych informacji opartych na dokumentach źródłowych, a nie popularnych obecnie teorii spiskowych. Z pewnością jest to pozycja obowiązkowa na dzisiejsze czasy. Miejmy nadzieję, że „Dogmat i tiara” wybudzi naszych kremówekowych katolików z letargu i sprowokuje do myślenia, a przede wszystkim wzbudzi gorliwość w dążeniu do obrony katolickich prawd wiary.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

MECENAS

PARTNER STRATEGICZNY

PARTNERZY





Tony Halik i tsantsa – spreparowana przez Indian Jivaro ludzka głowa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tony'ego Halika gra pozorów



Z Marcinem Borchardtem, reżyserem i scenarzystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Tony Halik, bohater pańskiego filmu, cierpiał na mitomanię? Dlaczego tak ubarwiał – a może fałszował – swój życiorys?

MARCIN BORCHARDT: Jego życie było niezwykle intensywne. Dlatego myślę, że można go porównywać z Indianą Jonesem, Allenowskim Leonardem Zeligiem lub szalonym baronem Münchhausena. Z każdą z tych trzech postaci ma coś wspólnego. Z Jonesem łączy go zamiłowanie do przygody, podobnie jak Zelig potrafił błyskawicznie przystosować się do każdej sytuacji, do tego dochodzi wielka skłonność do facecji łgarskich w stylu Münchhausena. A mitomania? To zaburzenie psychiczne. Nie sądzę, żeby na nią cierpiał. Był urodzonym bajarzem, który – podobnie jak wielu z jego pokolenia – miał skłonność do opowiadania nie do końca prawdziwych historii, aby

jednocześnie zainteresować słuchaczy i skupić na sobie uwagę. Cóż, każdy kreuje siebie w ten czy inny sposób. Zupełnie inną sprawą jest to, że ukrywał zdarzenia, które uważał za wstydlive czy z różnych względów niewygodne.

Przyszedł na świat pod innymi personaliami? Był samoukiem?

Naprawdę nazywał się Mieczysław Sędzimir Antoni Halik. Urodził się w Toruniu 24 stycznia 1921 r. Jego postawę wobec świata określa zdanie, które często powtarzał: „Urodziłem się dla przygody”. Ukończył liceum w Płocku, ale zawodowo był samoukiem. Jako młody chłopak interesował się fotografią. Zachowane zdjęcia świadczą o tym, że miał dobre oko i lubił zabawne inscenizacje. Profesjonalne szlify filmowe zdobył

prawdopodobnie dopiero po wojnie, po wyjeździe do Argentyny. Wiedział, że każdy dobry obraz musi mieć bohatera, historię, strukturę dramaturgiczną i atrakcyjne kadry. Jego wczesne filmy, szczególnie z przełomu lat 50. i 60., nakręcone na kolorowej taśmie podczas panamerykańskiej podróży jeepem, są niesłychanie efektowne. Halik uwieczniał wówczas w obiektywie głównie dziką przyrodę – rośliny i zwierzęta – krajozabytki, spotykanych po drodze ludzi, siebie i najbliższych. Kreował się na bohatera zdarzeń. Najczęściej jednak stał za kamerą, a nie przed nią. Był perfekcjonistą. Nie bał się zaryzykować, żeby zrobić dobre ujęcie. Starał się w jak najatrakcyjniejszy sposób przedstawiać rzeczywistość, więc niejednokrotnie ją reżyserował. Nie był dokumentalistą par excellence. Mieszał fakty i fikcje, aby zaskoczyć i zaciekawić widza.

Walczył w kampanii wrześnieiowej? Kiedy i jak opuścił Polskę?

Utrzymywał, że w pierwszych dniach września 1939 r. wraz z grupą młodzieży został ewakuowany z kraju i przez Rumunię trafił do Wielkiej Brytanii. Tam zaciągnął się do wojska. A jak było w istocie? Niestety, niewiele wiadomo o jego wojennych losach. Dokumenty są szczątkowe, świadkowie nie żyją.

Służył w Luftwaffe i RAF? Działalności w Résistance nie zmyślił?

Do końca swoich dni twierdził, że był pilotem Królewskich Sił Powietrznych Wielkiej Brytanii, wielokrotnie zestrzelanym podczas bitwy o Anglię, a następnie trafił do francuskiego ruchu oporu. Dziś już wiemy, że po wybuchu wojny Halik prawdopodobnie podpisał volkslistę. W czasie okupacji pracował w zakładzie fotograficznym w Lubowidzu, gdzie robił zdjęcia do niemieckich dokumentów. Z tego, co pozostało w archiwach, wynika, że w kwietniu 1943 r. został powołany do wojska. Trafił do 6. Baterii Szkolnej 11. Ciężkiego Zapasowego Dywizjonu Obrony Przeciwlotniczej Luftwaffe w Królewcu. Po kilkumiesięcznym przeszkoleniu został przeniesiony do jednostki na zachodzie Francji. Zdezerterował 14 sierpnia 1944 r., czyli dwa miesiące po w inwazji aliantów w Normandii, i wraz z grupą 12 Polaków przyłączył się do Francuskich Sił Wewnętrznych (Forces françaises de l'Intérieur, w skrócie FFI). Wcielono go do 2. kompanii 1. pułku Bir Hakeim, kompanii kpt. Jeana Bernarda, który później stał się 6. Pułkiem Piechoty. Dezerterzy zasilili jego oddział: 1 ręcznym karabinem maszynowym, 8 karabinami i 20 granatami. Brali udział w wyzwolaniu departamentu Charente-Maritime. W tym czasie Halik poznał swoją przyszłą żonę Pierrette Andrée Courtin. Po zakończeniu działań zbrojnych, za zgodą francuskich dowódców, wyjechał do Szkocji, by dołączyć do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zdemobilizowany nie wrócił do Polski. W 1947 r. wyemigrował do Argentyny.

Na swej drodze spotkał znaczące osoby, choćby królową Elżbietę II, Juana Peróna, Richarda Nixona, miał niemałe osiągnięcia dziennikarskie, lecz Nagrodę Pulitzera przyznał sobie sam.

W ojczyźnie tanga współpracował z zespołem kroniki filmowej Sucesos Argentinos, której szefem był Polak Tadeusz Bortnowski. Potem założył własną firmę – Halik Films. Tak zaczęła się jego błysko-

tliwa, pełna sukcesów kariera dziennikarska. Współpracował z prestiżowym amerykańskim periodykiem „Life” oraz telewizją NBC. W spuściznie Halika odnalazłem wiele materiałów nakręconych na Kubie, są tam też zdjęcia z Fidelem Castro. Pulitzera oczywiście nie dostał. Otwarte pozostaje pytanie, dlaczego nikt przez tyle lat nie zarzucił mu kłamstwa.

Dlaczego syn bohatera filmu nosi indiańskie imię?

Halik pół żartem, pół serio mówił, że jest „białym Indianinem”. Z pewnością był świadomym i wrażliwym filmowcem zafascynowanym kulturą amazońskich plemion. Imię jego syna – Ozana – jest tego przejawem.

Gdyby nie poznał Elżbiety Dzikowskiej, na łono ojczyzny by nie powrócił?

Na jego powrót złożyło się kilka czynników. W 1972 r. Halik przyjechał do Polski wraz z ekipą dziennikarską towarzyszącą prezydentowi Nixonowi. Dzięki Ryszardowi Badowskiemu, prowadzącemu popularny wtedy program „Klub kontynentów”, pojawił się w studiu Telewizji Polskiej i nagle okazało się, że jego egzotyczne filmy są niesłychanie atrakcyjną propozycją dla widzów. Że otwierają „okno na świat”. Myślę, że zorientował się wówczas, iż odgradzony żelazną kurtyną PRL jest krajem stwarzającym przed nim nowe możliwości. Miał już swoje lata, a tu nagle dostał szansę na drugą młodość, szacunek, popularność, a być może nawet na status gwiazdorski. Do tego dochodzi jeszcze bardzo ważny wątek romantyczny. To Badowski poprosił młodą dziennikarkę, Elżbietę Dzikowską, by zrobiła z nim wywiad w Meksyku. W ten sposób się poznali i pokochali.

Nie uniknął uwikłania we współpracę z SB. Jak do tego doszło? Czego od niego oczekiwano? Sprawdzał się w roli tajnego współpracownika?

Być może tym sposobem zapłacił za powrót do ojczyzny. Niewątpliwie był ostrożny i lojalny. Z dokumentów IPN-owskich, a także wielu innych źródeł, do których miałem dostęp, niewiele wynika. A raczej wynika, że ta agentura była dość groteskowa. Przekazał esbekom jakieś bzdurne informacje zaczerpnięte z meksykańskich gazet. Możliwe też, jak twierdzą niektórzy, że pracował dla CIA albo dla służb innych państw, lecz nie ma na to jednoznacznych dowodów. Najprawdopodobniej była to gra pozoro-

rów – Halik udawał, że współpracuje z SB, a jego mocodawcy udawali, że to ma dla nich jakąś wartość. Wydaje się, że bardziej istotne było to, co Halik – korespondent zachodnich mediów – wywoził za granicę. Zakochany w Polsce, w swoich relacjach potrafił idealizować obraz kraju, a to dla ówczesnej władzy było propagandowo bezcenne. Jednak nie zawsze tak się działo, zwłaszcza kiedy Halik zaangażował się w solidarnościowe wydarzenia sierpnia 1980 r. Znalazłem dwie 20-minutowe rolki z niepublikowanym materiałem nakręconym w czasie strajków. W tym czasie pracował razem z Gene'em Randallem z NBC, pomnikową postacią amerykańskiego dziennikarstwa, relacjonującym najważniejsze wydarzenia końca ubiegłego stulecia – strajki w Polsce, upadek muru berlińskiego, wojnę w Iraku i wyzwolenie Kuwejtu, był w Somalii, Panamie. Halik i Randall jako jedni z pierwszych zagranicznych korespondentów dotarli za bramę Stoczni Gdańskiej do strajkujących robotników, a następnie wysłali materiał na Zachód. Życiorys Halika obfituje w tak zdumiewające historie. Niestety, sprawdzenie każdej prawdy, półprawdy czy oczywistej nieprawdy, która wokół niego narosła, to zadanie w zasadzie z góry skazane na niepowodzenie. Z drugiej strony właśnie dlatego Halik jest tak ciekawą postacią.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Borchardt – reżyser filmów „Historie ponad granicami” (o Elblągu i Królewcu), „Beksiński. Album wideofoniczny”, „Jerzy Skolimowski ogląda »Rysopis«”, „Janusz Morgenstern ogląda »Do widzenia, do jutra«”, „Andrzej Wajda ogląda »Popiół i diament«”), reklam, wideoklipów, programów telewizyjnych. Autor monografii naukowych: „Awangarda muzyki końca XX w. Przewodnik dla początkujących” i „Anioły nie znają wstydu. Transgresja w kinie Nowego Jorku”. Wykładowca akademicki.

90-MINUTOWY FILM PT. „TONY HALIK” – WEDŁUG SCENARIUSZA I W REŻYSERII MARCINA BORCHARDTA – MOŻNA OBEJRZEĆ W KINACH STUDYJNYCH. W OKOLICY 100. ROCZNICY URODZIN BOHATERA OBRAZU – 24 STYCZNIA 1921 R. – DOKUMENT POKAŻE TVP, JEGO WSPÓŁPRODUCENT.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Piłsudski bez retuszu

O Józefie Piłsudskim pisze się na ogół na dwa sposoby. Albo z nabożną czcią, okadzając kadzidłem każdy czyn, każdą myśl i wypowiedź wielkiego Marszałka. Albo rysuje się go w czarnych barwach, przedstawia jako zawistnika, nieudacznika, groteskowego dyktatora. W efekcie otrzymujemy albo nudziarskie hagiografie, albo paszkwile. Oba te gatunki są równie niestrawne.

Młody krakowski autor Maciej Gablankowski postanowił pójść inną drogą. Napisał obiektywną, wartką opowieść o Piłsudskim jako człowieku. Reportaż historyczny, w którym ukazuje zarówno zalety, jak i wady marszałka. Jego sukcesy i triumfy. Przedstawia go jako konspiratora, żołnierza i przywódcę. Ale również jako ojca i męża. Po prostu jako człowieka.

„Piłsudski. Biografia prze-wrotna” to jednak przede wszystkim świetna, napisana ze swadą książka.

„– Zostało nam jeszcze trzydzieści minut! – krzyczy Piłsudski, z trudem odczytując oświetlany małą elektryczną latarką cyferblat łańcuskowego zegarka. Łup zdobyty w wagonie pocztowym oraz paczki znajdujące się w brankardzie zawierają sporo

pieniędzy, ale podzielone są na małe pakunki, trzeba je szybko porozcinać, przesortować i rozdzielić pomiędzy bojowców. Praca idzie sprawnie. Pasażerowie (w tym kilkunastu carskich artylerzystów) nawet nosa nie wyściubią z wagonów. Eskortę i załogę wagonu pocztowego udaje się sterroryzować. Piłsudski ma powody do zadowolenia. Wszystko przebiega zgodnie z planem. Nawet w szeregach bojowców oczekujących na rozparcelowanie łupu widać pewne rozprężenie. Ktoś strzelił w zegar stacyjny wiszący w pobliżu napisu Bezdany”.

To oczywiście opis słynnej akcji ekspropriacyjnej Organizacji Bojowej PPS, w której dowodzonej przez Piłsudskiego grupie udało się zdobyć ponad 200 tys. rubli. Czyli – jak pisze Gablankowski – równowartość dzisiejszych 10 mln dol.! W akcji pod Bezdanami 26 września 1908 r. wzięło udział aż czterech przyszłych premierów II RP: Józef Piłsudski, Aleksander Prystor, Walery Sławek i Tomasz Arciszewski.

Mam nadzieję, że Gablankowski pójdzie za ciosem i w podobny sposób opíše inne kluczowe postacie naszej historii. Na początek proponuję Sikorskiego. ©



★★★★★
**MACIEJ
GABLANKOWSKI**
**„PIŁSUDSKI.
PORTRET
PRZEWROTNY”**
ZNAK



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Piwo w czasach Piastów

Alkohol zawsze towarzyszył ludzkości i nic w tej kwestii nie zmieniło się przez tysiąclecia. Zdarzały się kultury, które nigdy nie wynalazły koła, jednak bez problemów opanowały proces fermentacji. W głębi Amazonii odnajdywano plemiona, które nigdy wcześniej nie widziały białego człowieka, ale wytwarzały napoje alkoholowe na własne potrzeby.

Nie można sobie wyobrazić dziejów kultury polskiej bez procentów. Nie wiadomo, co pili Gall Anonim, Wincenty Kadłubek czy Jan Długosz, ale na pewno mieli do dyspozycji piwo, wino i miód. Najbardziej popularne było piwo, a że było znacznie słabsze niż dzisiejsze, to wypijano jego ogromne ilości. Stąd też dokumenty lokacyjne ówczesnych miast zawierają wręcz nieprawdopodobną liczbę miejsc z wyszynkiem, ale przyjmowanie tak wielkich dawek trunku musiało przecież trwać dłuższy czas.

Ludziom epoki średniowiecza problemy stwarzał okres wielkiego postu. Przez 40 dni nie jadano mięsa i ściśle przestrzegano prohibicji. Podczas śniadania wielkanocnego z reguły starano się sobie to powetować – znany jest przypadek księcia legnickiego Bolesława III Rozrzutnego, który zjadł jednorazowo 13 kurczaków i popił to ogromną ilością piwa, po czym wyzionął ducha.

Wielkim wielbicielem złotego napoju był inny

z Piastów śląskich, schola-styk wrocławski, Władysław. Wybrano go na biskupa w Pasawie, ale nie przyjął godności, gdyż uważał, że tamtejsze piwo jest podłej jakości. Podobny problem powstał, gdy mianowano go arcybiskupem Salzburga. Przez dwa lata nie objął swojej stolicy (oficjalnie z powodu oczekiwania na osiągnięcie wymaganego wieku – 30 lat), aż wreszcie dał się przekonać. Z radością jednak przyjął dodatkowo administrację rodzimej diecezji, tam bowiem mógł do woli raczyć się ulubionym trunkiem.

Piwo uwielbiał także książę krakowski Leszek Biały, który z tego powodu dostał nawet dyspensę z udziału w krucjacie do Ziemi Świętej. Wyjaśnił bowiem papieżowi, że nie może walczyć z niewiernymi na Bliskim Wschodzie, ponieważ tam nie ma piwa, a on bez niego nie może funkcjonować. Papież okazał wyrozumiałość i zezwolił na organizację wyprawy na ziemię nadbałtyckich Prusów, gdzie piwa nie brakowało. Leszek Biały został zamordowany przez Pomorzan w Gąsawie na Kujawach 24 listopada 1227 r. W chwili napadu Piast przebywał w łaźni, a gdy próbował uciekać, został doścignięty. Pozostaje pytanie, ile piwa wypił dnia poprzedniego? A czy gdyby był bardziej powściągliwy, to zdołałby zbiec? Czasami nawet złocisty napój bywa szkodliwy, oczywiście w nadmiarze. ©



FOT. ADOBE STOCK

Nie patrz w bok, reaguj.

Skuteczna pomoc dla ofiar przemocy

Wiele Polek wciąż we własnych domach jest maltretowanych psychicznie i fizycznie. Świadkowie – sąsiedzi lub rodzina – nie mogą pozostawać obojętni, szczególnie gdy ofiara nie jest w stanie sama poprosić o pomoc. Dzisiaj jest to łatwiejsze – nowa ustawa antyprzemocowa daje znacznie większą ochronę ofiarom, umożliwiając skuteczne odizolowanie sprawców

Przemoc w rodzinie – do niedawna uważana za zjawisko występujące głównie w ubogich rodzinach patologicznych – jest obecna we wszystkich warstwach społecznych. Przez lata nie zwracano jednak uwagi na „kłótnie rodzinne” czy „mażeńskie nieporozumienia”, a maltretowane fizycznie, psychicznie i seksualnie kobiety czy ich dzieci nie widziały szans na nowe, lepsze życie.

Zmiany społeczne sprawiły, że coraz więcej osób łamie stereotypy, przestaje uważać przemoc domową za „sprawę rodzinną” lub obawiać się, że „ktoś będzie miał pretensje, że się wtrącam”.

NIE BĄDŹ OBOJĘTNY

W Polsce – według policyjnych statystyk – każdego roku przemocy domowej doświadcza aż ćwierć miliona osób, w większości kobiet, dzieci czy osób starszych. W rzeczywistości poszkodowanych może być jeszcze więcej, ponieważ ofiary często boją się sprawców przemocy, z którymi mieszkają pod jednym dachem. Obawiają się także reakcji rodziny oraz wstydzą się przed znajomymi – unikają więc zgłaszania przypadków przemocy organom ścigania.

Teraz to się zmieniło, nowe przepisy gwarantują ofiarom natychmiastową ochronę i odizolowanie od sprawcy. Dzięki temu nie muszą się obawiać zemsty ani bezpośrednich nacisków, mających skłonić ich np. do wycofania zeznań.

Wrażliwość na dziejącą się krzywdę jest ważna, ponieważ brak reakcji otoczenia powoduje jedynie eskalację przemocy. Często zaś ofiara nie tylko wstydzi się tego, czego doświadcza, lecz także jest tak zastraszona, że jest gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje, lub nie wierzy w to, że da się jej pomóc. Świadkowie przemocy – sąsiedzi, członkowie rodziny, przyjaciele – są więc często jedynymi osobami, które mogą zatrzymać przemoc w rodzinie.

Przypadki przemocy domowej powinny być jak najszybciej zgłaszane – gdy nie chce lub nie może zrobić tego ofiara, powinni zadziałać świadkowie. W sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa można, a nawet trzeba natychmiast zadzwonić pod numer 112 lub 997. Policjanci, którzy przyjadą na miejsce, mogą zatrzymać osobę, która stosuje przemoc (jeżeli popełniła przestępstwo lub istnieje obawa, że je popełni).

Działanie w takich sprawach jest obecnie łatwiejsze, ponieważ niedawne zmiany w prawie dają ofiarom szansę na szybką izolację od sprawcy przemocy. Ten, na podstawie przepisów ustawy antyprzemocowej, może być aresztowany lub w trybie natychmiastowym eksmitowany ze wspólnego mieszkania. Nakazowi opuszczenia lokalu może towarzyszyć wydany przez policjanta lub żołnierza Żandarmerii Wojskowej zakaz zbliżania się w pobliże miejsca zamieszkania ofiary.

Ofiary przemocy, które odniosły obrażenia, mogą także np. od lekarza pierwszego kontaktu lub lekarza pogotowia czy SOR uzyskać bezpłatnie zaświadczenie lekarskie o przyczynach i rodzaju obrażeń – to ważny dokument, ponieważ może być dowodem podczas sprawy w sądzie. Można też zgłosić się do biegłego lekarza sądowego, który wykona obdukcję (jest ona bezpłatna, jeżeli zleca ją policjant lub prokurator). Na wizytę u biegłego lekarza sądowego można też umówić się prywatnie.

POMOC PRAWNA, PSYCHOLOGICZNA I FINANSOWA

Poszkodowani w wyniku przemocy domowej mogą także skorzystać z pomocy prawnej, psychologicznej oraz finansowej w różnego rodzaju ośrodkach interwencji kryzysowej czy specjalistycznych ośrodkach wsparcia dla ofiar przemocy w rodzinie. Tylko w pierwszych sześciu miesiącach 2020 r. z Funduszu Sprawiedliwości udzielono dotacji miejscom świadczenia pomocy pokrzywdzonym w wysokości niemal 70 mln zł. Dzięki wsparciu Funduszu obecnie w Polsce działa już ponad 370 miejsc, które świadczą pomoc ofiarom przestępstw i ich rodzinom. Zatrudnieni w nich specjaliści zapewniają m.in. bezpłatną pomoc prawną, wsparcie psychologa, tłumacza i tłumacza języka migowego, a także pomagają w napisaniu urzędowych pism i wniosków (np. pozwu rozwodowego).

W przypadku ofiar przemocy domowej ośrodki finansowane z Funduszu Sprawiedliwości oferują także pomoc w znalezieniu bezpiecznego schronienia, a także w zakresie przekwalifikowania zawodowego, w tym dofinansowanie kursów zawodowych. Z pieniędzy funduszu mogą być np. pokryte koszty zakupu żywności, odzieży, obuwia, środków czystości etc., a nawet koszty opieki nad dzieckiem w żłobku, przedszkolu, klubie czy w szkole.

Z budżetu Funduszu finansowana jest też ogólnokrajowa telefoniczna Linia Pomocy Pokrzywdzonym (+48 222 309 900) – wystarczy jeden telefon, aby anonimowo uzyskać szybką poradę psychologiczną i prawną, otrzymać komplet informacji o możliwości pomocy oraz umówić się na spotkanie do dowolnego punktu pomocy finansowanego z FS na terenie całej Polski. Aby ułatwić poszkodowanym zwracanie się o pomoc w czasie pandemii koronawirusa, umożliwiono m.in. kontakt z pracownikami Funduszu za pośrednictwem komunikatora internetowego oraz poczty elektronicznej (info@numerosos.pl).



Małgorzata Wołczyk

Prezydent regionu Madrytu to dobry przykład tego, jak zmieniała się prawica w Hiszpanii i czym obecnie jest

Prezydent Ayuso



Isabel Ayuso ogranicza się często do płomiennych przemówień przeciw lewicowej wizji świata, ale gdy trzeba, usłusznie pomaga przegłosować lewicy wszystkie jej ustawy

FOT. EUROPA PRESS/O.CAÑAS.POOL / ZUMA PRESS/FORUM

Nie znają państwo prezydent regionu Madrytu, temperamentnej Isabel? Nie szkodzi, Hiszpanie mają aż 445 tys. polityków, których muszą wyżywić, a też znają tylko paru najważniejszych. Sami ironizują, że są fenomenem na skalę europejską. Wyliczono, że w Hiszpanii polityk przypada na 115 mieszkańców, we Francji 1 na 325, a w Niemczech 1 na 800. Brak danych dla Polski może tu być pociechą.

A jednak Isabel Díaz Ayuso jest jedną z głównych rozgrywających, ponieważ jako prezydent Wspólnoty Madrytu jest wysokim przedstawicielem i liderem autonomicznego rządu, mianowanym przez króla Filipa VI. Aglomeracja Madrytu jest zaś najważniejszym regionem Hiszpanii i motorem ekonomicznym kraju. Obrazując nieco ryzykownie: władzę,

którą sprawuje Ayuso, miałby wojewoda mazowiecki po rozbiściu Polski na autonomiczne województwa, z których każde posiadałoby własny rząd i prowadziłoby indywidualną politykę w ramach każdego resortu.

Isabel Ayuso dla wielu rodaków, a zwłaszcza tych z regionu, jest symbolem młodego i pięknego... męża stanu. I to pomimo deklarowanych prawicowych przekonań, co w obecnej Hiszpanii pod wodzą koalicji socjalistów z komunistami nadzwyczajnie szybko etykietowane jest faszyzmem. Nawet jeśli Partia Ludowa (PP), z której pani prezydent się wywodzi, ma dokładnie tyle wspólnego z ideałami konserwatywnymi, ile Partia Ludowa w PE pod wodzą Tuska, pozostaje dla wielu Hiszpanów politykiem co najmniej podejrzanym. Standardy w hiszpańskiej

polityce i położenie partii centrowych wyznacza po prostu skrajna lewica.

Gdy Ayuso w przebiegu pandemii wydawała się osłaniać własną pierś ówczesną „stolicę śmierci w Europie”, prasa światowa zainteresowała się energiczną „prezydentką”. Urodziła się w Madrycie w 1978 r., w skromnej rodzinie drobnych przedsiębiorców. Niezbyt dobre relacje z ojcem kazały jej dość szybko opuścić dom i poszukać własnych źródeł utrzymania, aby móc opłacić studia. W 2000 r. przeniosła się na parę miesięcy do Ekwadoru, gdzie pracowała w agencji marketingowej i poznawała problemy Ameryki Łacińskiej. W 2002 r. zapragnęła jednak wyjechać do Irlandii. W Dublinie spędziła niemal rok na pracy w muzycznej stacji radiowej. Po powrocie do Madrytu zapisała się do młodzieżówki ludowców. Szefem

młodzików był wówczas Pablo Casado, obecny lider PP, co tłumaczy zaufanie, którym się po dziś dzień darzą. Skończyła studia dziennikarskie na Uniwersytecie Complutense i niedługo później otrzymała magisterium z komunikacji politycznej (parę lat później zrobiła w tej dziedzinie doktorat). Pięła się po szczeblach partyjnej kariery dyskretnie, ale stanowczo. Kluczowa dla jej późniejszej pozycji okazała się praca dla obu poprzedniczek na fotelu prezydenta regionu: Esperanzy Aguirre (2003–2012) i Cristiny Cifuentes (2015–2018). Jako specjalistka od komunikacji i mediów prowadziła też konto twitterowe psa pani prezydent – Pecasa – który komentował rzeczywistość i wielbił swoją panią.

NOWOCZESNA I LIBERALNA

Wiodącą rolę zaczęła odgrywać dopiero pięć lat temu, gdy została deputowaną i rzecznikiem prasowym Zgromadzenia Madrytu. Prawdziwym przełomem było jednak namaszczenie jej przez lidera PP Casado na kandydatkę do objęcia urzędu prezydenta. Po wygranych wyborach samorządowych w 2019 r. egzotyczny sojusz trzech partii PP, C's i Vox umożliwił wyrwanie fotela z rąk socjalistów i obsadzenia w nim Ayuso.

I tu zaczyna się przy okazji opowieść o tzw. prawicy hiszpańskiej, której twarzą może być Ayuso. Właściwie niewiele ją różni od jej adwersarzy na lewicy: rozwódka, 41 lat, bezdzietna, od kilku lat w konkubinacie z fryzjerem. Poza tym, jak sama twierdzi, „kobieta nowoczesna i liberalna”, z tatuażem na przedramieniu. Owszem, zdarza się jej odgrywać rolę prawniczej polityk – w sensie, do jakiego przywykliśmy w Polsce – ale trzeba wnieść poprawkę: jest to prawica „oralna”, czyli taka, która ogranicza się często do płomiennych przemówień przeciw lewicowej wizji świata, ale gdy trzeba, usłużnie pomaga przegłosować lewicy wszystkie jej ustawy. To fakt, który nie przestaje zdumiewać rozgoryczonych wyborców PP.

Najbardziej wymownym przykładem tego imposybilizmu i zdrady ideałów jest były premier Mariano Rajoy, który dysponując przez wiele lat większością w Kongresie, nie uchylił ani jednej z prawdziwie perwersyjnych ustaw Zapatero. Pewne zdobycze rewolucji lewicowej w Hiszpanii okazały się po prostu nietykalne. I to jest właśnie casus belli między starą prawicą spod znaku PP i nową spod znaku Vox. Lider tej ostatniej, Abascal, ciągle zarzuca PP,

do której zresztą należał w młodości, że porzuciła wszelkie ideały, przegrała wojnę kulturową i dlatego nie należy zwracać się do niej inaczej niż per „prawica mięczaków”, co z kolei doprowadza ludowców do furii. Odpływ elektoratu do Vox kosztował ich utratę 52 mandatów w Kongresie.

Ambitna Isabel Ayuso usiłuje więc nadrobić za wszystkich kolegów i udowodnić, że nie można jej zarzucić uległości w stosunku do rządu Sáncheza. I rzeczywiście, pandemia otworzyła przed nią możliwość pokazania się od najlepszej strony: gdy miasto po przejściu 120 tys. feministek w dniu 8 marca stało się „największym infektodromem Europy”, na jej barki spadł ciężar ratowania ludzi po tym, jak wybuchła panika. Od pierwszej chwili przeobraziła się w energiczny sztab kryzysowy, choć decyzja o zgubnym przemarszu podjęta była przez rząd centralny, a ona sama ani nie uczestniczyła w nim, ani nie kryła swojego krytycznego zdania.

WALCZĄCA Z KORONAWIRUSEM

Hiszpanie nie zapomną jej ogromu poświęcenia, zmęczonej twarzy po paru godzinach snu, gdy sama zakażona wirusem zarządzała z kwarantanny wszystkimi służbami w mieście. W ciągu paru dni zabrakło łóżek na OIOM-ach, dlatego kazała przekształcać hotele w tymczasowe szpitale, organizowała wsparcie. Gdy żniwo śmierci zaczęło sięgać setek osób dziennie, w rekordowym czasie 18 godzin wysiłkiem wojska wzniesiono na terenie hal targowych IFEMA największy szpital polowy Hiszpanii na 1,7 tys. łóżek. W trzy dni strażacy i wolontariusze zbudowali pod nadzorem inżynierów system dostarczania tlenu dla pacjentów. Nad chorymi, dowożonymi do IFEM-y, czuwał zespół złożony z 360 lekarzy, 800 pielęgniarek i 100 pracowników ambulatorium. Przez szpital polowy przewinęło się 4 tys. pacjentów, stał się „symbolem życia” w przeciwieństwie do lodowiska w Pałacu Zimowym – „symbolu śmierci” z uporządkowanymi zwłokami, których nie nadążano spalać. IFEMA stała się pokazowym sukcesem Madrytu, płynęły więc gratulacje z WHO i ze świata, a sama Ayuso pojawiła się na pierwszych stronach gazet. Nie zapomniana też o ubogich dzieciach na kwarantannie, dlatego biedne rodziny z 32 gmin otrzymywały dostawę jedzenia gratis. To nie mogło podobać się rządowi Sáncheza, z którym Ayuso wchodziła w nieustanne konflikty, oskarżając go o celową obstrukcję, zatrzymywanie

dostaw podstawowych zabezpieczeń ochronnych, wadliwy towar kupowany u szemranych dostawców. Lewica rozsierdzona sukcesem Ayuso grzmiała, że miasto nie może opłacać jej kwarantanny w luksusach Aparthotelu, a dzieciom nie wolno fundować śmieciowego jedzenia z Telepizy. Zemścili się już w czerwcu, gdy decyzją rządu wiele regionów mogło wychodzić już z obostrzeń, za to region Madrytu został ukarany dodatkową „odsiadką” w fazie restrykcji.

Opisywanie napięć na linii Sánchez–Ayuso stało się rytuałem dla prasy. Wielu komentatorów jest zdania, że premier woli zrujnować Madryt ekonomicznie, niż oglądać po raz wtóry sukces wroga. Wymownym tego przykładem było to, że pod koniec września, pomimo spłaszczenia krzywej zakażeń, rząd centralny rozpętał propagandę o „rekordowych przyrostach zachorowań” w Madrycie i konieczności odgórnej interwencji. Media Europy pilnie powtarzały złą wiadomość, choć wystarczyło znać dostępne dane lub czytać prasę wolną od dezinformacji, aby zrozumieć, że to Katalonia i Kraj Basków borykają się z większym zagrożeniem. Wiadomo, że w regionach gorzej zarządzanych, ale za to przez sojuszników, Sánchez nie ośmielił się narzucać lockdownu. Sytuacja epidemiologiczna znów stała się groźna, co pozwoliło rządowi sięgnąć po środki nadzwyczajne: ogłosił stan alarmowy aż do maja 2021 r. i tym samym zapewnić sobie władzę absolutną. Wojownicza wcześniej prezydent w sposób niepokojący dla wielu zdaje się otwierać na dialog i dziwnie zgadzać na ustępstwa, o które wcześniej jej nie podejrzewano.

Powód jest prosty: wotum nieufności dla rządu zaprezentowane ostatnio przez Vox, choć nie przyniosło efektu, podkopało pozycję „mięczaków” z PP. Casado popełnił życiowy błąd, atakując brutalnie Abascala za inicjatywę i udzielając poparcia komunistom na oczach całego kraju. Zmartwiona Ayuso skomentowała to tak: „Rozpad prawicy to katastrofa dla Hiszpanii”, po czym parę dni później udała się na wystawne przyjęcie w towarzystwie politycznych wrogów. Hiszpanie zawyli z oburzenia, widząc, jak ich elity bawią się bez maseczek i dystansu, gdy tymczasem reszta Hiszpanii zмага się z godziną policyjną i bankrutem. Trudno będzie Isabel odbudować zaufanie, ale – jak widać – prawica „mięczaków” przywykła wyżej cenić przywileje władzy niż uczciwość wobec wyborców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kolizja Francji ze światem islamu



Policjanci przed kościołem w Nicei w dniu, w którym zamachowiec zabił w nim nożem trzy osoby (29 października 2020 r.) FOT. ERIC GAILLARD/POOL/AP/EAST NEWS



Olivier Bault

Wolność słowa we Francji rozumiana jest jako wolność do obrażania uczuć religijnych. To oburza muzułmanów

Pierwsza padła 60-letnia katoliczka Nadine Devillers, której uzbrojony w długi nóż Tunezyjczyk Brahim Issaoui poderżnął gardło w czasie modlitwy, a następnie odciął głowę. Drugi zabity został 54-letni Vincent Loquès, kościelny, którego islamista uderzył nożem w gardło. 44-letniej Simone Barreto Silva, matce trojga dzieci pochodzącej z Brazylii, udało się uciec z bazyliki Notre-Dame de Nice i znaleźć schronienie w barze po drugiej stronie

ulicy, ale skołała na skutek poniesionych ran. Przed śmiercią poprosiła ludzi, aby przekazali jej dzieciom, że je bardzo kocha.

Wszystko to zdarzyło się w czwartek 29 października przed godz. 9 rano w Nicei. Blisko granicy z Włochami, skąd Tunezyjczyk dopiero co przybył do Francji. Issaoui wpłynął we wrześniu do Europy na jednej z tych licznych łodzi wożących migrantów. Został przyjęty na pokład włoskiego statku ratunkowego i przewieziony na wyspę Lampedusę 20 września. Musiał przejść kwarantannę na statku pasażerskim przygotowanym przez rząd Włoch ze względu na epidemię COVID-19, a następnie został przetransportowany razem z blisko 800 innymi nielegalnymi imigrantami na Bari, gdzie 9 października ułożono go w specjalnym ośrodku. Potem dostał nakaz opuszczenia terytorium Włoch i od razu został wypuszczony z ośrodka

ze względu na brak miejsc. Wszystko wskazuje na to, że już w momencie opuszczenia rodzimej Tunezji Brahim Issaoui planował atakowanie przypadkowych cywilów we Francji.

W dniu, kiedy świeżo przybyły radykalny muzułmanin zabił troje katolików w nicejskiej bazylice, policja w centrum Lyonu zatrzymała na ulicy Afgańczyka uzbrojonego w 30-centymetrowy nóż. Tego samego dnia saudyjski napastnik zranił nożem strażnika francuskiego konsulatu w Dżuddzie.

A wszystko to działo się niecałe dwa tygodnie po makabrycznym morderstwie dokonanym na gimnazjalnym nauczycielu z podparyskiego Conflans-Sainte-Honorine i miesiąc po ataku na dwie przypadkowe osoby stojące przed dawną siedzibą satyrycznej gazety „Charlie Hebdo” (kilka lat temu wydrukowała karykatury proroka i islamiści dokonali zamachu na redakcję), które

próbował zabić tasakiem pewien Pakistańczyk.

Zamordowany nauczyciel historii Samuel Paty podczas zajęć o wolności słowa pokazał uczniom karykaturę Mahometa. Prorok pokazany był na niej nago od tyłu, z widocznymi genitaliami, a odbył zasłaniała mu żółta gwiazdka. Całość opatrzona była napisem: „Mahomet: narodziła się gwiazdka!”.

Trudno o bardziej ordynarny, ale także bluźnierczy i obraźliwy dla wyznawców islamu rysunek. A jednak prezydent Francji Emmanuel Macron osobiście zdecydowanie stanął w obronie prawa do pokazywania tego typu obrazków w imię swobody wypowiedzi oraz uznanego przez francuski ustrój masonsko-republikański – ukształtowanego w kontrze do katolicyzmu – prawa do bluźnierstwa. Po zabójstwie Samuela Paty kilka dużych mediów francuskich, m.in. gazety „Le Figaro” i „Le Journal du Dimanche” oraz telewizja BFM TV, pokazywały właśnie ten ordynarny rysunek oraz inne karykatury. W niektórych miastach rządzonych przez lewicę lub skrajną lewicę mniej wulgarnie karykatury Mahometa wyświetlano na murach miejskich budynków, a minister oświaty nosił się z zamiarem urzędowania pokazu karykatur publikowanych przed kilku laty przez „Charlie Hebdo” we wszystkich szkołach. Na szczęście szybko zrezygnował z tego pomysłu z obawy przed reakcjami muzułmańskich uczniów.

WZBURZENI MUZUŁMANIE

Te wydarzenia i słowa Macrona wywołały wielkie oburzenie w wielu krajach muzułmańskich. Nawet kraje, z którymi Francja tradycyjnie utrzymuje bardzo dobre stosunki – takie jak Kuwejt, Katar i przede wszystkim ostro walczące z radykalnym islamem Maroko – ostro potępiły Paryż. W dniach poprzedzających brutalny atak w nicejskiej bazylice w wielu krajach muzułmańskich doszło do ulicznych protestów, na których palono francuskie flagi i portrety prezydenta Francji. Rzecznik francuskiego rządu stwierdził w odpowiedzi, że „pomimo prób zastraszania Francja nigdy nie rezygnuje ze swoich zasad i wartości, a zwłaszcza z wolności słowa”. Dziwnie pojęta to wolność słowa, w imię której można obrażać miliony muzułmanów, wysmiewając publicznie w najbardziej ordynarny sposób to, co dla nich jest święte, podczas gdy osoby przestrzegające za pomocą argumentów przed islamem i imigracją są atakowane przez różnej

maści stowarzyszenia antyrasistowskie dotowane przez państwo i karane przez francuskie sądy.

STARCIE CYWILIZACJI

Rysuje się zatem ostre starcie cywilizacji między lewicowo-liberalną Francją a światem islamu. To okazja, z której nie mógł nie skorzystać marzący o odbudowaniu potęgi otomańskiej turecki prezydent Recep Erdoğan. Zaatakował Emmanuela Macrona za jego zapowiedź walki z tzw. separatyzmem islamistycznym na terenie Francji i potępił rzekomą francuską islamofobię. Za obronę prawa do pokazywania karykatur Mahometa Erdoğan radził publicznie Macronowi, aby skonsultował się z psychiatrą.

Napięcie między Ankarą i Paryżem zatem wzrosło, a przecież stosunki były już napięte z racji militarnego wsparcia, którego Francja udzieliła Grecji, aby powstrzymać tureckie zapędy na Morzu Śródziemnym, oraz z powodu głośnego potępienia przez Macrona faktu wysyłania

Wśród młodych muzułmanów zamieszkujących Francję obecnie aż 57 proc. przedkłada prawo szariat nad prawo francuskie

przez Turcję syryjskich dżihadystów do walki z Ormianami u boku sił azerskich w Górskim Karabachu. Francja wezwała swojego ambasadora w Turcji do Paryża na konsultacje, wyrażając wielkie oburzenie z powodu obraźliwych słów tureckiego prezydenta. Tymczasem na wezwanie sułtana z Ankarą rozpoczął się w Turcji i innych muzułmańskich krajach bojkot produktów francuskich.

Francuski rząd zdelegalizował na początku listopada ultranacjonalistyczną turecką organizację Szarych Wilków po tym, jak doszło do ulicznych ataków grup Turków na społeczność ormiańską w okolicach Lyonu. Inne organizacje, takie jak na przykład tzw. Kolektyw przeciwko Islamofobii we Francji (CCIF), mają zostać rozwiązane w ramach walki z „separatyzmem”.

Trudno sobie jednak wyobrazić, aby Francja mogła wygrać wojnę z radykalnym islamem, skoro zraża do siebie coraz większe rzesze muzułmanów. Emmanuel

Macron próbował uspokoić sytuację, starając się wytłumaczyć w wywiadzie dla telewizji Al-Dżazira, że nie popiera samych karykatur, lecz broni jedynie wolności słowa, tak jak jest ona pojmowana we Francji.

Problem w tym, że do tej pory sam wzmacniał negatywny obraz Francji w świecie islamskim, przedstawiając podczas wizyty w Algierii dawną francuską politykę kolonialną jako zbrodnię przeciwko ludzkości, a generalnie uprawiając popularną na Zachodzie politykę wstydu z powodu historii własnego narodu. Do czego prowadzi taka polityka historyczna, odrzucająca własną narrację, a nawet prawdę historyczną w imię pojednania i moralnego osądzenia przodków, w świetle dzisiejszych kryteriów najlepiej pokazuje tweet, który opublikował po islamskim zamachu w Nicei 29 października były premier Malezji Mahathir bin Mohamad: „Muzułmanie mają prawo odczuć gniew i zabić miliony Francuzów z powodu rzezi dokonanych przez nich w przeszłości”.

Po morderstwach w Nicei na jaw wyszło, że 10 dni przed zamachem jeden z imamów we Francji opublikował na Facebooku kazanie, w którym nawoływał do ścięcia głowy każdemu, kto obraża Mahometa. Béchir Ben Hassen propagował takie przesłanie w kraju, który go przyjął, podczas gdy w samej Tunezji, skąd pochodzi, ma od kilku lat zakaz głoszenia kazań.

Po stronie tzw. umiarkowanych muzułmanów przewodniczący francuskiej rady kultu muzułmańskiego (CFCM) Mohammed Moussaoui uznał 27 października na antenie Radia RMC, że w imię zasady „braterstwa” wpisanej w motto Republiki Francuskiej należałoby we Francji „rezygnować z pewnych praw”, a mianowicie z prawa do bluźnierstwa i obrażania uczuć religijnych. Jego wypowiedź spotkała się z całkowitym niezrozumieniem i wielkim oburzeniem ze strony większości polityków, mediów i komentatorów francuskich. Jak widać, może być trudno znaleźć kompromis między wartościami islamu a wartościami dzisiejszej Republiki Francuskiej.

Badanie Instytutu IFOP opublikowane 5 listopada pokazuje, że wśród młodych muzułmanów (w przedziale wiekowym 15–24 lata) zamieszkałych we Francji aż 57 proc. przedkłada prawo szariat nad prawo francuskie. To 10 punktów procentowych więcej niż cztery lata temu. A wyznawców islamu jest nad Sekwaną coraz więcej.



WIDELEC ODCHODZI W NIEPAMIĘĆ

Ofsted – organ nadzorujący szkoły w Wielkiej Brytanii – zbadał, jak zamknięcie szkół wpłynęło na dzieci. Okazało się, że na Wyspach jest prawdziwa katastrofa. Umiejętności brytyjskich dzieci są ulotne. Według Ofsted najmniejsze dzieci pozbawione szkół przestały umieć korzystać z nocników i znów muszą chodzić w pieluchach. A to nie wszystko. Mali Brytyjczycy przestali też np. umieć używać widelców. Cofają się w czytaniu, liczeniu i pisaniu. Niewiele to mówi o brytyjskich szkołach, ale za to chyba całkiem sporo o brytyjskich rodzicach.

FOT. ADOBE STOCK

PIERWSZE „SUKCESY” SPUTNIKA V

Po tym, jak Amerykanie pochwalili się 90-procentową skutecznością swojej szczepionki na SARS-CoV-2, Rosjanie poinformowali, że ich jest oczywiście lepsza. Skuteczność ma na poziomie 92 proc. Tymczasem w Kraju Altajskim w Rosji szczepionkę przyjęło trzech lekarzy i wszyscy trzej zachorowali na COVID-19. Ministerstwo zdrowia Rosji tłumaczy, że u tych, którzy chorują, po prostu nie zdążyły się wykształcić przeciwciała. Służby prasowe tego regionu tłumaczą to jeszcze inaczej – sugerują, że medycy po prostu zarazili się koronawirusem wcześniej, zanim przyjęli szczepionkę przeciw niemu.

CHIŃCZYCY OSKARŻAJĄ NIEMIECKĄ GOLONKĘ

W Chinach zachorował pracownik jednej z chłodni. Zdaniem chińskich władz

mężczyzna zakażył się, bo dotykał opakowania golonki importowanej do tego kraju z niemieckiej Bremy. Specjalna komisja miała znaleźć też koronawirusa na kłamece chłodni i na wózku widłowym, którym jeździł zakażony pracownik. Problem tylko w tym, że w Bremie nie ma ubojni trzody chlewnej ani zakładu przetwórczego. Mało tego – nie ma tam nawet firmy, która zajmowałaby się pakowaniem tego rodzaju produktów na eksport do Chin.

RZUT KARNY MIESIĄC PÓŹNIEJ

Podczas spotkania chilijskich klubów piłkarskich – Universidad Católica i Curicó Unido – 15 października doszło do awarii sprzętu. Zwarcie spowodowało, że zapłonęła tablica wyników, a sędzia nie mógł skorzystać z technologii VAR, by ocenić sporną sytuację. Ostatecznie wszystko się udało odtworzyć i poinformowano, że powinien zostać podyktowany rzut karny dla Universidad. Ten wykonano dopiero miesiąc później. Tak długo czekano na wznowienie meczu, że faulowany wcześniej zawodnik zdążył już zmienić drużynę na inną. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Greki mądry przed szkodą

Pandemia na stałe zmieniła rynek pracy. Dzięki nowoczesnym technologiom wielu specjalistów może wybierać, gdzie mieszka i gdzie pracuje. Takich właśnie ekspertów chcą do siebie ściągnąć Grecy. I kuszą czymś więcej niż tylko jedzeniem, tańcem i słoneczną pogodą.

Według informacji Bloomberg’a oraz Reutersa centroprawicowy rząd w Atenach pracuje nad ustawą, na mocy której osoby pracujące zdalnie będą mogły liczyć na zwolnienie z połowy podatku dochodowego aż przez siedem lat. Wystarczy, że jako miejsce zamieszkania wskażą właśnie Grecję i właśnie

w tym kraju będą odprowadzać daninę.

W ten sposób gabinet premiera Kiriakosa Mitsotakisa naprawia błędy rządzących wcześniej socjalistów, którzy zapomnieli, że aby urzędnicy mogli beztrudno rozdáwać pieniądze podatników, ktoś je musi wcześniej zarobić i wpłacić do budżetu. Promocyjne stawki dla nowych rezydentów podatkowych mają też zapobiec drenażowi mózgów, ułatwić walkę z kryzysem zadłużenia i zapobiec wielkiemu kryzysowi finansowemu związanemu z pandemią. Rząd w Atenach nie stawia przy tym żadnych wymogów dotyczących narodowości, rodzaju

wykonywanej pracy ani wysokości maksymalnych zarobków, aby chętni mogli skorzystać z ulgi.

Premier Mitsotakis liczy na to, że dzięki podatkowej promocji Grecja zarobi także na brexicie i zwabi do siebie specjalistów uciekających z Wielkiej Brytanii. Wcześniej – jak zauważył portal „Greek City Times” – władze w Atenach wprowadziły przepisy wabiące emerytów z całego świata, wprowadzając na 10 lat promocyjną liniową stawkę podatku w wysokości 7 proc. na wszystkie dochody uzyskiwane poza granicami Grecji, a także liniową stawkę dla najbogatszych z UE oraz z Azji. Można? Można. ©

Już 23 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



Z Piotrem Kuczyńskim,
analitykiem rynku finansowego
rozmawia Jakub Wozinski

Na razie to tylko kryzysik

JAKUB WOZINSKI: Rząd obiecywał, że drugiego lockdownu nie będzie, ale mamy go w wersji pełzającej. Czy stać nas w ogóle na drugi lockdown?

PIOTR KUCZYŃSKI: Na całym świecie wszyscy zarzekają się, że lockdownów nie będzie, ale np. w Izraelu trzytygodniowy lockdown został już ogłoszony. W Czechach prawie lockdown również został ogłoszony. W wielu miejscach mamy stany wyjątkowe. Paryż i Londyn są praktycznie zamknięte. Jest więc tak, jak pan powiedział: pełzający lockdown czy też stan wyjątkowy jest w grze w wielu państwach. Czy u nas też? Na razie zmierzamy w tym kierunku. Czy rząd postanowi, żeby wprowadzić lockdown, nie wiem. Jednego jestem pewien: jeżeli uderzymy w sufit czy też ścianę, jak mówił Łukasz Warzecha, jeżeli chodzi o ochronę zdrowia, i nie będziemy w stanie obsługiwać naszych chorych, to z pewnością czeka nas drugi lockdown. Wiele specjalistów mówi zresztą, że taki

dwu-, trzytygodniowy przerwywnik byłby wskazany. Na szczęście ja takich decyzji nie muszę podejmować.

Wiem natomiast, że jeżeli lockdown lub coś na jego kształt zostanie naprawdę wprowadzony, to drogo za to zapłacimy. Noblista z 2018 r. z dziedziny ekonomii, Paul Romer, powiedział mniej więcej pół roku temu, że jeżeli lockdowny potrwać pół roku, to może będziemy zdrowsi, ale gospodarka będzie martwa. Stwierdzenie to dużo mówi, ponieważ państwa na całym świecie mocno się zadłużyły. Wszyscy wiemy, ile wyemitowano długu.

I co dalej?

Co prawda, Paweł Borys, szef Polskiego Funduszu Rozwoju, mówi, że nie będzie następnych tarcz, ale ja mogę się założyć, że jeżeli będą kolejne lockdowny, to będą kolejne tarcze, bo nie będzie innego wyjścia. Trzeba się będzie znów dalej

zadłużać i dalej drukować pieniądze. To może doprowadzić ostatecznie do jakiejś katastrofy. Miejmy nadzieję, że wcześniej jednak pojawią się szczepionki. Ale nawet jeśli one się pojawią, bo np. amerykańska firma Moderna ma zamiar zarejestrować w Unii Europejskiej swoją szczepionkę, którą chce szczepić od początku roku, to zaszczepienie kilkaset milionów osób zajmie bardzo dużo czasu. W związku z tym będziemy z tą pandemią żyli co najmniej do połowy przyszłego roku i to wygląda na razie bardzo niedobrze.

Spodziewa się pan ponownego tąpnięcia po stronie popytu? Czy ludzie tak jak na wiosnę bardzo mocno ograniczą wydatki?

Na wiosnę konsumenci mieli sytuację wyjątkową, gdyż był po prostu lockdown. Zyskiwały na tym m.in. branże internetowa i kurierska. Ludzie siedzieli w domu i mniej wydawali. Na razie działamy w miarę normalnie. Istnieje jednak jedno potężne zagrożenie, a mianowicie takie, że mimo iż nie będzie lockdownu, ludzie będą przerażeni. Podawana codziennie liczba nowych przypadków naprawdę robi wrażenie. Ludzie będą się bali kolejnego lockdownu i dopóki będą mieli pracę, dopóty będą oszczędzali. Będą mówić sobie: „Jak się znowu coś takiego trafi, a nie będzie – jak mówi pan Borys – następnych tarcz, to co ja wtedy zrobię?”. Jeśli przestaną wydawać, to uderzy to oczywiście w gospodarkę. A jeżeli uderzy w gospodarkę, to

zwrotnie uderzy także w ludzi, bo będzie potrzebnych mniej rąk do pracy i nastąpią zwolnienia. Działa tu niestety sprzężenie zwrotne i można załatwić gospodarkę bez lockdownu w ten sposób, że przestraszą się konsumenci. W Polsce popyt wewnętrzny ma olbrzymie znaczenie. Wprawdzie 50 proc. PKB to eksport, ale reszta to popyt wewnętrzny. Nadal nie jest to tak jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie ponad 80 proc. to popyt wewnętrzny, ale dla nas to naprawdę olbrzymia część gospodarki.

A kiedy powinniśmy się przestraszyć, jeśli chodzi o poziom zadłużenia państwa?

Teoretycznie to już jest niebezpiecznie. Rząd całkowicie świadomie i nie bojąc się, mówi, że w tym roku przekroczymy próg zadłużenia 60 proc. PKB liczonego według metodologii europejskiej, a w przyszłym roku będzie to już ok. 65 proc. Według naszej polskiej metodologii będzie to poniżej 55 proc., w związku z tym do progu konstytucyjnego 60 proc. jeszcze kawałek zostanie. Tylko że wszyscy wiemy, i rząd też to wie, że przekraczamy już poziom zapisany w konstytucji. Dlatego właśnie dane liczbowe podawane są w ujęciu eurostatowskim. Należałoby w związku z tym coś z tym poziomem wreszcie zrobić: albo go usunąć, albo go przesunąć, np. na 100 proc. Do tej dyskusji kiedyś dojdzie. Na razie pan premier powiedział, że nie chce tego zmieniać, mimo że z Ministerstwa Finansów płynęły wyraźne sygnały, iż ministrowie Tadeusz Kościński i Piotr Patkowski chcą na ten temat mocno dyskutować.

Jest to mimo wszystko dość groźne, bo jeżeli usuniemy ten bezpiecznik w konstytucji, to wówczas politycy mogą zacząć się licytować na zasadzie, kto da więcej. Niestety, zadłużenie może zacząć lawinowo przyrastać. Tak się właśnie zadłużała Grecja: w latach 70. miała zadłużenie na poziomie 25 proc. PKB. Potem dwie główne partie zaczęły się licytować na prezenty dla ludności i zrobiło się w ciągu 25 lat zadłużenie w wysokości 100 proc. PKB, a potem wiadomo już, co było dalej. My na tle innych krajów jesteśmy krajem o umiarkowanym zadłużeniu. To jest plus, ponieważ toniemy w morzu długu, który ciągnąją inni. Na przykład w Niemczech dług to ponad 80 proc. PKB, w USA – ponad 100 proc., a we Włoszech – ponad 150 proc. Jesteśmy więc na tym tle średniakami. Nie jesteśmy Szwedami, którzy zwiększyli zadłużenie z 35 proc. do 45 proc.,

więc to prawie w ogóle nie jest zadłużenie. Powtórzę: plusem jest to, że wszyscy dookoła są tak bardzo zadłużeni, iż na nasze zadłużenie nikt nie zwraca uwagi.

Groźne w długiej perspektywie czasowej jest to, że jeżeli nowego, świeżo drukowanego pieniądza jest coraz więcej i ludzie widzą, że bank centralny dopisuje sobie zera do rachunku, wówczas pieniądz robi się coraz tańszy. Gdy zniknie wiara w papierowy pieniądz, może być piękna katastrofa, np. hiperinflacja. Ale są to oczywiście odległe obawy.

Jak odbudować gospodarkę po obecnym kryzysie?

Jeżeli pandemia skończy się metodą „szczepionka plus leki”, a moim zdaniem stanie się to w najgorszym wypadku w połowie przyszłego roku, to gospodarka nie będzie martwa i sama odżyje. Obawiam się tylko, że powrót do normalności może przypominać kształtem literę „K”. Najpierw mamy duży spadek, a następnie część branż idzie do góry, a część zalicza spadek. Jest to chyba najbardziej prawdopodobny scenariusz i nawet go już widać. Na przykład w Stanach Zjednoczonych, obserwując wydatki i inwestycje, dostrzec można, że najbogatsi zyskali najbardziej, a najbiedniejsi są najbardziej poszkodowani. Pewne branże idą do góry, jak np. informatyczna czy technologiczna, a inne branże, jak np. turystyka, hotelarstwo, branża eventowa, kultura, idą w dół. Ten rozjazd będzie niestety nam towarzyszył. Jak to uratować? Na ten moment nie mam pojęcia.

Może obniżyć podatki?

Jest to klasyczne działanie. Tylko że jeżeli część gospodarki będzie rzeczywiście w stanie się wygrzebać, a część nie, to niższe podatki pomogą jedynie tym, którzy poszli do góry. Co komuś pomogą niskie podatki, jeśli jest na stałym bezrobociu od, powiedzmy, dwóch lat? Nic. Chyba nie tędy droga. Mówię „niestety”, bo trzeba chyba do tego zaprząć polityków. Niestety, musi tu być aktywna rola państwa, czyli jakiś keynesizm w nowym wydaniu lub jakiś new deal rooseveltowski, który pozwoli zrestartować gospodarkę, wytworzyć bardziej stałe miejsca pracy o umiarkowanych zarobkach i wtedy gospodarka sama odżyje.

Które działy gospodarki należałoby więc szczególnie wesprzeć, żeby pociągnęły całą resztę?

Nie ulega wątpliwości, że pewne branże radzą sobie doskonale bez żadnej pomocy.

Na pewno nie wstrzykiwałbym pieniędzy w Allegro czy Google. Trzeba pomagać tym, którzy też dźwigają część wzrostu gospodarczego, ale bez tej pomocy mogą mieć poważne kłopoty, np. turystyce, branży hotelowej, kulturze. Chciałoby się oczywiście wydać na kulturę mniej, bo inni potrzebują bardziej, ale bez kultury my też zginiemy.

I przede wszystkim, o czym mówię od bardzo dawna, powinniśmy te 40 mld zł z programu „500+” przeznaczyć na służbę zdrowia – byłoby dzisiaj jak znalazł. Musimy dokonać potężnych inwestycji w służbę zdrowia. Nie może być tak jak w tej chwili, że mamy wieloletnie zaniedbania. Potrzebne są kolosalne pieniądze. Jeżeli będziemy zdrowsi, jeżeli będziemy mieli dobrą ochronę zdrowia, to cała gospodarka będzie miała wtedy lepiej, bo wtedy część środków zostanie wręcz oszczędzona dzięki tym wydatkom. I to by była prawdziwa inwestycja.

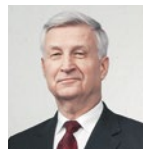
Na całym świecie przybyła ostatnio ogromna ilość długu. Czy on jest jeszcze w ogóle do spłacenia?

Główna ekonomistka Banku Światowego Carmen Reinhart powiedziała niedawno, że największą nadzieją dla świata jest darowanie długów. Ja sobie trochę tego nie wyobrażam. Ale gdyby przyszedł jakiś potężny kryzys; nie to, co jest obecnie, bo to jest tylko kryzysik, to trzeba pamiętać, że reformy najlepiej robi się w formie szoku, co zresztą opisała Naomi Klein. Nie wykluczam, że przyjdzie taka katastrofa, iż trzeba będzie 50 proc. długu spisać na straty.

Naprawdę to tylko „kryzysik”?

Śmiem twierdzić, że to nie będzie trwało 10 lat, tylko półtora roku, i nie zawali to do końca gospodarki. Rządy będą się bały robić ponownych lockdownów. Świat w tej chwili udaje, że tego nie robi, ale poszedł drogą bardziej niż szwedzką. Przy czym ludziom wydaje się, że Szwedzi nie zastosowali żadnych środków ostrożności. To nieprawda, w Szwecji w dalszym ciągu obowiązuje ograniczenie zebrań do 50 osób. Środki ostrożności obowiązywały, lecz bez nakładania drastycznych ograniczeń i lockdownów. Jak widać, świat poszedł właśnie tą drogą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Kuczyński

– ekonomista i analityk rynku finansowego.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Korona
fiction

Nie wiem, jak wielu mieszkańcom bogatej Europy, w tym jak wielu Polakom – spośród tych, którzy rządzą, i tych, którzy są rządzeni – wydaje się, że tak jak do tej pory zachowujemy się w związku z COVID-19, będziemy mogli się zachowywać właściwie bez końca, a na pewno jeszcze całymi miesiącami albo i latami („bo przecież można zdalnie uczyć się i pracować, a nawet się leczyć”), i to bez obawy o utratę pracy – wskutek bankructwa firmy, w której pracujemy, i bez obawy o bankructwo państwa, którego jesteśmy obywatelem. A także bez obawy o swe zdrowie w dobie dyktatu zdalnej medycyny. A zatem nie wiem, jak wielu z nas wydaje się, że można ten pełzający, chaotyczny lockdown ciągnąć w nieskończoność, a już na pewno, że da się tak – bez negatywnych konsekwencji dla siebie – przeczekać do wiosny 2021 r. albo i 2022 r., z przerwą na lato 2021 r., lecz mam wrażenie, że jest ich niemało, i niewykluczone, że ich liczba rośnie.

Zresztą, jak miałyby być inaczej, skoro władze – w tym władze Polski – nieustannie umacniają w obywatelach swych państw to z gruntu fałszywe przekonanie? Skoro dowodzą, że państwo (czyli podatnicy – ze swoich podatków) mogą bez końca finansować pozamykane restauracje, sklepy, kina itd., i że po antykryzysowych tarcach 01, 02, 03, bez kłopotu, jeśli tylko będzie trzeba,

mogą się pojawić kolejne: 04, 05, 06 itd.? Skoro uspokajają, że obecny stan rzeczy nie wymaga nawet rezygnacji z takich ekstrawagancji jak – w przypadku Polski – dodatek „500+” na każde dziecko bez progu dochodowego albo 13. i 14. emerytura?

A z kolei władze postępują tak, bo – uśpione bajką o cudownej szczepionce? – nie zdołały na czas przygotować służby zdrowia do pracy w nowych warunkach – z powracającymi falami koronawirusa, na podobieństwo fal wirusa grypy? Bo nie zdołały na czas kupić tylu aparatów tlenowych, ilu potrzeba i wyszkolić odpowiedniej liczby ratowników medycznych? Bo nie zdołały na czas przygotować się do szybkiego postawienia szpitali polowych i izolatorów? A nawet – w przypadku Polski – na czas uchwalić niezbędnych aktów prawnych, w tym niebudzącego wątpliwości przepisu w sprawie obowiązku noszenia maseczek? Czyli nie potrafiły zrobić tego, co chyba nie było ponad siły rządów ani ponad finansowe możliwości państw bogatej Europy i nie aż tak znów przecież dziś biednej Polski?

A może się mylę – może jednak nie dało się tego zrobić w kilka miesięcy, które dzieliły pierwszą falę COVID-19 od drugiej? Na pewno jednak dało się nie faserować nas w tym czasie szkodliwymi bajkami o tym, że wskutek takich jak obecne metod walki z COVID-19 nie grozi nam bankructwo firm, w których pracujemy, i naszego państwa. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wróg wewnątrz
Kościoła

Kościół przetrwał takie burze dziejowe, że jego dzisiejsze problemy mogą się przy nich wydawać znikome. Byli i antypapież, i niewola awiniońska, i brutalna walka o inwestyturę, i reformacja, i wreszcie ruchy rewolucyjne, od rewolucji francuskiej począwszy, na komunizmie zaś skończywszy. Kościół był atakowany, szarpany, gnębiony i niszczone. Było męczeństwo księży i sióstr mordowanych przez republikanów podczas hiszpańskiej wojny domowej, było internowanie kard. Wyszyńskiego w Polsce, było przymusowe 15-letnie zamknięcie kard. Józsefa Mindszentyego w amerykańskiej ambasadzie w Budapeszcie. Duchowni ginęli w gułagach, niemieckich obozach koncentracyjnych, wietnamskich obozach jenieckich. Byli też kuszeni do zdrady. Mimo wszystko Kościół trwał.

A jednak pocieszenie się w ten sposób byłoby nieroztropne. Być może Kościół nie przetrwałby kolejnych burz, gdyby jego członkowie, w tym członkowie jego hierarchii, nie starali się ze wszystkich sił walczyć i naprawiać sytuacji. Kto wie na przykład, czy reformacja nie oznaczałaby znacznie poważniejszych kłopotów dla Kościoła, gdyby nie powstał zakon jezuitów, specjalnie przygotowany do walki z nią.

Patrząc dzisiaj na polski Kościół hierarchiczny, można spytać nie tylko, czy jest w nim wola zmierzenia się z trudnościami prawdopodobnie największymi od

1989 r., lecz także czy w ogóle kościelna hierarchia sobie te trudności w pełni uświadamia. Słuchając wypowiedzi niektórych biskupów, można odnieść wrażenie, że nie.

Czy w polskim Kościele hierarchicznym jest wola zmierzenia się z trudnościami prawdopodobnie największymi od 1989 r.?

Wśród ludzi należących do Kościoła lub po prostu uznających, że jego rola w polskim życiu publicznym jest bardzo ważna, widoczne są dzisiaj dwie postawy. Jedna to okopanie się na swoich pozycjach i głoszenie poglądu, że wobec ataków trzeba się utwardzić. Druga to twierdzenie, że jedynym sposobem na wygranie tej wojny jest ucieczka do przodu zamiast czekania, aż na jaw będą wychodzić kolejne, coraz bardziej wstrząsające rewelacje. Ci drudzy twierdzą, że tak naprawdę wróg nie znajduje się na zewnątrz, ale wewnątrz i tam trzeba go szukać. Owszem, roztropnie, sprawdzając podsuwane przez media rewelacje, weryfikując sensacyjne historie, ale nie udając też, że nic złego się nie dzieje.

Zaliczam się zdecydowanie do tej drugiej grupy. Biskupi zaś powinni pamiętać, że czas nie jest tutaj ich sojusznikiem. ©©

Warto dać Polakom okazję do dobrych inwestycji



Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Miliony Polaków trzymają swoje oszczędności w bankach, gdzie realnie tracą one na wartości. Obecnie zarówno przedsiębiorstwa, jak i gospodarstwa domowe ulokowały tam kwotę przekraczającą 1,3 bln zł. To pieniądze, które można zmobilizować do rozwoju naszego kraju.

W obecnej sytuacji należy po pierwsze przygotować, a po drugie zaprezentować opinii publicznej narodowy plan odbudowy gospodarki po pandemii koronawirusa. Plan ten powinien składać się z odważnych projektów związanych z rozbudową infrastruktury komunikacyjnej i energetycznej. A zaangażowani w jego realizację – wszyscy zainteresowani obywatele. To powinien być dokument o charakterze krajowym, niezależny od tego, czy swoje programy

uruchomi, czy nie uruchomi Unia Europejska. A wiele wskazuje na to, że nawet jeśli je uruchomi, to nasz udział w nich może być ograniczony, bo przecież ktoś może uznać, że kiepsko u nas z praworządnością.

Zamiast kisić pieniądze na nieopłacalnych bankowych kontach lub wyszukiwać ryzykowane inwestycje dające niepewną stopę zwrotu, Polacy powinni móc zainwestować w swój kraj. A państwo ma obowiązek im to umożliwić. W ciągu ostatnich pięciu lat wysokość środków zakumulowanych w bankach wzrosła w Polsce o niemal połowę. Innymi słowy – przedsiębiorstwa i gospodarstwa domowe powiększyły tę pulę o blisko pół biliona złotych, i to wszystko działo się przy niskich, a obecnie

ekstremalnie niskich stopach procentowych. Polacy niezbyt chętnie inwestowali w tym czasie na rodzimej giełdzie, za to na pniu rozchodziły się obligacje skarbowe oferowane inwestorom indywidualnym.

To zainteresowanie warto wykorzystać, zwiększając podaż tego typu papierów, które finansować mogłyby najważniejsze inwestycje prorozwojowe. I nie chodzi mi wyłącznie o obligacje skarbowe, ale także o dług, który mogłyby wypuszczać podmioty związane z państwem, np. spółki będące w jego rękach. Oferta dotyczyłaby konkretnych projektów, a wypłacalność obligacji byłaby gwarantowana przez Skarb Państwa. Taką rolę mogłyby pełnić obligacje rozwojowe, czyli instrumenty finansowe, których nabywanie wiązałoby się z preferencjami podatkowymi, tak aby jeszcze zachęcić do ich nabywania, nominowane w złotych i skierowane do rezydentów, czyli tych podmiotów, które miejsce zamieszkania lub siedzibę mają w Polsce.

Obecnie w Unii trwają ustalenia, na jakich zasadach ma być udzielana pomoc dla państw członkowskich, ze wzmiankowaną już dyskusją na temat praworządności w tle. Nie ma co tracić czasu na rezultaty tych debat, tylko myśleć o tym, co możemy zrobić, aby umiejętnie pomóc samym sobie. Już teraz.

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

TEST „DO RZECZY”: SONY XPERIA 5 II

Bardzo dobre aparaty fotograficzne z obiektywami Zeissa, piękny wyświetlacz OLED, moduł 5G oraz niezła wydajność – to największe zalety kompaktowego flagowca japońskiej marki Sony.

Sony Xperia 5 II jest mniejszą i tańszą wersją modelu Xperia 1 II (aby połączyć się w logice japońskiego nazewnictwa, trzeba mieć doktorat z fizyki jądrowej).

Model zaszklakowany jako „kompaktowy” mierzy 15,8 x 6,8 x 0,8 cm. Jest więc węższy i zdecydowanie bardziej poręczny od wielu dzisiejszych flagowców. Waży zaledwie 163 g i nadaje się do obsługi jedną ręką. Do tego obudowa jest odporna na pył i wodę (zgodnie z normą IP68).

Na pochwałę zasługuje również wyświetlacz CinemaWide wykonany w technologii OLED o przekątnej 6,1 cala i o proporcjach 21:9. Spodobać może się zarówno rozdzielczość 2520 x 1080, jak i częstotliwość odświeżania (można ustawić nawet 120 Hz, choć takie ustawienie skraca, rzecz jasna, czas pracy na baterii). A co z jakością? Wystarczy w ustawieniach jakości obrazu wybrać oparty na technologii CineAlta „tryb twórcy”, aby móc podziwiać naprawdę fantastyczne kolory oraz piękną czarną czerń.

Miłośnicy cyfrowej fotografii docenią też jakość fotografii. Aplikacje Photo Pro oraz Cinema Pro mają za zadanie odtworzyć na ekranie smartfona funkcjonalność pełnowymiarowych aparatów i kamer firmy Sony. W Photo Pro dostępne są więc tryby P (auto), S (priorytet

szybkości migawki) oraz M (gdzie wszystkie parametry ustawia się samodzielnie). Bardzo pomocny w robieniu zdjęć jest też fizyczny przycisk, czyli dwustopniowy spust migawki (niestety umieszczony zbyt blisko innego przycisku, wywołującego asystenta Google).

Przy wykorzystaniu aplikacji Photo Pro za dnia można zrobić naprawdę bardzo dobre zdjęcia. Do dyspozycji są trzy aparaty z matrycami 12 Mpix: główny z obiektywem o jasności f/1.7, szerokokątny (f/2.2) oraz teleobiektyw (f/2.4). Fotografować można zaś z szybkością do 20 kl./s.

Po zmroku jest co najwyżej OK, ale konkurencja w tej kategorii radzi sobie o niebo lepiej.

Jeśli chodzi o wydajność, to nie ma powodów do narzekania. Pod obudową umieszczono procesor Snapdragon 865, 8 GB pamięci RAM i 128 GB na dane (z czego użytkownik ma do dyspozycji 109 GB). Wszystko działa szybko i sprawnie, dzięki czemu bez oporów można

odpalać na tym soniaczu nawet najnowsze mobilne gry. Bez zarzutów działa także czytnik linii papilarnych.

Akumulator o pojemności 4000 mAh wystarcza na jeden dzień pracy z dala od gniazdka.

A wady? Po pierwsze, autofocus Eye AF mógłby działać nieco szybciej. Po drugie, maksymalna jasność mogłaby być większa. A po trzecie, osoby, które do tej pory korzystały z iPhone’a czy z innych marek z Androidem, początkowo mogą mieć problem z przystosowaniem się do rozmieszczenia przycisków, a zwłaszcza do umieszczonego z boku skanera linii papilarnych. Minusem może być też brak możliwości ładowania bezprzewodowego, a także to, że w przeciwieństwie do chińskich konkurentów do smartfona za 4 tys. zł trzeba dokupić nie tylko etui, lecz także nawet słuchawki (w zestawie nie ma nawet najtańszych pchełek) – na szczęście jest jednak klasyczny jack 3,5 mm, więc można bez trudu podłączyć dowolne słuchawki.

Mimo tych wad Xperia 5 II to jeden z najlepszych smartfonów, które Sony wypuściło na rynek w ostatnich latach. Testowany model może spodobać się miłośnikom cyfrowej fotografii i filmów kręconych smartfonami oraz zapalonym graczom. Cena: 3999 zł. © © **Jacek Przybylski**



KOMPUTER UKRYTY W KLAWIATURZE

Raspberry Pi 400 już 40-letnim „dinozaurem” przywodzi na myśl takie cuda techniki lat 90. jak Atari, Amiga, Commodore 64 czy ZX Spectrum. Nowy komputer osobisty ma jednak nieporównywalnie lepsze podzespoły. W obudowie o wymiarach 28,6 x 12,2 x 2,3 cm ukryte są czterordzeniowy procesor Broadcom BCM2711, 4 GB pamięci RAM, moduły Wi-Fi oraz Bluetooth, a także zestaw niezbędnych portów z micro HDMI, USB-C, USB 3.0, USB 2.0, wejście Gigabit Ethernet oraz slot na kartę microSD z opartym na Linuxie systemem operacyjnym. Taki komputer po podłączeniu do monitora lub telewizora oraz po dodaniu myszki powinien pozwolić nie tylko na edycję dokumentów czy wprowadzenie cyferek do Excela, lecz także na



sprawnie przeglądanie sieci, oglądanie filmów etc. Gadżet w kompletnej wersji – z myszką, kartą SD i kablem HDMI – kosztuje 100 dol., czyli równowartość ok. 400 zł.



TELEWIZOR ZWIJANY W RULON

Do azjatyckich sklepów trafił LG Signature OLED R – pierwszy na świecie telewizor, który można zwinąć w rulon. Producent z Korei Południowej prototypowy egzemplarz pokazał światu na początku 2019 r., a w ostatnich dniach wprowadził nowy model do regularnej sprzedaży. Gdy niczego się nie ogląda, wystarczy nacisnąć przycisk, aby cały 65-calowy panel OLED o rozdzielczości 4K grzecznie zwinął się w rulon lub aby zwinął się tylko częściowo i wyświetlał czas, powiadomienia czy informacje o odtwarzanej muzyce. Gadżet robi wrażenie, ale najbardziej „zwinia” jego cena, która wynosi obecnie 87 tys. dol. (równowartość 340 tys. zł). © © **Jacek Przybylski**

Czas na ekspansję 2.0.

Polska branża rolno-spożywcza należała w mijającej dekadzie do najszybciej rosnących w całej Unii Europejskiej, a nasz kraj zalicza się obecnie w tym obszarze do europejskich potentatów.

Głównym motorem napędowym sektora był w tym okresie eksport (wzrost o blisko 10 proc. średniorocznie), który aż w dwóch trzecich skierowany był na rynki Europy Zachodniej. Polska jest m.in. unijnym liderem produkcji mięsa drobiowego, mrożonek owocowych czy pieczarek. W przypadku soku jabłkowego zajmujemy drugie miejsce, a trzecie w produkcji mrożonek warzywnych.

– W latach 2010–2019 wolumen produkcji spożywczej rósł w Polsce najszybciej spośród wszystkich państw Unii Europejskiej. Czynnikiem zapewniającym wzrost eksportu była wysoka konkurencyjność kosztowa naszych produktów. Przewagi te pozwalały na skuteczny wzrost wolumenu, który jednak – zwłaszcza w ostatnich latach – odbywał się wyraźnym kosztem marż z działalności – mówi Paweł Kowalski z Banku Pekao SA, współautor raportu.

ZMIANA PODEJŚCIA DO BIZNESU

Sytuacji polskich przetwórców żywności znacząco nie pogorszyła również pierwsza fala pandemii COVID-19. Branża jako całość odnotowała w pierwszej połowie roku stabilny poziom produkcji (w tym silne wzrosty w niektórych kategoriach żywności trwałej), wzrost wartości eksportu o 7 proc. r/r (spadek eksportu do państw UE udało się zrekomensować silniejszą sprzedażą do krajów trzecich) oraz



FOT. ADRIAN STOK

Jesienna eskalacja epidemii koronawirusa może wyhamować dynamiczny rozwój polskiego przemysłu rolno-spożywczego – zauważają analitycy Banku Pekao SA.

poprawę wyniku netto firm aż o 20 proc. r/r.

Nie wszystkie segmenty branży przechodzą jednak przez kryzys wywołany koronawirusem obronną ręką: silny spadek popytu sektora gastronomicznego oraz utrudnienia w transporcie (zwłaszcza międzynarodowym) przełożyły się na spadki sprzedaży i cen niektórych kluczowych kategorii produktowych, w tym m.in. mięsa drobiowego czy napojów. Jesienne nasilenie epidemii jest zaś źródłem bardzo poważnej niepewności, jeśli chodzi o najbliższe perspektywy.

Nie tylko pandemia stanowi zagrożenie dla utrzymania dynamicznego rozwoju branży. Eksperti Departamentu Analiz Makroekonomicznych Banku Pekao SA zauważają, że polski rynek żywności jest już dość mocno nasycony. Rozwój sektora będzie więc w dalszym ciągu uzależniony głównie od możliwości zwiększania eksportu. Niestety, prognozy dla zachodnioeuropejskiego rynku żywności również nie napawają optymizmem. Oczekuje się, że w najbliższej dekadzie nastąpi na nim znaczące spowolnienie

wzrostu konsumpcji produktów spożywczych. Najbardziej realnym scenariuszem dla krajów „starej Unii” jest długotrwała stagnacja.

Zdaniem ekspertów banku utrzymanie dynamicznej ścieżki wzrostu będzie więc wymagało zmiany podejścia do prowadzonego biznesu, stanowiącej odpowiedź na nieuchronny dalszy wzrost presji kosztowej oraz zaostrzającą się konkurencję na kluczowych rynkach eksportowych.

WYDAJNOŚĆ I NOWE RYNKI

Eksperti banku twierdzą, że w takich okolicznościach w najbliższych latach polska branża rolno-spożywcza musi zapewnić sobie inne motory wzrostu wartości. Powinny być nimi działania zmierzające do poprawy wydajności i marżowości (np. inwestycje w umaszynowanie czy optymalizacja zatrudnienia), rozwój produkcji o wyższej wartości dodanej (w tym zagospodarowanie atrakcyjnych nisz rynkowych, takich jak np. segment żywności organicznej) czy też wzmocnienie własnych marek w celu zwiększenia ich

międzynarodowej rozpoznawalności.

Zdaniem analityków Banku Pekao SA trudności z dostosowaniem do nowych warunków odczuwać będzie rosnąca liczba firm. Prawdopodobna jest więc przyspieszona konsolidacja wielu obszarów sektora spożywczego.

Według ekspertów banku równoległym kierunkiem działań powinno być poszukiwanie nowej sprzedaży. Niski na tle UE udział państw trzecich w polskim eksporcie żywności sugeruje znaczny, niewykorzystywany potencjał w tym zakresie. Choć rynki pozaunijne charakteryzują się wysokim potencjałem rozwojowym, to wiążą się również ze znacznie większymi barierami wejścia dla polskich producentów. – Eksport poza Unię wiąże się z konkurencją na globalnym rynku. Prym wiodą tam światowe potęgi w produkcji spożywczej, takie jak USA czy Brazylia. Bez unijnych ceł ochronnych oraz kwot importowych polskie produkty często przegrywają na nich rywalizację cenową. Barierami są też często ograniczona wiedza na temat odległych rynków oraz wciąż słabo rozwinięte relacje bilateralne na szczeblu rządowym – podkreśla Krzysztof Mrówczyński, kierujący analizami sektorowymi w Departamencie Analiz Makroekonomicznych Banku Pekao SA.

Autorzy raportu zwracają więc uwagę, że na poprawę sytuacji polskich firm na rynkach trzecich może wpłynąć zwiększone i skoordynowane wsparcie systemowe dla eksporterów, polegające na rozwoju relacji handlowych, ale też wsparciu państwa oraz ściślejszej współpracy pomiędzy firmami z sektora.



Katarzyna Pinkosz

Przepisy administracyjne powodują, że lekarze przerywają stosowanie leczenia u pacjentów, choć wiedzą, że spowoduje to pogorszenie stanu ich zdrowia. Gdy system ochrony zdrowia jest przeciążony epidemią COVID, czas, by te przepisy zmienić

Wyniszczające ciągłe biegunki (nawet 10 i więcej wypróżnień dziennie), bóle brzucha, osłabienie, stany podgorączkowe, wymioty, chudnięcie prowadzące do wyniszczenia: to objawy nieswoistych chorób zapalnych jelit – wrzodziejącego zapalenia jelita grubego i choroby Leśniowskiego-Crohna. W Polsce choruje na nie ok. 50 tys. osób. – Spektrum objawów i ich ciężkości jest ogromne, choroba ma różne postaci, od bardzo łagodnych do wymagających nawet natychmiastowego pobytu w szpitalu – mówi prof. Jarosław Reguła, krajowy konsultant w dziedzinie gastroenterologii, kierownik Kliniki Gastroenterologii Onkologicznej Narodowego Centrum Onkologii-Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie. U osób najciężiej chorujących mogą pojawiać się powikłania, np. w postaci owrzodzeń, ropni, przetok, krwawień w przewodzie pokarmowym. – Miałam po 10–12 wypróżnień dziennie, ciągle wymiotowałam, a ból brzucha w okolicach śledziony i wątroby był tak silny, że nie byłam w stanie jeść. Z 65 kg schudłam do 48 kg, w jelitach pojawiły się ropień i przetoka, która musiała być operowana. Choroba Leśniowskiego-Crohna odziera z godności – opowiada Marta, która zachorowała jako 19-latką.

TERAPIE KLASYCZNE I BIOLOGICZNE

Nieswoiste choroby zapalne jelit to choroby autoimmunologiczne, przyczyna ich pojawienia się nie jest znana. Najczęściej atakują osoby młode, na starcie dorosłego życia. – W polskim rejestrze choroby Leśniowskiego-Crohna 70 proc. pacjentów w momencie rozpoznania choroby jest poniżej 35. roku życia, a jedną czwartą stanowią dzieci



FOT. ADRIAN STOK

Nie przerywajmy leczenia

do 18. roku życia. Zdecydowana większość pacjentów to młode osoby, stojące przed wyborem studiów, pracy, decyzji o założeniu rodziny. Chcą się rozwijać, mają plany życiowe. Powinny być jak najlepiej leczone, bo ma to wpływ na całe ich życie – potwierdza prof. Grażyna Rydzewska, prezes Polskiego Towarzystwa Gastrologii, kierownik Kliniki Gastroenterologii z Pododdziałem Leczenia NZJ, CSK MSWiA.

Zarówno wrzodziejące zapalenie jelita grubego, jak i choroba Leśniowskiego-Crohna to choroby na całe życie. Medycyna nie potrafi ich wyleczyć, jednak u ponad 90 proc. pacjentów udaje się je kontrolować dzięki stosowaniu leków przeciwzapalnych, okresowo sterydo-

wych oraz immunosupresyjnych. U części osób choroba ma jednak ciężki przebieg i takie postępowanie nie wystarcza. Dla nich ratunkiem są terapie biologiczne. – Około 5–10 proc. pacjentów, czyli w Polsce ok. 2,5–5 tys., będzie wymagać leczenia biologicznego – potwierdza prof. Jarosław Reguła.

PODAWANIE, ODSTAWIANIE

Dla wielu pacjentów z najcięższym przebiegiem choroby leczenie biologiczne jest wybawieniem. Mogą uwolnić się od biegunek, bólu, wrócić do normalnego życia: studiować, pracować, zakładać rodziny.

W Polsce leczenie biologiczne odbywa się w ramach tzw. programów lekowych:



Tymczasem musimy je odstawić, a potem czekać, aż pojawi się wznowa choroby i stan pacjenta się pogorszy. Dopiero wtedy możemy go powtórnie zakwalifikować do programu, znów, w zależności od leku, maksymalnie na rok albo na dwa lata – tłumaczy prof. Reguła.

Medycznie takie postępowanie to błąd i narażanie pacjenta na powikłania. Zdarza się, że stan pacjenta ulega dużemu pogorszeniu, w przewodzie pokarmowym pojawiają się przetoki, owrzodzenia, może dojść do krwawienia, konieczności przeprowadzenia operacji, wyłonięcia stomii. – Niektórzy pacjenci mają nawrót choroby już w ciągu kilku tygodni, niektórzy po kilku miesiącach, jednak on wcześniej czy później nastąpi. Takie podawanie i odstawianie leków to ryzykowane balansowanie, które naraża pacjenta na ryzyko utraty zdrowia, a nawet zgon – dodaje prof. Jarosław Reguła.

Profesor Grażyna Rydzewska zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt: po powtórным włączeniu leku może on już nie być skuteczny. – Organizm wytwarza przeciwciała i gdy włączymy terapię po raz drugi, może ona już nie zadziałać. Jedynym wyjściem będzie wtedy zaproponowanie kolejnej terapii biologicznej, jednak mamy tylko kilka leków, a choroba jest na całe życie. W ten sposób w pewnym momencie nie będziemy mieć już pacjentowi nic do zaproponowania – mówi prof. Rydzewska.

Momentu zakończenia terapii bardzo boją się pacjenci. – Siedzę jak na tykającej bombie, za każdym razem, gdy mam odstawiane leczenie, bardzo źle się czuję. Choruję od dziewięciu lat, w tym czasie byłam sześć razy na leczeniu biologicznym, najdłuższa remisja po odstawieniu terapii wynosiła osiem miesięcy, ale zdarzał mi się nawrót choroby po trzech miesiącach. Teraz znów się obawiam, że ten cały ten koszmar wróci – opowiada Marta.

– To jest tak, jakbyśmy choremu na cukrzycę, który przyjmuje insulinę, odebrali ją po roku, bo była skuteczna. Nie leczymy według wiedzy medycznej i po trzech pacjentów – mówi prof. Rydzewska.

EKONOMICZNIE TO SIĘ NIE OPŁACA

Często wydaje się, że skoro pacjent nie ma objawów choroby, to leczenie można odstawić. Jednak w przypadku leczenia biologicznego w chorobach zapalnych jelit tak nie jest. – Terapia powinna być

przerywana tylko wówczas, gdy pojawia się zaostrzenie, co pokazuje, że przestała działać albo pojawiły się jej skutki uboczne – przekonuje prof. Reguła.

Huśtawka z podawaniem i odstawianiem leków jest też ekonomicznie nieoptymalna, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę tzw. koszty społeczne, czyli to, że nieskutecznie leczony pacjent nie może pracować, normalnie funkcjonować, a często wymaga opieki innych. – Podobną sytuację mieliśmy w stwardnieniu rozsianym (SM): również kryteria administracyjne ograniczały w Polsce możliwość stosowania terapii, co generowało nie tylko pogorszenie zdrowia, lecz także skutki społeczne: pacjenci musieli rezygnować z pracy, korzystali ze zwolnień lekarskich, przechodzili na renty. Jednak w SM zmieniono przepisy i czas leczenia postawiono do decyzji lekarzy. W efekcie nie tylko poprawiły się wyniki leczenia, lecz także zmniejszyły się koszty pośrednie. Polski system opieki zdrowotnej ma dowody, że takie sztuczne ograniczenia czasowe w dostępie do terapii nie są ani korzystne, ani efektywne ekonomicznie. Nie ma ani jednego argumentu, by ten stan utrzymywać – przekonuje dr n. ekonom. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania Uczelni Łazarskiego. Jej zdaniem szczególnie teraz, gdy system ochrony zdrowia jest i tak przeciążony skutkami epidemii COVID-19, trzeba zrobić wszystko, by odciążyć szpitale i nie narażać innych grup pacjentów na ryzyko pogorszenia stanu zdrowia.

O zmiany w programach lekowych apelują też pacjenci. – Pozbawieni leczenia jesteśmy skazani na ból, wstyd, upokorzenie, szpitalne łóżko, operacje, wykluczenie społeczne – mówi Marta, która marzy o tym, by móc dostawać leczenie dopóty, dopóki jest ono skuteczne. – Nie wszystkich pacjentów udaje nam się leczyć efektywnie, medycyna ma swoje ograniczenia. Jednak oprócz nich mamy kolejne, nakładane przez system. Apelowaliśmy o zmiany, bo wiemy, że gdy tylko odstawimy leczenie, to stan pacjenta może się pogorszyć. Gdyby zrobiło się rzetelną analizę skutków przerywania leczenia, biorąc pod uwagę koszty kolejnych zaostrzeń, hospitalizacji, utraconych dni pracy, to na pewno okazałoby się, że kontynuacja leczenia byłaby ekonomicznie tańsza – przekonuje prof. Grażyna Rydzewska.

pacjenci przyjeżdżają na podanie leku do szpitala. Problemem jest to, że do programu nie jest łatwo się zakwalifikować, trzeba spełnić bardzo ostre kryteria. Drugim problemem jest to, że leczenie – nawet jeśli jest skuteczne – musi zostać po pewnym czasie odstawione. Nie z powodów medycznych, tylko zapisów administracyjnych w programach lekowych.

– Bardzo doceniamy to, że w ostatnich latach niezwykle poprawiła się dostępność do nowych terapii biologicznych: chapeau bas! w stosunku do Ministerstwa Zdrowia. W Polsce mamy dziś możliwość stosowania bardzo nowoczesnych leków. Jeśli chodzi o wybór terapii, to jest on bardzo dobry, natomiast ogromnym problemem są administracyjne ograniczenia czasowe stosowania terapii. Wielokrotnie apelowaliśmy o zmiany – mówi prof. Grażyna Rydzewska.

Pacjenci w Polsce z wrzodziejącym zapaleniem jelita grubego mogą otrzymać lek biologiczny maksymalnie przez rok; w przypadku choroby Leśniowskiego-Crohna dwa leki mogą być stosowane maksymalnie rok, a dwa inne do dwóch lat, mimo że według wskazań medycznych leczenie powinno być kontynuowane przez cały czas. – Jeśli pacjent dobrze się czuje, to znaczy, że leczenie jest skuteczne.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pożytek z lamusa

Porządny dwór – zarówno w XVII, jak i XVIII w. – nie mógł się obejść bez lamusa, czyli niewysokiej, obronnej wieży, zwanej czasem, jak podaje Gloger w „Encyklopedii staropolskiej”:

skarbcem. Często bywał murowany, chociaż źródło słów pochodzi od niemieckiego „lehmhaus”, czyli po prostu dom z gliny. Zwykle oznaczał składnicę i skarbiec zarówno kosztowności, jak i przedmiotów zbytecznych. Na Kresach Wschodnich była to zarazem

ufortyfikowana wieża, ostatnie schronienie w czasie obrony dworskiego fortalicjum.

Jak pisał Władysław Łoziński:

„Każdy zapaśniejszy

szlachcic, choćby jednowioskowy, starał się mieć na domostwie swoim basztę. Taka baszta bywała zazwyczaj drewniana i służyła do obrony”. Przy mniejszych, biedniejszych dworach i dworach budowano zazwyczaj skromne lamusy drewniane, do przechowywania wędlin, zapasów, narzędzi, siodeł i rzemieni. Bardzo często była to budowla podpiwniczona, z podsieniami, z gankami, a czasem nawet z tarasami. Lamus dworski zwany był w prowincjach Rzeczypospolitej bardzo różnie. Maciej Rydel w książce „Jam dwór polski”

podaje, że określano go mianem: kleci, świronka na Litwie, Żmudzi i Podlasiu, świrenia lub – jak wspominaliśmy – skarbczyka.

Pochodzenie tych lamusów jest niezmiernie ciekawe, gdyż wiele z nich było po prostu... dawnymi dworami wieżowymi lub wieżami mieszkalnymi, które – kiedy stały się niewygodne do mieszkania – przekształcano w magazyn, a obok wznoszono okazałe dwory i zameczki. O takim pochodzeniu wspomnianych obiektów pisał np. jeden z najlepszych polskich specjalistów od dworów Leszek Kajzer, powołując się na ciekawe inwentarze folwarków szlacheckich, gdzie często znajdują się opisy, jak to przy dworze, często w parku, znajdował się „lamus z dawnej kamieniczki uczyniony” albo po prostu: „kamienica” czy „kamieniczka”. „Znając z licznych opisów inwentarzowych obiekty zachowane do dziś – podawał autor – wydaje się, że najczęściej można było mieć do czynienia z sytuacją, w której stary dom pański z XVI w. tracił, z reguły w drugiej połowie wieku XVII, swe pierwotne funkcje mieszkalne, stając się najpierw budynkiem pomocniczych o funkcjach gospodarczych, czyli właśnie skarbcem i lamusem, by w XVIII w. zostać już tylko niepotrzebną rudą, wkrótce potem rozebraną na cegłę czy kamień”. Przykład zachowanej tak starej wieży-lamusa mamy w podkrakowskich Branicach, gdzie obok kamiennego dworu obronnego wzniesionego ok. 1600 r. zachował się zbudowany później, na przełomie XVIII i XIX w., potężny dwór klasycystyczny rodziny Badenich, zbudowany wtedy, kiedy mieszkanie w starym lamusie-dworze stało się mało wygodne.

Nie wszystkie lamusy były kiedyś starymi wieżami mieszkalnymi, czasem pełniły inne

funkcje. Maciej Rydel opisuje całą grupę tych budowli, które w pierwszej połowie XVII w. służyły jako... zbory ariańskie. Taki właśnie budynek znajduje się w Ludyni, w powiecie włoszczowskim, zachowany w bardzo dobrym stanie i stojący obok późniejszego, XVIII-wiecznego dworu alkierzowego. Kolejny przykład takiego właśnie lamusa zachował się w Lusławicach na południe od Tarnowa, gdzie znajduje się stary zbór ariański wzniesiony pod koniec XVI w., działał tu zresztą i zmarł Faust Socyn, twórca doktryny braci polskich, pisarz, poeta i teolog, który zmarł tutaj w 1604 r.

Osobna, praktycznie już nieistniejąca grupa lamusów, to takie, które były jednocześnie bramami wjazdowymi na teren całego folwarku lub fortalicjum. Niestety znamy je tylko ze starych rysunków i szkiców, przeważnie z XIX w. Budynek tego typu znajdował się np. na kresach, w Miratyczach koło Nowogródka, i był, jak podaje Maciej Rydel, połączeniem bramy wjazdowej i świronka.

Przez całe wieki lamus tak bardzo złął się z architekturą dworu, że niektóre, niemające oczywiście nic wspólnego z wieżami mieszkalnymi, wznoszono jeszcze w XIX w. jako element budownictwa folwarcznego. Miały one już jednak nieco inną formę – często były czworokątne i bez piętra. Taki właśnie lamus z 1783 r. podziwiać można w Kalinówce Kościelnej na Podlasiu, pod Knyszynem. Jest on szeroki, zaopatrzony w okna na parterze i wprawdzie o jednym piętrze, ale z podcieniami i mało obronny, gdyż powstał w czasach, kiedy od dawna rozwój techniki wojennej uczynił takie obiekty obronne zupełnie nieprzydatnymi. ©©



FOT. WIKIPEDIA



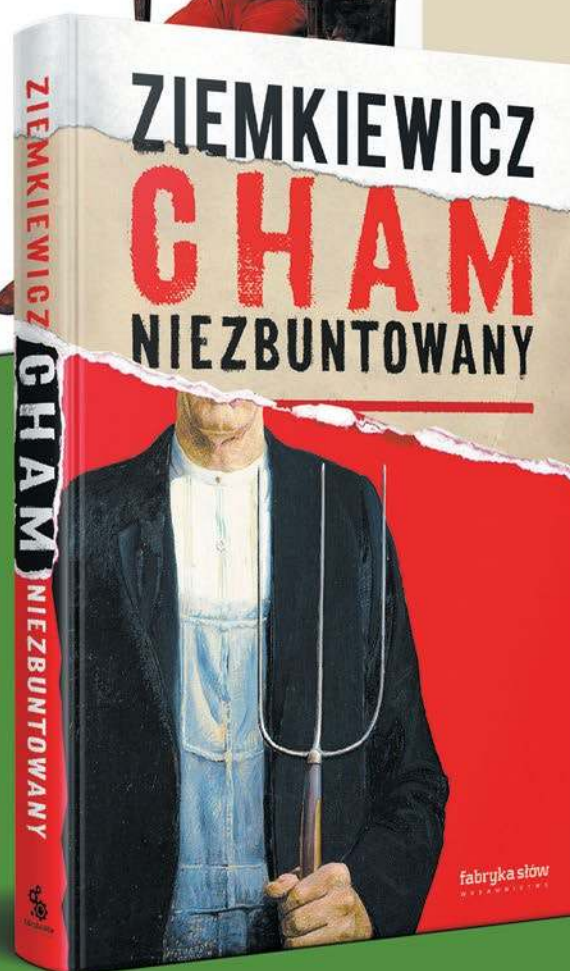
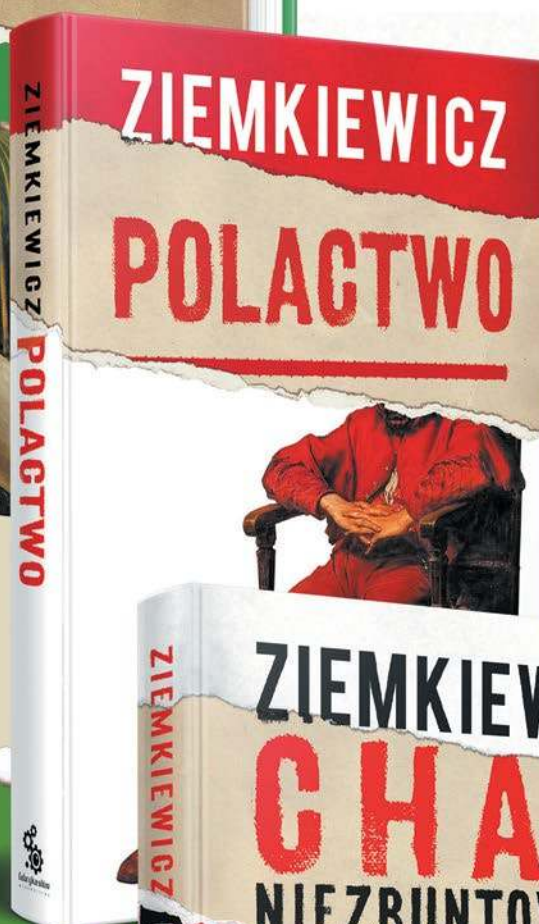
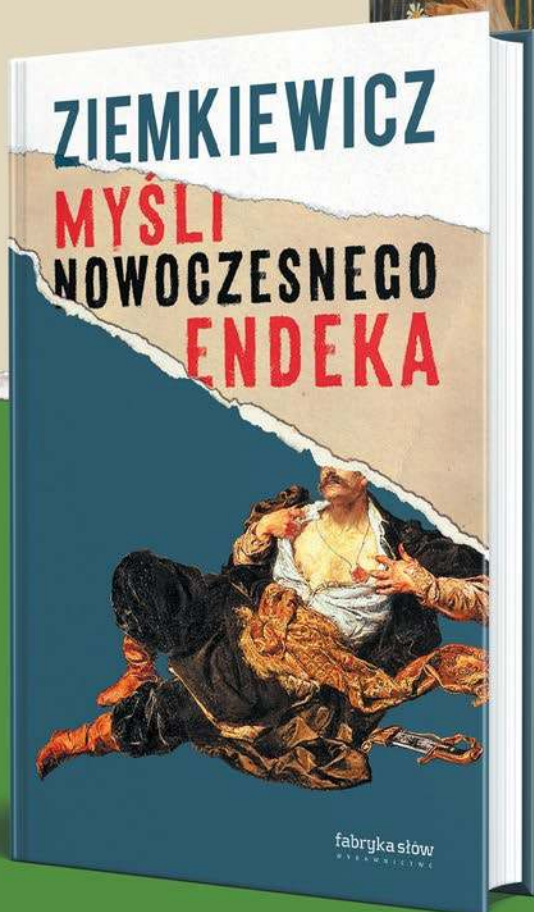
I RZECZYPOSPOLITA

● Branice

Można się
zafascynować
wizją
kreśloną
przez

Rafała A.
Ziemkiewicza.

Można z nią
polemizować lub
zwyczajnie odrzucić.



Zawsze jednak warto ją poznać,
choćby dla punktu odniesienia
do własnych poglądów, dla
określenia własnego miejsca
w Polsce.

KUCHNIĘ Z CYGAŃSKIEGO TABORU WSPOMINA DON VASYL

Cygańską kuchnię kształtował nasz wędrowny tryb życia. W taborze nie było warunków na przygotowywanie dwudaniowych obiadów, nie mogliśmy wozić nadmiaru naczyń, więc jadało się takie dania, które można było wrzucić do jednej miski.

Bardzo popularnym daniem był cygański gulasz. Wrzucało się do niego różne rodzaje mięsa – wołowinę, wieprzowinę, drób – i dużo warzyw, m.in. marchewkę, paprykę, i solidnie doprawiało. Do gulaszu wrzucało się także tzw. rwane kluski (ciasto „rwało się” i wrzucało do wrzątku). Po ugotowaniu mieszało się je z gulaszem, dodawało trochę śmietany i tak powstawało bardzo smaczne i sycące danie. Popularne w taborach były zupy owocowe i zupa szczawiowa, bo o szczaw było bardzo łatwo, wystarczyło go narwać na postojach na jakiejś łące. Cyganki także do niej wrzucały rwane kluski, do tego jajka i sporą ilość śmietany. Pyszne i bardzo sycące!

Bardziej wykwintnym daniem była kura w glinie. Dzisiaj pewnie mało osób pamięta jej smak, jeszcze mniej osób tak przyrządza drób, ale kiedyś to był w taborze rarytas. W gliniastej ziemi wykopywało się dół, do którego wkładało się wypatroszoną, ale nie oskubaną

kurę, zakrywało się gliną, a na tym rozpalało się ognisko. Po upieczeniu pióra łatwo schodziły. Taką kurę oczywiście się nadziewało, np. owocami.

Kuchnia w naszym taborze była bardzo ciekawa, dlatego że był to tabor królewski, składający się z wielu rodzin. Kiedy wybuchały jakieś spory, Cyganie przyjeżdżali do mojego pradziadka, a później do dziadka, żeby je rozsądzał na tzw. sądzie cygańskim. Nie wiem, jak to robili, ale znajdowali nas bez żadnej mapy, zawsze wiedzieli, gdzie aktualnie jesteśmy, mimo że my sami często nie wiedzieliśmy, dokąd zmierzamy ani gdzie dokładnie się znajdujemy. No i kiedy mężczyźni byli zajęci rozwiązywaniem sporów, kobiety brały się do gotowania. I kiedy moja mama zrobiła np. gulasz, ojciec wołał: „Chodźcie, Cyganie, jeść, tylko bierzcie własne łyżki”.

I schodzili się do nas Cyganie, jedliśmy z jednej miski, a później szło się do innego Cygana, którego żona ugotowała np. zupę szczawiową. A więc chodziło się od ogniska do ogniska, jadło rozmaicie, a jak już się podjadło, to zaczynały się tańce, które trwały często do późnej nocy. ©©

oprac. raw

Don Vasył jest poetą, piosenkarzem, animatorem ruchu kulturalnego polskich Cyganów.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sok z buraka

Nadchodzi okres prześladowań – westchnął mąż, widząc, jak wyjmuję z siatek zakupy: buraki, marchew, imbir, kurkumę, jarmuż... Rzeczywiście – nadchodzi zima, a z nią „prześladowania”, czytaj: soki z wyciskarki wolnoobrotowej. Praktykowaliśmy je w zeszłym roku, skutkiem czego udało się przejść zimę bez infekcji (wiera czyni cuda). W tym roku również powzięłam postanowienie zamienić pomarańcze i grejpfruty na buraki, jarmuż, sok z aronii, róży i rokitnika. Zwłaszcza ten ostatni budzi sprzeciw konsumentów, zrozumiay, bo rokitnik jest wyjątkowo niesmaczny, ale poddają się terapii z rezygnacją, w przekonaniu, że na zdrowie trzeba pracować.

Domowe wyciskanie jest dość pracochłonne. Trzeba warzywa przytargać do domu, umyć, przygotować. Następnie rozłożyć, umyć i złożyć z powrotem maszynę, co zresztą nie sprawia mi większej przykrości. W międzyczasie następuje przekonywanie rodziny, żeby wypić sok z buraków mocno przyprawiony imbirem. I to nie jest wcale proste. Następuje seria krzywienia się, sarkania, prychnia i wzdychania nad swoim nieszczęściem.

Nie wiem, czy padłam ofiarą propagandy żywieniowej, która nakazuje powrót do składników lokalnych.

Bo przecież smakują nam awokado, krewetki, granaty, świeże figi, słodkie bezpestkowe winogrona. Wiemy, że komosa ryżowa to superfood. Tajska zupa z mlekiem ryżowym jest taka pyszna... Z drugiej strony nie sposób sobie nie powiedzieć, że bez tego wszystkiego wiele pokoleń żyło w całkiem niezłym zdrowiu. Sama wychowałam się w domu, w którym pomidor na kanapkę podany mi na

imieniny (24 maja) był inauguracją sezonu tych warzyw, a pożegnanie z nimi następowało wczesną jesienią, jako rzecz niezapomniana piosenka Starszych Panów. Dzisiaj pomidorom nie musimy już mówić „addio!”, mamy je cały

rok. Mrożonki pojawiły się w Polsce za Gierka, czyli w latach 70., kiedy zbudowano Hortex, a lodówki przestały być luksusowym wyposażeniem mieszkań. Symbolem PRL-owskiego zbytku zostały banany, bardzo trudno dostępne, o awokado nikt nie słyszał. Jestem pokoleniem wychowanym na zimowej diecie złożonej z buraków, marchewki, kiszzonej kapusty i ogórków. Mam się całkiem nieźle mimo zaawansowanego wieku. Niech to wytlumaczy mój sentymentalny powrót do buraka, który skądinąd może być polskim superfoodem. Podobnie jak jarmuż, którym jeszcze niedawno dekorowano groby... ©©



FOT. ADRIE STOCK

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego



JUŻ W GRUDNIU NIEZWYKŁY KONCERT „GINTROWSKI A JEDNAK COŚ PO NAS ZOSTANIE...”

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl bd7b32b20c



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Erudycja i olej

Często rwie się teraz włosy z głowy z powodu tego, jak mało oświeceni są ludzie w tych jakże oświeconych czasach. Faktycznie, popisy takich postaci jak Edyta Górniak pokazują, jak dotkliwy jest brak w języku polskim odpowiednika angielskiego sformułowania „facepalm”. Wydawać się może, że świat schodzi na psy na wiele sposobów i jednym z nich jest nadprodukcja dzbanów.

Jednakowoż nie jest to znak firmowy współczesności. Wiedza nigdy nie rugowała głupoty, lecz żyła obok niej nawet w czasach dumnych ze swej mądrości. Ba, nawet u poszczególnych jednostek erudycji towarzyszy często... Jak by to ująć... Brak oleju w głowie. Szczercze mówiąc, jest to bardzo ludzka cecha. Była, jest i pewnie jeszcze długo będzie. Po prostu jesteśmy jednocześnie mądrzy i głupi. Tak mamy.

Żeby nie być gołosłownym. Weźmy na przykład dwie osoby z Wielkiej Brytanii, która w swym czasie była motorem postępu, ostoją nauki i w związku z tym zadzierała nos bardzo wysoko, co zresztą jestem w stanie zrozumieć. Pewnie wszyscy słyszeli o Arthurze Conan Doyle'u, który zasłynął przede wszystkim jako autor książek o Sherlocku Holmesie. Holmes, jak wiadomo, był mistrzowsko posługiwał się dedukcją i nie stronił od wykorzystywania w śledztwach zdobyczy nauki. Natomiast sam Doyle wręcz przeciwnie.

Był spirytualistą i namiętnie wywoływał duchy. W ówczesnej Anglii była to dość powszechna rozrywka, lecz Doyle w swej pasji zabrnął bardzo daleko. Nie tylko rozmawiał z Dickensem, który podobno prosił go o dokończenie swych powieści, lecz także zaprzyjaźnił się z pochodzącym ze starożytniej Mezopotamii Pheneasem.

Był też przekonany, że rusałki istnieją. Latami zaczął się na nie z aparatem fotograficznym przy strumykach. A nawet napisał dzieło zatytułowane „Nadejście rusałek”. No po prostu idiota. I geniusz. Jednocześnie.

Cofnijmy się bardziej wstecz. W imponujące czasy oświecenia i rewolucji przemysłowej. Oto jest rok 1755, znajdujemy się w gmachu Ashmolean – pierwszego w dziejach muzeum uniwersyteckiego, założonego w Oksfordzie niecałe sto lat wcześniej. W takim miejscu ludzie muszą być naprawdę łebscy, a już na pewno dyrektorzy takich instytucji. I właśnie dyrektor Asmolean wrzucił do ognia wypchanego ptaka dodo, ponieważ zaczął mu podśmierdywać. Samo w sobie wydaje się to mało profesorskie, ale kiedy dowiemy się, że był to ostatni dodo, jaki istniał, bo gatunek ten wyginął nieco wcześniej, wtedy nawet bzdury wydawane przez Edytę Górniak oraz kruczata przeciwy 5G zaczynają wyglądać nieco inaczej. W końcu pani Edyta to jedynie raczej prosta wokalistka, a nie dyrektor muzeum w Oksfordzie. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Mądrzejszy od papieża

Kiedy obejrzałem dokument „Don Stanisław” pokazujący kard. Stanisława Dziwisza jako człowieka, który choć przez dekady stał u boku papieża, to o niczym nie wie, nic nie pamięta i za żadne winy Kościoła nie poczuwa się do odpowiedzialności, przypomniała mi się historia sprzed sześciu lat. Tak się składa, że opisałem ją wtedy jako pierwszy, ale dziś rozumiem głównego bohatera jeszcze lepiej. Chodzi o pośmiertne wydanie zapisków, które pozostawił po sobie Jan Paweł II. Jego testament był w tym względnie precyzyjny. „Nie pozostawiam po sobie własności, którą należałoby zadysponować. Rzeczy codziennego użytku, którymi się posługiwałem, proszę rozdać wedle uznania. Notatki osobiste spalić. Proszę, ażeby nad tymi sprawami czuwał ks. Stanisław, któremu dziękuję za tyloletnią wyrozumiałość i współpracę i pomoc” – napisał papież. I choć czymś naturalnym była chęć poznania przemyśleń osoby, która miała być na dniach kanonizowana, to sam Karol Wojtyła wyraził się jasno, kładąc tę odpowiedzialność na barki kard. Stanisława Dziwisza. Ten jednak, jak udowodnił to wiele razy później, okazał się mądrzejszy od papieża.

„Nie spaliłem notatek Jana Pawła II, gdyż są one kluczem do zrozumienia jego duchowości” – stwierdził w komunikacie prasowym, decydując się na ich publikację w komercyjnym wydawnictwie, które zorganizowało wokół murowanego bestselleru iście kremówkową konferencję pra-

sową. Pamiętam, bo byłem na miejscu w krakowskiej kurii, jak kard. Dziwisz opowiadał o „wielkim duchowym przeżyciu”, jakim będzie lektura „Jestem bardzo w rękach Bożych. Notatki osobiste 1962–2003”. Ich fragment odczytał Krzysztof Globisz, prezes wydawnictwa Znak podziękował za zaufanie. Żebyśmy nie mieli dodatkowo żadnych wątpliwości, wydawca zapewniał, że książka to strzał w dziesiątkę przed kanonizacją. W końcu wyliczono: „Okazja do prywatnych rekolekcji z Janem Pawłem II”, „Lektura dostarczająca niepowtarzalnych wzruszeń”, „Najlepsze przygotowanie do kanonizacji Jana Pawła II i dziękczynienia za nią”, „Książka, którą każdy musi przeczytać”.

Do tej pory, choć pytałem o to wprost, nie poznałem odpowiedzi na pytanie: Dlaczego jeśli już zapiski papieża musiały zostać wydane, to nie zajęła się tym sama kuria, pieniądze ze sprzedaży nie przekazując jednemu z licznych dzieł, którym patronuje postać Jana Pawła II? Ostatecznie okazało się, że publikacja była nie tylko klasycznym dla kard. Dziwisza lekkomyślnym dysponowaniem dziedzictwem świętego, lecz także wydawniczym niewypałem. Niestety mimo tytanicznych prób nie dało się ułożyć niczego sensownego z luźnych zapisków, niedokończonych zdań i urwanych myśli Karola Wojtyły. Niestety, coraz wyraźniej widać, że podobna rzecz dzieje się z życiem i przeszłością jego sekretarza. ©©

POLITYCZNE



PODSUMOWANIE

TYGODNIA

sobota
10:00

zaprasza **Adrian Stankowski**

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl bd7b32b20c

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Prezzydent Duda wysłał Bidenowi gratulacje. Podobno jako drugi na kuli ziemskiej (nie sprawdzałem). Ekipa prezydenta Dudy chwali te gratulacje jako „majstersztyk dyplomacji”, bo podczas gdy inni przywódcy gratulowali Bidenowi zwycięstwa, Duda wysłał gratulacje „za udaną kampanię wyborczą”. I to ma być ten majstersztyk – za kampanię, a nie za zwycięstwo?

Jeżeli chodziło wyłącznie o udaną kampanię, to czemu Duda nie wysłał identycznych gratulacji także do Trumpa? Udaney kampanii powinien pogratulować obu kandydatom. W dodatku kampania Trumpa była obiektywnie bardziej udana – ogromne wiece, marsze, parady w czasie, gdy Biden siedział kilka miesięcy w piwnicy i nie robił żadnej kampanii, na spotkania wyborcze Bidena nie przychodzili ludzie, w kółkach wymalowanych na podłodze (dystans, bo COVID) stały puste krzesła, a dookoła pustych parkingów nie było nawet zwykłych gapiów. Ponadto sondaże podawały, że Biden zwycięży z przewagą 12 punktów procentowych, gdy tymczasem takiej przewagi nie zdobył. Na czym więc polega „udana kampania”, której gratulował Duda? To Trump miał bardziej udaną, skoro zaskoczył sondażystów o 12 proc.

I czym w ogóle jest dowolna „udana kampania”?

Kampania jest udana, gdy owocuje zwycięstwem, prawda? A zatem, gdy ktoś gratuluje udanej kampanii, to ma na myśli zwycięstwo, a nie po prostu przebieg kampanii. Tłumaczenia o „majstersztyku dyplomacji” mnie nie prze-



FOT. W. CEJROWSKI LTD./B. KRZYZIAK

GRATULACJE

konują. Duda pogratulował Bidenowi zwycięstwa i tyle. A tego robić nie powinien, jeszcze nie teraz. I nie chodzi o towarzyskie niezręczności, chodzi o stosunki z przyszłą administracją USA.

Dzisiaj jeszcze wcale nie wiemy, kto ostatecznie zostanie prezydentem w Stanach. Możemy sobie różne rzeczy przypuszczać i kalkulować, ale nie wiemy. W żadnym z 50 stanów nie podliczono głosów do końca, nie wystawiono urzędowych certyfikatów. We wszystkich 50 stanach zakładane są procesy sądowe wobec całej masy nieprawidłowości wyborczych. W tych stanach, w których wygrał Trump, udowodnione nieprawidłowości nie zmieniają ostatecznego wyniku, bo przekręty wyborcze – WSZYSTKIE co do jednego – polegały na tym, że dodawano głosów Bidenowi; zawsze tylko jemu, nigdy na odwrót. Czyli w tych stanach, w których POMIMO przekrętów zwyciężył Trump, owocem procesów sądowych będą wyroki więzienia dla przekręciarzy, ale sam wynik się nie zmienia.

Jest jednak wiele stanów, gdzie udowodnienie przekrętów zmieni wynik. Szansa, że prezydentem będzie jednak Trump, jest na tyle duża, że absolutnie nie należało wysyłać gratulacji... nikomu (albo obu panom identyczne, jeśli już).

Wszelkie gratulacje tylko dla jednej ze stron są nieroztropne, a ponadto... bardzo niegrzeczne wobec drugiej strony. Proces wyborczy w USA wciąż trwa, więc gratulacje dla jednego kandydata są poparciem przeciw drugiemu; wtrącaniem się w sprawy wewnętrzne USA. Wynik byłby zaklepany już dziś, gdyby któraś ze stron uznała publicznie i OFICJALNIE swoją przegraną. Takie oficjalne uznanie kończy sprawę. Gdy cztery lata temu Hillary Clinton publicznie uznała swoją przegraną, oznaczało to, że nie będzie otwierać procesów sądowych, nawet gdyby jakieś nieprawidłowości zostały wykryte. W tym roku ani Biden, ani Trump się jeszcze nie poddali. Czyli na oficjalny wynik należy grzecznie po-

czekać, bo Stany Zjednoczone nie zakończyły swojego procesu wyborczego, nie znamy wyniku, nie wiemy, kto obejmie urząd.

A co z tymi gratulacjami zrobi Duda, jeżeli Trump wygra? FURA (kto gra w karty, ten wie, o czym piszę). Duda pośpieszył się i ma w ręku „furę”. W dyplomacji niebranie pod uwagę takiej możliwości jak zwycięstwo Trumpa to ogromna fuszerka. Jak się z tego będziemy tłumaczyć wobec sojusznika i „przyjaciela Polski”? Jak Duda będzie z tego tłumaczyć Polskę (w jej imieniu gratulował)?

Trump nie jest zawistny ani mściwy. Jest za to BARDZO, BARDZO lojalny. Mówią to o nim zarówno jego pracownicy, przyjaciele, jak i wrogowie. Lojalność ceni bardzo wysoko, a brak lojalności powoduje, że zwalnianie ludzi z roboty jednym szybkim ruchem. Widzieli to Państwo w jego administracji, gdy wywalił nielojalnych współpracowników na zбитy pysk, bez oglądania się na złą prasę i słupki.

Nie chodzi o to, by Duda ślepo popierał Trumpa przeciwko Bidenowi, chodzi o to, że powinien być lojalny wobec sojusznika. A Stany Zjednoczone są naszym sojusznikiem i nie wtrącamy się sojusznikowi publicznie w jego procesy demokratyczne i niezakończone wybory. CZEKAMY z gratulacjami na ostatecznego, formalnie uznanego zwycięzcę. Czy administracja Bidena (gdyby to on ostatecznie wygrał) będzie Dudę szanować i cenić za to, że pogratulował przed zakończeniem amerykańskich procedur? Nie. Będą nas mieli za pudła, który grzecznie merda ogonem. Tak jak Merkel nie szanuje Tuska. Ona go używa, ale nie szanuje. ©©

TYPY PRZEKRĘTÓW, KTÓRE WYCHWYCONO

1. Na Bidena głosowały dziesiątki tysięcy osób dawno zmarłych. Część nieżyjących głosowała OSOBIŚCIE, co wynika z zapisów w oficjalnych raportach i systemach. Inni zmarli głosowali korespondencyjnie, a najstarsi z nich mieli 150 lat.

2. W stanie Nevada głosowały tysiące osób nieuprawnionych – mieszkańców innych stanów.

3. W stanie Michigan wykryto błąd w systemie komputerowym: sześć tysięcy głosów oddanych na Trumpa system zaliczył Bidenowi. To samo oprogramowanie znaleziono w 46 innych miejscach. Policzmy: 6 tys. głosów przerobionych z Trumpa na Bidena, razy 46 lokalizacji, daje 276 tys. głosów, które znikają u Trumpa, a dodają się u Bidena. Tak duża pula załatwia sprawę w Michigan, a ten sam sprzęt liczący zainstalowano także w 28 innych stanach. Sprzęt firmy Dominion Voting Systems gdzie wśród właścicieli są... uwaga! G. Soros + Clintonowie. Hillary liczy głosy Trumpa – dodajcie to sobie sami.

4. W kilku kluczowych miejscach – tam, gdzie Bidenowi brakowało głosów – karty wyborcze „znajdowano” o godz. 4 nad ranem i akurat tyle, ile było potrzebnych. Proszę sobie wyobrazić paczkę 135 tys. przypadkowo odnalezionych kopert. 20 kopert waży kilogram, czyli odnaleziono prawie siedem ton papieru. Logiczne pytanie jest takie: W jaki sposób wcześniej

można było „zapodziać gdzieś” aż tyle? Przecież to ma objętość ciężarówki.

5. Mężowie zaufania ze strony republikanów nie byli dopuszczani do obserwacji liczenia głosów. Odsyłano ich (z powodu COVID) na odległość 30 m i z takiej odległości mieli patrzeć na ręce liczących głosy. W innych miejscach nie byli wpuszczani do lokali wyborczych lub zostali z nich wyrzuceni, a gdy potem próbowali obserwować liczenie głosów przez okna, szyby zaklejono kartonami. Gdy wrócili z wyrokiem sądu nakazującym dopuszczenie ich do obserwacji na odległość metra, dowiedzieli się, że ten wyrok mogą sobie wsadzić w tyłek i iść z powrotem do sądu założyć drugą sprawę – o niewykonanie pierwszego wyroku.

6. Karty do głosowania rozsyłano masowo (np. w Kalifornii) pod przypadkowe adresy. Tak na wszelki wypadek, „aby nikt nie był pozbawiony prawa do głosowania w czasach pandemii”. Koperty trafiły pod nieaktualne adresy, pod adresy osób, które tu nigdy nie mieszkaly, osób o nikomu nieznanym nazwiskach, po kilka kart do głosowania dla tej samej osoby. I nikt potem nie sprawdzał, co się z tymi kartami stało. Czy zostały wypełnione i odesłane? Czy zostały wypełnione przez właściwą osobę? Czy jedna osoba nie wypełniła przypadkiem kilku kart?

7. A do tego setki filmów i zeznań świadków, które YouTube, Facebook i Twitter próbują blokować i kasować jako „niebezpieczne”,

pokazujących palenie głosów oddanych na Trumpa, wyrzucanie ich i chowanie w różnych miejscach, filmy pokazujące przerabianie kart do głosowania w trakcie liczenia, pokazujące darcie i usuwanie jednych kart, a przepuszczanie innych. Tego jest bardzo dużo.

Jeżeli Biden prawdziwie wygrał, dlaczego jego zwolennicy nie chcą obecności mężów zaufania strony przeciwnej przy liczeniu głosów? To takie oczywiste pytanie.

Amerykański system wyborczy zawiera kilka dobrych zabezpieczeń. No na przykład – jeżeli różnica pomiędzy kandydatami jest niewielka, np. 1 proc. lub 0,5 proc. głosów, wówczas w kilku stanach AUTOMATYCZNIE wymagane jest ponowne przeliczenie głosów – na wszelki wypadek. Czemu ludzie Bidena tak mocno się temu sprzeciwiają? Zaprzysiężenie jest dopiero w styczniu, czyli mamy mnóstwo czasu.

W roku 2000 ponowne przeliczanie głosów na Florydzie trwało prawie 40 dni, a demokratyczny kandydat Al Gore był ze swoją sprawą dwa razy w Sądzie Najwyższym i nikogo to nie oburzało; Ameryka grzecznie poczekała na dokończenie procesu. Dzisiaj partia demokratyczna podobne zabiegi sztabu Trumpa traktuje jako skandaliczne, niedopuszczalne. Czemu? Przecież chodzi o dojście do prawdy, o upewnienie się, kto naprawdę wygrał, aby potem nie było zarzutów, że Biden został prezydentem nieuczciwie.

Czemu demokraci boją się ponownego liczenia, skoro są pewni wygranej?

Jeżeli to tylko wielkie ego Trumpa nakręca całą tę sprawę, to czemu nie chcą pozwolić, aby się ostatecznie pogrążył i ośmieszył? Ja bym pozwolił – wygrałem, to się nie boję, niech Trump sobie liczy te głosy nawet i trzy razy, a moja pozycja się od tego jedynie wzmocni. No, chyba że nie wygrałem, bo oszukiwałem, i boję się, że przy kolejnym liczeniu ktoś wykryje szfindel.

Czytając moje teksty i wnioski, proszę pamiętać, że nie jestem obiektywny. Dziennikarz nie musi być obiektywny – ma być uczciwy. Ma szukać prawdy, podawać prawdziwe informacje, ale obiektywny być nie musi; czasami nie może. Uczciwość polega na tym, by zawiadamiać czytelników, jakie ma poglądy – tak aby dało się wziąć stosowną poprawkę. Ja np. Bidena nie lubię i nie cenię, Trumpa za to lubię, cenię i szanuję. Podziwiam też jego skuteczność, pracowitość, zapał. To powoduje, że mam skrzywienie, być może coś przegapiam, czegoś nie widzę, ale... nie kłamię.

Nie jestem też nigdy obiektywny w sprawach polskich, bo KOCHAM Polskę. Czyli mam w omawianiu spraw polskich skrzywienie propolskie, którego nie da się usunąć i ja go usuwać nie chcę. Mam gdzieś „obiektywizm w sprawach Polskich”, mnie obchodzi polski interes, polskie dobro, polska wygrana – tego szukam, o to zabiegam, a jednocześnie w dążeniu do celu nie kłamię! ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Oportunizm i relatywizm

Tysiące ludzi ubranych na czarno ze znakami łudzaco przypominającymi nazistowskie runy Sieg, maszerujących w centrum Warszawy, niespełna 300 km od Auschwitz. Czy kogoś to w Europie poruszy (oprócz wiceprzewodniczącej Bundestagu, która już wie, że „to jest wojna”)? Będzie trudno, bo przecież znaki można interpretować na różne sposoby.

Na moje pytanie do przedstawiciela Wydawnictwa Bellona, jakie jest jego (wydawnictwa) stanowisko w sprawie wulgarnych, chrystofobicznych i nawołujących do przemocy manifestacji zbiorczo nazywanych Strajkiem Kobiet – a pytałem w związku z zamieszczonym na Facebooku wydawnictwa zmienionym logo, z błyskawicą

wydała książki o jednostkach wojskowych, w tym np. wspomnienia żołnierzy GROM. Mało tego – dalej tłumaczył przedstawiciel Bellony – zamierza ona wydać „w najbliższym czasie książkę dot. treningu strzeleckiego z NAVALEM”, stąd „posłużyliśmy się logiem Gromu, jakim jest błyskawica”. Pomysł na takie promowanie książki powstał we wrześniu zeszłego roku. A w ogóle stanowisko Bellony odnośnie do protestów i orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego „jest tożsame z najnowszym stanowiskiem Prezydenta RP”.

Za mundurem panny (binarne i niebinarne) sznurem – jak widać ostatnio na ulicach polskich miast. Jednostki specjalne mogą czuć się pewnie swojej bazy rekrutacyjnej – młodych kobiet, które z animuszem dają wyraz swoim bojowym

nastrojom. Jeszcze tylko szkolenie na poligonie (warsztaty z „walk ulicznych” sponsorowane przez warszawski magistrat to chyba za mało) i nowi żołnierze/żołnierki GROM gotowe, jak sami mówią, „jechać” i „wyp...dać”. Jedyny problem, że na marszach potencjalnych rekrutów co rusz powtarza

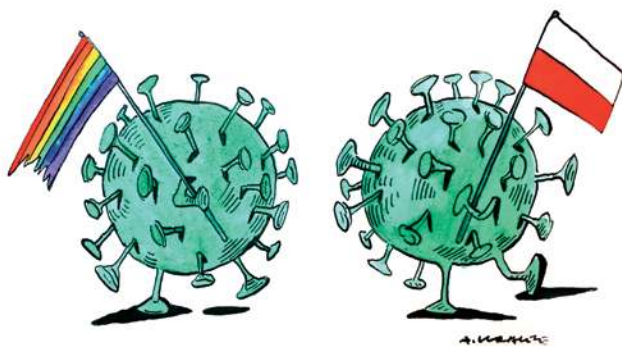
się, że nie ma co wymagać heroizmu, zwłaszcza od kobiet. No ale przecież zawężenie bazy rekrutacyjnej tylko do mężczyzn (choćby i niebinarnych) tchnęłoby jakimś seksizmem. Chyba że dostosować regulamin szkolenia GROM-u do nowych wyzwań...

A teraz całkiem poważnie. Marsze dziatwy i młodzieży posłusznie zdążających za współczesnymi szczurołapami z Hameln (znowu te Niemcy) nie są przyczyną, ale skutkiem. Jak pisał Chesterton: „Nikt nigdy nie widział rewolucji. Motłoch

wylewający się do pałaców, krew spływająca rynsztokami, gilotyna wyższa niż tron, więzienie w gruzach, lud pod bronią – te rzeczy nie są rewolucją, ale jej skutkiem. Nie można ujrzyć wiatru, można tylko zobaczyć, że wiatr wieje. Tak też nie można zobaczyć rewolucji, można tylko zobaczyć, że do niej doszło. Nigdy w dziejach świata nie było jeszcze rewolucji brutalnie aktywnej i kategorycznej, która nie zostałaby poprzedzona przez niepokój i nowy dogmat w sferze spraw niewidzialnych”.

Dziatwa i młodzież rządząca „wesołe happeningi” to przecież nie nowość. Inaugurację w wielkim stylu przeżyliśmy przecież w sierpniu 2010 r. pewnej nocy na Krakowskim Przedmieściu, gdy pokolenie JP/JU (od inicjałów pewnego parlamentarzysty PO i pewnego rzecznika rządu PRL) robiło krzyże z puszek po piwie. A profesorowie? Być może wielu z nich (także ci we władzach rektorskich) działało w ostatnich dniach powodowanych tchórzostwem i lizusostwem wobec tupoczącego w takt hasła „...ać PiS” stada niezależnych umysłów. Jednak w przypadku zdecydowanej większości z tych, którzy deklarowali wobec „rekrutów GROM-u” swoją solidarność, mamy do czynienia z porywami serca.

Przecież od lat na kolejnych uczelniach zakazywano organizowania krajowych i międzynarodowych konferencji naukowych poświęconym ochronie życia nienarodzonych. Niejednokrotnie trzeba było odwoływać w ostatniej chwili wykłady zaproszonych z zagranicy działaczy pro-life, bo nagle władze dziekańskie czy rektorskie stwierdziły, że jednak nie teraz. Dawni oportuniści, którzy dla kariery zapisywali się do partii, po 1989 r. stali się tym gorliwsi relatywistami, chętnie skacząc z „realnego socjalizmu” do postmodernizmu. I tak zostało. ©©



– usłyszałem odpowiedź równą tłumaczeniu podanemu przez prezesa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza, że tęcza to „symbol spółdzielców”.

Przedstawiciel Bellony zaczął mnie bowiem przekonywać, że tak naprawdę to chodzi o... Jednostkę GROM, bo przecież – cytuję dosłownie – „błyskawica, jak powszechnie wiadomo, (co potwierdziła ostatnia opinia naukowców Uniwersytetu Warszawskiego) jest znakiem funkcjonującym w polskiej symbolice wojskowej, np. GROM”. Bellona zaś

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

**UWAGA – OD LISTOPADA
NOWE CENY PRENUMERATY**

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~309~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

MACIEJ ROSALAK
„WIELKIE ZARYZY LUDZKOŚCI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

193,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 116 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl bd7b32b20c



TAK DBAMY O TWOJE BEZPIECZEŃSTWO



Jedyne w Polsce stacje wyposażone
w specjalistyczne urządzenia
oczyszczające i filtrujące powietrze*



Maseczki i płyny do dezynfekcji w ofercie stacji



Płatności na odległość ORLEN PAY



Mobilny kasjer dostępny
na podjeździe stacji

* Według aktualnego stanu na dzień 16.10.2020 r.

#bezpiecznyORLEN